

ILJA WARSZAWSKI



Ostatni wieloryb

Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Jane](#)

[Słońce zachodzi w Donomagu](#)

[Coś nowego o Sherlocku Holmesie](#)

[Fiołek](#)

[Staruszkowie](#)

[Ostatni wieloryb](#)

[Saszka](#)

[Decyduj, pilocie!](#)

[Sklep Sennych Widziadeł](#)

[Karaluchy](#)

[Fantastyka wkracza w kryminał, albo ostatnia sprawa komisarza Debreta](#)

[1. Pochmurny poranek](#)

[2. Zoja Nikiticzna](#)

[3. Czerwony pontiac](#)

[4. Srebrny czekan](#)

[5. Luiza Kostagen](#)

[6. Ponownie czerwony pontiac](#)

[7. Debret udaje się na śniadanie](#)

[8. Jean Pebef](#)

[9. Powód do rozmyślań](#)

[10. Nieoczekiwany zwrot wydarzeń](#)

[11. Różne systemy, różne punkty widzenia](#)

[Epilog](#)

[Powieść bez bohatera](#)

[Prolog](#)

[Jurij Pietrowicz Fetiukow](#)

[Arsen Nikołajewicz Dyrantowicz](#)

[Michaił Iwanowicz Łukomski](#)

[Wiktor Borysowicz Kaszutin](#)

[Lena Saburowa](#)

Nina Fiedorowna Ziemcowa

Finał

Epilog

Drogi, które wybieramy.

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:



1. Harry Harrison „Planeta śmierci”
2. H. Beam Piper „Kudłacz”
3. H. Beam Piper „Kudłacz rozumny”
4. H. Beam Piper „Kudłacze i inni ludzie”
- 5. Siergiej Sniegow „Galaktyczny zwiad”**
- 6. Siergiej Sniegow „W Perseuszu”**
- 7. Siergiej Sniegow „Pętla wstecznego czasu”**
- 8. antologia „Złoty Wiek SF tom 1”**
- 9. antologia „Złoty Wiek SF tom 2”**
- 10. antologia „Złoty Wiek SF tom 3”**
- 11. antologia „Złoty Wiek SF tom 4”**
- 12. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 1”**
- 13. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 2”**
- 14. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 3”**
15. Clifford D. Simak „Imperium”
16. James Schmitz „Plazmoidy”
17. E.E. „Doc” Smith „Lensman 1: Trójplanetarni”
18. E.E. „Doc” Smith „Lensman 2: Pierwszy Lensman”
19. E.E. „Doc” Smith „Lensman 3: Patrol Galaktyczny”
20. E.E. „Doc” Smith „Lensman 4”
21. E.E. „Doc” Smith „Skylark 1”
22. E.E. „Doc” Smith „Skylark 2”
23. E.E. „Doc” Smith „Skylark 3”
24. John W. Campbell „Broń ostateczna”

25. Murray Leinster „Pierwszy kontakt”
26. Murray Leinster „Samotna planeta”
27. Kir Bułyczow „Ostatnie sto minut”
28. Kir Bułyczow „Nieziemsko piękna szafa”
- 29. Władimir Michajłow „Stróż brata mego”**
30. Barrington J. Bayley „Upadek Chronopolis”
31. Clifford D. Simak „Bractwo Talizmanu” tylko dla subskrybentów
32. Bob Shaw „Orbistville 1” tylko dla subskrybentów
33. Bob Shaw „Orbistville 2” tylko dla subskrybentów
34. Bob Shaw „Orbistville 3” tylko dla subskrybentów
35. Robert Sheckley „Zwiadowca minimum” tylko dla subskrybentów
36. Robert Sheckley „Bezgłośny pistolet” tylko dla subskrybentów
37. Robert Sheckley „Złodziej w czasie” tylko dla subskrybentów
- 38. antologia „Maszyna sukcesu”**
39. antologia „Czterodniowa planeta”
- 40. antologia „W pałacu władców Marsa”**
41. antologia
42. antologia
43. antologia
- 44. H. Beam Piper „Kosmiczny wiking”**
45. H. Beam Piper „Policja czasu”
46. H. Beam Piper
47. James H. Schmitz
48. James H. Schmitz „Wiedźmy z Karres”
- 49. Herbert G. Wells „Niewidzialny człowiek. Wehikuł czasu. Wyspa doktora Moreau”**

50. Herbert G. Wells „Wojna światów”

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich. Pogrubioną czcionką oznaczono pozycje wydane w formie e-booka.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

Ilja Warszawski

Ostatni wieloryb

Wybór
Paweł Ludański

SOLARIS
Stawiguda 2015

Ostatni wieloryb

Джейн © 1964 by Ilja Warszawski
Солнце заходит в Дономаге © 1973 by Ilja Warszawski
Фиалка © 1966 by Ilja Warszawski
Тараканы © 1966 by Ilja Warszawski
Решайся, пилот! © 1965 by Ilja Warszawski
Сашка © 1966 by Ilja Warszawski
Лавка сновидений © 1967 by Ilja Warszawski
Старики © 1970 by Ilja Warszawski
Новое о Шерлоке Холмсе © 1964 by Ilja Warszawski
Повесть без героя © 1969 by Ilja Warszawski
Фантастика вторгается в детектив, или последнее дело комиссара
Дебрэ © 1972 by Ilja Warszawski
Пути, которые мы выбираем © 1965 by Ilja Warszawski
Последний кит © 1988 by Ilja Warszawski

ISBN 978-83-7590-242-6

Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax 89 5413117
e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl



JANE

Tego ranka Modest Fomicz obudził się z jakimś wewnętrznym niepokojem. Leżąc z zamkniętymi oczami, próbował znaleźć przyczynę tego stanu rzeczy. Dlaczego budzik nie zadzwonił i on, Modest Fomicz Nikulin, zamiast być w pracy, wyleguje się w łóżku, chociaż promienie porannego słońca już dotarły do jego poduszki. Oznaczało to, że było bardzo późno, na pewno po dziesiątej.

Modest usiadł na łóżku i otworzył oczy.

– Cześć, Fomicz! – krzyknęła papuga w klatce, od dawna czekająca na przebudzenie pana.

Nikulin stanął bosymi stopami na dywaniku i roześmiał się.

„Oto zaczęło się nowe życie!” – pomyślał.

Minione pięć dni było wypełnione sprawami, związanymi z przejściem na emeryturę. Wczoraj, co prawda, trochę sobie chlapanął na pożegnalnym wieczorze, który na jego cześć urządzili koledzy z pracy.

Dzisiaj pierwszy dzień emerytury Nikulina, który zdecydował całkowicie poświęcić się teraz swojej dawnej pasji.

Modest Fomicz naciągnął spodnie, wsunął stopy w kaptcie i podszedł do akwarium ze złotymi rybkami. Wziął garść karmy i postukał palcem w szklaną ściankę. Pięć złotych rybek ustawiło się gęsiego, wykonało skomplikowaną figurę, przypominającą podejście bombowców do celu i zastygło półkolem, oczekując jedzenia. Tylko sam Nikulin wiedział, ile tytanicznego trudu kosztowało go nauczenie rybek tej pozornie prostej sztuczki.

Jego ulubienica, kotka Jane, leżąc na kanapie z półprzymkniętymi oczami, uważnie obserwowała właściciela. Tylko lekkie podrygiwanie koniuszka ogona świadczyło o tym, że czegoś oczekuje.

– Dzień dobry, Jane!

Kotka przeciągnęła się leniwie, miękko zeskoczyła z kanapy, podeszła do Nikulina i niechętnie podała mu łapę.

Nikulin szybko wypił herbatę, sprawdził system napowietrzania wody w akwarium i zwrócił się do Jane, która znowu leżała na kanapie.

– Skończyło się jaśniepańskie życie, Jane – powiedział. – Pora naprawdę zabrać się do pracy!

Przywołał Jane palcem, a ta wskoczyła mu na ramię, po czym oboje wyszli z domu.

Tresura zwierząt była jedyną słabością Modesta Fomicza, z której często żartowali sobie jego pracownicy. Za plecami nazywali go nawet „Pogromcą”. Cały swój wolny czas, którego do tej pory posiadał niewiele, poświęcał na studiowanie książek z zakresu zoopsychologii, ze szczególnym uwzględnieniem tych traktujących o eksperymentach ze zwierzętami domowymi.

Dzisiaj powinna była zacząć się już dawno zaplanowana tresura Jane, mająca na celu nauczania kotki tańca.

Modest Fomicz poszedł na koniec bulwaru, na niewielki plac, nazywany potocznie „klubem emerytów” i usiadł na swojej ulubionej ławce. O tej godzinie w „klubie” było jeszcze mało ludzi i Nikulin zaczął zajmować się Jane, nie obawiając się gapiów, mogących rozpraszać kotkę.

Jednak wkrótce na placu pojawił się gruby, niziutki człowiek, z zainteresowaniem obserwujący, jak Jane chodzi na tylnych łapach. Stał koło nich cały ranek, jak wrośnięty w ziemię i oddalił się dopiero wtedy, kiedy Nikulin poszedł z Jane na obiad.

Tak działo się przez kilka dni. Codziennie Nikulin spotykał rano na placu grubasa, wyraźnie oczekującego początku zajęć z Jane.

Wreszcie, pewnego ranka, grubas usiadł na ławce obok Modesta Fomicza i powiedział krótko:

– Poznajmy się, doktor Garber, emeryt.

Nikulin uściśnął wyciągniętą do niego, mocną, owłosioną rękę i powiedział, jak się nazywa.

– Muszę przyznać – powiedział Garber – że pana doświadczenia z kotką bardzo mnie interesują.

– Jest pan miłośnikiem zwierząt? – zapytał Nikulin, rzucając na doktora kose spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, nie – odpowiedział ten. – Pana doświadczenia interesują mnie nie dlatego, że kocham zwierzęta, a dlatego, że niepokoi mnie przyszłość ludzkości.

Nikulin spojrzał na Garbera nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Pan wybaczy, ale jaki jest związek między kotką a przyszłością ludzkości?

– Postaram się to wyjaśnić. Ile ma pan lat?

– Sześćdziesiąt, ale jakie to ma znaczenie?

– A ile lat stracił pan na naukę?

– Około szesnastu.

– Nie liczy pan tu, oczywiście, czasu, kiedy uczono pana chodzić, mówić, jeść kaszę łyżką, odpowiednio zachowywać się w społeczeństwie. Jeśli uwzględni pan to wszystko, to okaże się, że ponad jedna trzecia pańskiego życia upłynęła na nauce tego, co ludzie żyjący przed panem już wiedzieli. A taka kotka doskonale mogłaby obejść się bez jakiegokolwiek wykształcenia. To, co jest jej niezbędne do życia, czyli umiejętność znajdowania dla siebie pożywienia, orientacja w otaczającym ją świecie, wyczuwanie zbliżającego się niebezpieczeństwa, wychowanie kociąt – zapisane jest w niej samej. Po prostu korzysta z tego, co przekazali jej przodkowie.

– Ale to przecież ślepy instynkt, a człowieka uczy się tego, co odnosi się do świadomego działania. Wychowanie człowieka zawsze wymagało zdławienia zwierzęcych instynktów, wbudowanych w naszą naturę.

– W tym cały problem! Natura, drogą dokładnej analizy, wybrała pożyteczne doświadczenia, zgromadzone przez poszczególnych osobników gatunku i te najcenniejsze uczyniła własnością całego gatunku biologicznego. Pana kotka bezbłędnie znajduje leczniczą trawę, kiedy jest chora, a człowieka uczy się sztuki leczenia przez dziesięciolecia.

– Ale kotka może wyleczyć się sama najwyżej z jednej, czy dwóch chorób, a człowiek stworzył medycynę, jako dyscyplinę naukową i ustanowił ogólne zasady, nie tylko leczenia, ale i profilaktyki chorób.

– Niech pan poczeka, to jeszcze nie wszystko. Wilczek, który stracił matkę, nie zginie i bardzo szybko uczy się robić wszystko to, co robili jego przodkowie; a ludzkie dziecko, które zostanie odizolowane od ludzkiego społeczeństwa, jeśli jakimś cudem nie zginie, to nigdy nie nauczy się ludzkiej mowy, która jest charakterystyczną cechą odróżniającą człowieka od zwierzęcia. Bobry, pszczoły i mrówki, kierując się tylko instynktem, budują zdumiewające swoją funkcjonalnością budowle. Zaproponujmy człowiekowi, który nigdy nie widział obiektów architektonicznych, by zbudował sobie dom. Łatwo sobie wyobrazić, co z tego wyniknie!

– Jednak człowiek zdolny jest do twórczej działalności, do czego ani mrówki, ani pszczoły zdolne nie są – stwierdził Nikulin.

– Całkowita racja! Ale tym bardziej przykro, że zauważalne osiągnięcia ludzkiego rozumu, zdobyte przez ludzi w walce z naturą, nie są przekazywane w spadku następnym generacjom. Przecież u zwierząt odruchy warunkowe przechodzą w bezwarunkowe, jeśli tylko sprzyjają przetrwaniu gatunku. Dlaczego zatem ludzie nie mogą korzystać z tych właściwości do przekazania w spadku kolejnym pokoleniom zgromadzonej przez nich wiedzy?

– Przecież nie można przekazywać w spadku zdolności rozwiązywania równań różniczkowych – z rozdrażnieniem powiedział Nikulin. – Toż to czysta fantastyka!

– A dlaczego by nie? Do tego potrzeba tylko, żeby ta zdolność, przechowywana w indywidualnej pamięci w korze mózgowej, przeszła do pamięci dziedzicznej, rezerwuarem której są głębsze obszary mózgu. Sam mózg zaś posiada subtelne centrum analityczne, oceniające nabyte odruchy i posiadające właściwości zaworów, regulujących dobór odruchów warunkowych, które przekształca w instynkty przekazywane w spadku. Dla tego centrum istnieje tylko jedno kryterium: biologiczne usprawiedliwienie. Jednak możemy zmusić je, żeby było mniej wybredne i, że tak powiem, fuksem przemycić do instynktu każdy, pożądany przez nas, nabyty odruch warunkowy. W tym celu trzeba tylko czasowo stłumić funkcyjne możliwości tego centrum.

– Chce pan przez to powiedzieć, że gdybym nauczył Jane chodzić na przednich łapach, to tę umiejętność można byłoby przekazać jej potomstwu? – z uśmiechem zapytał Nikulin.

– Dokładnie. O tym właśnie chciałem z panem porozmawiać. Udało mi się dobrać taką kombinację alkaloidów, które działają na centrum mózgowe zawiadujące selekcją odruchów warunkowych, które z kolei przekształcane są w instynkty. Pod wpływem iniekcji można w pełni sparaliżować jego pracę. Przeprowadzałem doświadczenia na świnkach morskich, ale jestem kiepskim treserem i mogłem sprawdzić tylko przekaz najprostszych odruchów na dźwięk dzwonka, powiązanych z pokarmem. Kolejne pokolenia zachowały ten odruch z rozszczepieniem w potomstwie według standardowego schematu.

Minął ponad tydzień, zanim Garberowi udało się namówić Nikulina na przeprowadzenie eksperymentu z Jane, oczekującą potomstwa.

W ciągu miesiąca w domu Garbera Modest Fomicz uczył Jane stania na przednich łapach. Przed każdym seansem Garber wprowadzał do rdzenia kręgowego kotki strzykawkę różowego płynu.

Pewnego dnia, kiedy przyszedł do Garbera rankiem, zastał go klęczącego w kącie i karmiącego kocięta z rożka.

– Pana Jane – powiedział Garber – zachowuje się bardzo dziwnie. Nie zwraca żadnej uwagi na kocięta i zdaje się, że nie ma zamiaru ich karmić. Wygląda na to, że nie ma instynktu macierzyńskiego. Trzy kociaki zadusiła w czasie porodu. Pozostałe trzy byłem zmuszony od niej odizolować. Bardzo nieudolnie ssą mleko z rożka. Po prostu nie wiem, co z nimi robić!

– A gdzie Jane? – zapytał Nikulin.

– Leży w kuchni i udaje, że jej to nie dotyczy.

Nikulin poszedł do kuchni.

– Jane! – zawołał kotkę, ale ta nawet nie odwróciła głowy.

Kocięta rosły normalnie i Garber z niecierpliwością czekał, kiedy nauczą się chodzić.

Po kilku dniach oznajmił Nikulinowi, że Jane uciekła z domu. Wszystkie próby odzyskania jej okazały się daremne.

Któregoś razu, późnym wieczorem, do Modesta Fomicza przybiegł podekscytowany Garber.

– Stoją! – krzyknął, pokonując zadyszkę. – Wszystkie trzy, na przednich łapach! Niech pan szybko idzie ze mną!

To, co zobaczyli, przeszło wszelkie oczekiwania.

Trzy kocięta pewnie stały na przednich łapach.

Garber wziął jednego z nich na rękę, ale ten wyrwał się mu i znowu przybrał położenie głową w dół.

– A nie mówiłem? – zachichotał Garber. – Teraz sam pan widzi, niewierny Tomaszu! Czy pan rozumie, co to znaczy? Wygląda na to, że myśl o niemowlętach, znających od urodzenia równania różniczkowe i zasady gramatyki, nie jest taka znowu niedorzeczna, prawda? Dzisiejszy dzień, mój drogi, otworzy nową erę w historii ludzkości!

Następnego ranka, nie pijąc nawet herbaty, Modest Fomicz pobiegł do Garbera.

– Nie mogę pojąć – powiedział ten – co się z nimi dzieje. Nie spały całą noc. Stoją tak głową w dół, jak w jakimś odrętwieniu. Próbowałem siłą ułożyć je w koszyku, ale wtedy dostają drgawek. Nic nie jedzą i nie piją.

Kocięta zdechły w ciągu trzech dni. Garber powiedział, że cały ten czas spędziły, stojąc na przednich łapach.

Od tamtej pory Modest Fomicz przestał zajmować się tresurą zwierząt. Akwarium z rybkami i papugę podarował dzieciakom z sąsiedztwa.

W nocy prześladowuje go jeden i ten sam sen: wycieńczone niemowlęta w kaftanikach w szale rozwiązują równania różniczkowe.

Każdego dnia pojawia się w „klubie emerytów”, gdzie do wieczora gra w domino.

W środku dnia jak zwykle pojawia się Garber, kierujący się do stolików z szachami.

Obaj panowie kłaniają się sobie chłodno.

Przełożyła Iwona Czapla

SŁOŃCE ZACHODZI W DONOMAGU

Leżę w gęstej, pachnącej trawie u stóp wysokiego wzgórza. Na jego szczycie stoi dziewczyna. Rozpuszczone włosy zakrywają obnażone do pasa ciało. Widoczne są jej zgrabne, nagie nogi o okrągłych kolanach. Wiem, że powinna do mnie zejść. Dlatego tak szybko wali mi serce i krew pulsuje w skroniach. Dlaczego zwleka?!

– URODZONY W PROBÓWCE, POBUDKA!

Jeszcze przez kilka chwil staram się utrzymać w budzącym się mózgu słodkie widzenie, ale nagły strach zmusza mnie do otwarcia jednego oka. Nad wezglowiem łóżka znajduje się Indykator Myśli. Koniecznie muszę ustalić, czy znany jest mu mój sen. Przekłeta lampka rozbłyska ledwie zauważalnym czerwonym światłem i zaraz gaśnie. Wygląda na to, że po prostu ze mnie drwi. Przecież, jeśli maszyna rozszyfrowała bioprądy mózgu w czasie snu, to nie uniknę kary. Nieszczęsny sen! Prześladowuje mnie każdej nocy. Nie wiadomo, skąd się wziął. Nigdy nie widziałem ani trawy, ani dziewczyn, ani wzgórz. Wszystko, co o nich wiem, opowiedział mi Urodzony przez Kobietę. To było bardzo dawno, kiedy mógł jeszcze kręcić rękojeścią generatora. Potem umarł, otrzymawszy zadanie na czterdzieści tysięcy na dzień. Dla starca było to nadmiernym obciążeniem. Możliwe, że maszyna zrobiła to specjalnie, uznawszy za niebezpieczne trzymanie nas razem; w końcu to on nauczył mnie oszukiwać Indykator Myśli. Teraz jest nas dwoje: maszyna i ja, Urodzony w Probówce. Nie wiem, czy cokolwiek jeszcze istnieje na świecie. Chciałbym, żeby gdzieś rzeczywiście był wielki świat, o którym mówił starzec, gdzie dziewczęta przechadzają się po zielonej trawie. W tym świecie nie ma Indykatora Myśli i wszyscy ludzie są urodzeni przez kobiety.

O tym wszystkim myślę bardzo ostrożnie; z przerwami, wystarczająco długimi, jak uczył mnie starzec, żeby nie zapaliła się lampka indykatora. Moje rozmyślenia przerywa nowy okrzyk:

– BADANIE FIZJOLOGICZNE!

Z sufitu opuszcza się kilka węży z elastycznymi końcówkami. Przysysają się do mojej potylicy, do nadgarstków i do krzyża. Teraz

analityczne urządzenie ustali, do czego jestem dzisiaj zdolny. To najbardziej stresujący moment nadchodzącego dnia. Ostatecznie na podstawie analizy zostanie mi przydzielone zadanie, a jego rozmiar zależeć będzie od tego, czy indykator wywęszył mój sen, czy nie.

Sukces! Zadanie nie jest trudniejsze niż zwykle.

– CZTERY TYSIĄCE KILOGRAMOMETRÓW FIZYCZNEJ PRACY
I TRZYSTA KILOGRAMOMETRÓW UMYSŁOWEJ.

Dzisiejszy dzień zaczyna się wprost wspaniale!

Stające dęba łóżko zrzuca mnie na podłogę, a ja kieruję się do rękojeści ładującej generatora.

Cztery tysiące kilogramometrów – dokładnie tyle, żeby naładować akumulatory maszyny na dobę.

Chwytam za rękojeść i natychmiast stalowa bransoleta zatrzaskuje się na nadgarstku ręki. Teraz się nie otworzy, dopóki na liczniku nie będzie czterech tysięcy kilogramometrów.

Zaczynam obracać korbą. Każdy obrót, to jeden kilogramometr. Nie należy się zatrzymywać. Jest to niezbędne do prawidłowego ładowania, jeśli przestanę kręcić otrzymam bardzo nieprzyjemny wstrząs elektryczny.

Bacznie obserwuję licznik. Sto, sto pięćdziesiąt, dwieście...

Zdaje się, że dzisiaj nie będzie karnego obciążenia, strzałka woltomierza cały czas stoi na zielonej kresce.

Znowu próbuję myśleć o dziewczynie i o świecie, który jest mi znany tylko z opowieści Urodzonego przez Kobietę. Od czasu do czasu rzucam spojrzenie na lampkę indykatora. Ta pali się ciemnoczerwonym światłem. Prąd indykatora jest zbyt słaby, żeby zadziałał przekaźnik analizatora. Wszystko to dlatego, że myślę o zakazanych rzeczach w oderwanych, niepołączonych ze sobą, krótkich sekwencjach. Moje jawne myśli całkowicie zajęte są ładowaniem akumulatorów.

...pięćset, pięćset pięćdziesiąt, sześćset...

Strzałka woltomierza zaczyna drżeć. To bardzo źle. Jak dawniej otrzymuję od siedmiuset do tysiąca kalorii na dobę, ale z jakiegoś powodu w ostatnim czasie to mi nie wystarcza. Może winne są sny, nie dające mi spokoju w nocy.

...tysiąc sto, tysiąc sto pięćdziesiąt, tysiąc dwieście...

Lepki pot zalewa mi oczy. Wydaje mi się, jakby ktoś bił mnie w potylicę czymś miękkim i zarazem bardzo ciężkim. Strzałka woltomierza

opada do czerwonej kreski.

...dwa tysiące siedemset, dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt, dwa tysiące osiemset...

Ostre elektryczne wyładowanie w ręce. Obrót rękojeści przyspiesza, strzałka oddala się od czerwonej kreski.

...trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt, trzy tysiące pięćset...

„Przeklęta maszyna!”

Lampka indykatora zapala się ostrym światłem. Punkt karny. Nie rozumiem, jak mogłem zapomnieć. Bezwzględnie muszę być bardziej ostrożny.

...Dwa tysiące sto, dwa tysiące sto pięćdziesiąt, dwa tysiące dwieście...

Maszyna zmniejszyła liczbę wykonanych obrotów o wielkość kary.

Teraz elektryczne wyładowania w ręce następują jeden za drugim. Strzałka miota się od zielonej kreski do czerwonej i z powrotem. Zdaje mi się, że zaraz stracę przytomność.

...trzy tysiące osiemset, trzy tysiące osiemset pięćdziesiąt, trzy tysiące dziewięćset...

Nie widzę już podziałki licznika. Próbuję odliczać w głowie:

...trzy tysiące dziewięćset jeden, trzy tysiące dziewięćset dwa, trzy tysiące dziewięćset trzy... uderzenie!.. trzy tysiące dziewięćset pięć, trzy tysiące dziewięćset sześć... uderzenie!... trzy tysiące dziewięćset osiem... uderzenie!

Porzucam liczenie obrotów, liczę elektryczne wstrząsy:

...siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście...

Błogość! Stalowa bransoleta otworzyła się. Padam na podłogę. W uszach dzwoni mi od szaleńczo pulsującej krwi. Teraz trzydzieści minut odpoczynku! Jak szybko mijają te minuty.

– TRZYSTA KILOGRAMOMETRÓW UMYSŁOWEJ PRACY!

To już drobnostka, trzysta kilogramometrów wyrobię w dwóch czterowierszach. Na wszelki wypadek trzeba spróbować udobruchać maszynę. A nuż wie o śnie?

Piszę wiersz, sławiący troskę maszyny o Urodzonego w Probówcze, wygładzam ostre rogi. Kiedyś napomknąłem w jednym z czterowierszy o tym, że maszyna i człowiek nie mogą istnieć bez siebie, i zarobiłem za to dziesięć karnych punktów, przyszło mi cały dzień kręcić rękojeścią.

– OKREŚLENIE RACJI ŻYWNOCI!

Znowu z sufitu opuszczają się giętkie węże z przyssawkami.

Coś dzisiaj analityczne urządzenie długo oblicza. Umieram z głodu.

– OSIEMSET KALORII POŻYWIENIA.

Osiemset kalorii to dla mnie mało, ale nie ma sensu się spierać. Trzeba brać, co dają.

Wszystkie troski o wyżywienie spoczywają na mnie. Maszyna tylko wydziela racje i dawkuje porcje.

Ze smutkiem oglądam moje plantacje. Kadź z chlorem i beczka drożdży, rozmnażających się na moich fekaliach.

Podchodzę do rynienki i zlizuję wymierzoną dla mnie porcję.

Mało, bardzo mało, ale nic nie poradzę! Jedzenia mam ledwo, ledwo.

– DWADZIEŚCIA MINUT CZASU PRYWATNEGO, SERWIS MASZYN, OSIEM GODZIN SNU.

Dodaję do beczki fekalia, mieszam masę i dolewam wody do kadzi z chlorem. Oto mój „prywatny czas”.

Do samego wieczora sprawdzam liczne zworniki maszyny, póki nie rozlegnie się komenda:

– TROSKA O ZDROWIE NARODZONEGO W PROBÓWCE.

Znowu badanie fizjologiczne. Oczy kleją mi się ze zmęczenia. Na szczęście, to wszystko zaraz się skończy i można będzie położyć się do łóżka. Przedemną osiem godzin snu.

Co to?! Czyżbym się przesłyszał?!

– MANIAKALNO-EROTYCZNA PSYCHOZA. PRZYMUSOWE LECZENIE, DZIESIĘĆ TYSIĘCY KILOGRAMOMETRÓW PRZED SNEM.

Zatem to wszystko było podłą grą! Maszyna wiedziała o śnie.

Znowu kręcę rękojeścią.

...sto dziesięć, sto dwadzieścia, sto trzydzieści...

Ostatnie promienie zachodzącego słońca ubarwiają krwawym kolorem matowe okna maszynowej sali.

...dwieście pięćdziesiąt, dwieście sześćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt...

Mija jeszcze kilka minut i w zapadłej ciemności widzę tylko świecący cyferblat licznika i purpurowe oczko indykatora. Tym razem nie spuszczam z niego oczu, ponieważ myślę, jak dobrze byłoby umrzeć. Wtedy nie będzie

komu kręcić rękojeścią i przeklęta maszyna zastopuje swoje działanie z powodu braku prądu.

Tę myśl rozkładałam na setki drobnych fragmentów z długimi pauzami, żeby nie zadziałał przekaźnik Indykatora Myśli.

...tysiąc sto, tysiąc sto pięćdziesiąt, tysiąc dwieście...

Przełożyła Iwona Czapla

COŚ NOWEGO O SHERLOCKU HOLMESIE

Londyńska niedziela zawsze przepelniona jest nudą, a jeśli do tego jeszcze pada deszcz, to uczucie to staje się wręcz nie do zniesienia.

Razem z Holmesem spędzaliśmy niedzielny dzień w naszym mieszkaniu na Baker Street. Wielki detektyw patrzył w okno, postukując swoimi szczupłymi, długimi palcami w szybę.

Wreszcie przerwał przeciągające się milczenie.

– Czy nie zastanawiałeś się, drogi Watsonie, nad tematem nierównowartości ludzkich strat?

– Chyba nie za bardzo cię rozumiem, Holmesie.

– Zaraz wyjaśnię; kiedy człowiek traci włosy, to po prostu je traci. Kiedy traci kapelusz, to jakby stracił dwa kapelusze; jeden, który zgubił i drugi, który musi kupić. Kiedy człowiek traci oko, to nie wiadomo, czy cokolwiek stracił, bo przecież jednym okiem widzi wszystko to, co inni widzą, mając swoje dwoje oczu. Ci z kolei, którzy mają dwoje oczu, widzą u niego tylko jedno. Kiedy człowiek traci rozum, to najczęściej stracił to, czego i tak nie miał. Kiedy człowiek traci wiarę w siebie, to... Zresztą, zaraz, zdaje się, zobaczymy człowieka, który stracił wszystko to, co wymienilem. Oto i on. Właśnie dzwoni do naszych drzwi!

Po minucie do pokoju wszedł otyły, łysy człowiek bez czapki, wycierający chusteczką do nosa krople deszczu z okrągłej czaszki. Jego lewe oko skrywała czarna opaska. Cała jego postać wyrażała stan całkowitego zakłopotania.

Holmes uklonił się ceremonialnie.

– Jeśli się nie mylę, to mam zaszczyt gościć u siebie księcia Montmorency? – zapytał z ujmującą wytwornością.

– Czyżby pan mnie znał, panie Holmes? – zapytał zdumiony tłuścioch.

Holmes wyciągnął rękę i zdjął z półki książkę w czarnej, płóciennej oprawie.

– Tutaj, wasza wysokość, jest moja skromna praca, spis wszystkich rodowych pierścieni. Nie byłbym detektywem, gdybym na pierwszy rzut oka nie rozpoznał słynnego pierścienia, Montmorency. Zatem, czym mogę

panu służyć? Proszę nie krępować się obecnością mojego przyjaciela i mówić o wszystkim otwarcie.

Jakiś czas książę wahał się, wyraźnie nie mogąc się zdecydować, od czego zacząć.

– Chodzi o moją cześć, panie Holmes – powiedział, z trudem dobierając słowa. – To bardzo delikatna sprawa. Krótko mówiąc; moja żona uciekła. Z pewnych względów nie mogę zwrócić się z tym do policji. Błagam pana o pomoc! Proszę mi wierzyć, że kieruje mną coś więcej niż zazdrość, czy urażona ambicja. Sprawa może przyjąć bardzo nieprzyjemny obrót z politycznego punktu widzenia.

Po blasku przymkniętych oczu Holmesa wywnioskowałem, że cała ta historia bardzo go interesuje.

– Czy nie zechciałby pan przedstawić okoliczności, w jakich doszło do ucieczki? – zapytał.

– Wszystko wydarzyło się wczoraj. Byliśmy w kajucie „Mauretanii”, przygotowującej się do wypłynięcia w rejs do Francji. Wyszedłem na minutkę do baru, a żona została w kajucie. Wypiłem szklaneczkę whisky i wróciłem, ale drzwi okazały się zamknięte. Otworzywszy je swoim kluczem, odkryłem, że żona i wszystkie należące do niej rzeczy, zniknęły. Zwróciłem się do kapitana, cały parowiec został przeszukany od szczytu masztu po kil, niestety, bez rezultatu.

– Czy milady miała pokojówkę?

Nasz gość zmieszał się.

– Widzi pan, panie Holmes, odbywaliśmy podróż poślubną, wątpliwe więc, żeby postronne osoby mogły sprzyjać...

Dobrze znałem delikatność mojego przyjaciela w takich sprawach i nie zdziwiłem się temu, że gestem poprosił księcia, żeby ten nie kontynuował opowieści.

– Mam nadzieję, że uda mi się panu pomóc, wasza wysokość – powiedział Holmes, wstając, żeby podać gościowi jego palto. – Czekam na pana jutro o dziesiątej rano.

Holmes uprzejmie zdjął puszek z kołnierzyka księcia i odprowadził go do drzwi.

Kilka minut spędziliśmy w milczeniu. Holmes, siedząc za stołem, coś dokładnie obserwował przez lupę.

Wreszcie nie wytrzymałem.

– Interesujące, Holmes, co też myślisz o tej historii?

– Myślę, że księżna Montmorency to brudne zwierzę! – odpowiedział, z niezwykłą ostrością. Zresztą, Holmes zawsze był bardzo surowy w sprawach moralności.

– A teraz, Watson, spać! Jutro czeka nas ciężki dzień. À propos, mam nadzieję, że masz przy sobie swój wojskowy pistolet? Może nam się przydać.

Zrozumiałem, że nic już więcej z Holmesa nie wyciągnę, zatem życzyłem mu spokojnej nocy i poszedłem do siebie.

Następnego ranka ksiązę nie kazał na siebie czekać. Punktualnie o dziesiątej zadzwonił do naszych drzwi.

Holmes zamówił już dorożkę i wyruszyliśmy pod wskazany adres.

Jechaliśmy bardzo długo i nasz klient zaczął z lekka tracić cierpliwość. Nieoczekiwanie Holmes nakazał dorożkarzowi zatrzymać się w okolicy doków. Gwizdnął i z za rogu pojawił się drażal z rudym kangurem na uwięzi.

– Wasza wysokość – zwrócił się Holmes do księcia. – Proszę wręczyć mi piętnaście funtów, trzy szylingi i cztery pensy w obecności mojego przyjaciela, pana Watsona. Z tej sumy jestem winien dziesięć funtów właścicielowi zwierzęcia, za księżną Montmorency; a pozostałą kwotę wniosę celnikom w charakterze grzywny za próbę bezprawnego wywozu zwierząt z Anglii.

Ksiązę roześmiał się serdecznie.

– Proszę mi wybaczyć, mistrzu Holmesie, to małe oszustwo – powiedział, wyjmując portfel. – Nie mogłem powiedzieć wam, że pod postacią milady na parowcu ukrywał się kangur. Nigdy nie wybrałyby się pan na poszukiwanie zwierzęcia. Zmuszony byłem naruszyć prawo i przywieźć do Francji to zwierzę z powodu głupiego zakładu. Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie pretensji?

– Ani trochę! – odpowiedział Holmes, wyciągając do niego rękę.

W jednej chwili w rękach Holmesa błysnęły kajdanki, które szybko zatrzasnęły się na nadgarstkach księcia.

– Inspektorze Leuthard! – powiedział Holmes, zwracając się do naszego dorożkarza. – Może pan aresztować profesora Moriarty za zabójstwo księcia i księżnej Montmorency. Dokonał tego przestępstwa, żeby wykraść

błękitny karbunkuł, znajdujący się obecnie w torbie tego kangura. Niech się pan nie trzusi, profesorze, mój przyjaciel Watson wystrzeli pierwszy!

– Powiedz, Holmesie – zapytałem przyjaciela wieczorem – jak domyśliłeś się, że to nie była milady, a kangurzyca?

– Przy pierwszym spotkaniu zdjąłem z naszego klienta rudy włos. Ze zdobytych przeze mnie informacji wiedziałem, że milady była brunetką, a co za tym idzie, włos mógł należeć do pokojówki albo do zwierzęcia. Pokojówka, jak wiesz, drogi Watsonie, została wykluczona. To, że była to samica kangura, ustaliłem za pomocą lupy. A teraz, Watsonie – zakończył – mam zamiar na dwa lata zostawić wszystkie sprawy, żeby uzupełnić moją monografię o czarnych drozdach.

– Ostatnie pytanie – poprosiłem. – Jak udało ci się rozpoznać, że pod postacią księcia ukrywa się Moriarty?

– Nie wiem – z zakłopotaniem odpowiedział Holmes. – Może... może, obserwowałem go przez te wszystkie lata?

Westchnąłem, po czym położyłem rękę na ramieniu Holmesa i nacisnąłem ukryty pod marynarką przycisk wyłącznika. Potem zdjąłem z Holmesa tylny panel i zacząłem lutować obwód. Nie warto było nawet próbować sprzedawać go w takim stanie do Scotland Yardu.

Przełożyła Iwona Czapla

FIOŁEK

Miasto rozpościerało się od polarnych lodowców aż po pas równikowy. Zachodnie i wschodnie granice Metropolii omywane były przez fale dwóch oceanów.

Daleko, za lasem naftowych wież, które przyssały się do morskiego dna, rozciągały się także inne miasta, ale to było największe; wdzierało się dwa kilometry w głąb ziemi i na czterdzieści kilometrów wznosiło się wzwyż. Podobne do gigantycznej ośmiornicy, legło na lądzie, zapuszczając ogromne rury w wodę.

Rury te zasysały wszystko, co niezbędne dla dokonania wszelkiej syntezy; czy to artykułów spożywczych czy też innych produktów na potrzeby mieszkańców Metropolii.

Oczyszczona woda transportowana była do podziemnych rekuperatorów, wyciągała z planety ciepło, oddawała je Miastu i ponownie spływała do oceanu.

Dach Giganta był swoistymi płucami. Tutaj, na niezmiernych przestrzeniach warstwy regeneracyjnej, umieszczonej powyżej chmur, promienie słoneczne rozszczepiały produkty uboczne oddychania czterdziestu miliardów ludzi, wzbogacając powietrze Miasta w tlen.

Było ono tak samo żywe, jak i ci, którzy go zasiedlali, Metropolia, najwspanialsza konstrukcja planety.

W podziemnych kondygnacjach Miasta znajdowały się fabryki. Tutaj wpływały surowce i stąd nieprzerwanym potokiem płynęła do każdego zakątka Metropolii żywność, odzież i wszystko, czego potrzebowali liczni i wymagający mieszkańcy.

Tutaj, w świecie fosforyzujących roztworów, bez ingerencji człowieka dokonywały się tajemnicze i bezszelestne procesy Syntezy.

Wyżej, w niekończących się labiryntach mieszkalnych kwartałów, jak w każdym mieście, rodzili się, umierali, pracowali i marzyli ludzie.

* * *

– Jutro nie będzie lekcji – powiedziała nauczycielka. – Pójdziemy na wycieczkę do rezerwatu. Uprzedźcie rodziców, że wrócicie do domu godzinę później.

– Co to takiego rezerwat? – zapytała dziewczynka z dużą kokardą na głowie.

Nauczycielka uśmiechnęła się.

– Rezerwat, to takie miejsce, gdzie zebrane są wszystkie rośliny.

– Co jest zebrane?

– Rośliny. W drugim półroczu będę wam o nich opowiadać.

– Niech pani opowie teraz – poprosił chłopczyk.

– Tak, tak, niech pani opowie! – rozległy się głosy.

– Teraz mamy bardzo mało czasu, a to długa opowieść.

– Niech pani opowie, prosimy!

– No dobrze, cóż mogę z wami zrobić! Rzecz w tym, że Donomag nie zawsze był taki, jak teraz. Wiele stuleci temu istniały małe osady...

– I nie było Miasta? – zapytał chłopiec.

– Takich wielkich miast, jak nasze, jeszcze nie było.

– A dlaczego?

– Z wielu powodów. W tamtych czasach wszystko wyglądało inaczej; życie ludzkie było bardzo skomplikowane. Nikt nie potrafił robić syntetycznego jedzenia, żywiono się roślinami i zwierzętami.

– A co to takiego zwierzęta?

– O tym będziecie się uczyć w trzeciej klasie. Tak więc... było bardzo dużo wolnej ziemi, zasiewano ją wszelkimi roślinami, które wykorzystywano potem w pożywieniu.

– Czy one były słodkie?

– Nie wiem – uśmiechnęła się nauczycielka. – Nigdy nie miałam okazji ich spróbować, a i nie wszystkie rośliny nadawały się do jedzenia.

– Po co je w takim razie...?

– Siano? – odpowiedziała nauczycielka.

– Tak.

– Siano tylko te rośliny, które można było jeść. Wiele gatunków rosło samo z siebie.

– A jak one rosły? Jak dzieci?

Nauczycielce zdało się, że nigdy już nie wydostanie się z labiryntu pytań.

– Widzicie – powiedziała. – Mówiłam, że w pięć minut nie można o tym opowiedzieć. One rosły, ponieważ pobierały z gruntu substancje odżywcze i wykorzystywały słoneczne światło. Jutro zobaczycie to wszystko na własne oczy.

* * *

– Mamo, idziemy jutro do rezerwatu! – krzyknął chłopiec, otwierając drzwi.

– Słyszysz? Nasz malec idzie do rezerwatu.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Czy rezerwat w ogóle jeszcze istnieje? Wydawało mi się, że...

– Istnieje, istnieje! Nauczycielka wszystko nam dzisiaj o nim opowiedziała. Są tam wszelkie rośliny, jedzą coś z ziemi i rosną! Rozumiesz, same rosną!

– Rozumiem – powiedziała matka. – Też tam byłam, dwadzieścia lat temu. To miejsce jest bardzo sentymentalne i bardzo... naiwne.

– Nie wiem – powiedział ojciec. – Na mnie, szczerze mówiąc, jakiegoś szczególnego wrażenia nie zrobiło. Poza tym, tam jest naga ziemia, widok niezbyt estetyczny.

– Pamiętam, że była tam trawa – z rozmarzeniem odezwała się matka. – Gęsty dywanik zielonej trawy.

– Jeśli chodzi o mnie, to wolę dobrą podłogę z ogrzewanego plastiku – powiedział ojciec.

* * *

Winda miękko zwolniła błyskawiczne opadanie.

– Tutaj będziemy musieli się przesiąść – powiedziała nauczycielka. – Szybkobieżne windy nie zjeżdżają niżej.

Długo stali przed dziwnymi drzwiami z kratką, obserwując nieśpieszny ruch stalowych lin, nawijających się na skrzypiące wałki, aż z dołu wypełzła skrzynia o archaicznym wyglądzie, ze szklanymi drzwiami.

Nauczycielka z trudem otworzyła kratkowane drzwi. Dzieci, przytłoczone niecodzienną sytuacją, milcząco weszły do kabiny.

Lekko potrzaskując na każdym piętrze, winda opuszczała się coraz niżej. Tutaj nie było już błyszczących paneli, ani nasyconego aromatami ciepłego powietrza. Zapachy utraciły czarujący wdzięk syntetyki i wywołały u dzieci niejasny niepokój. Czworobok bezdennej studni oświetlony był rażącym po oczach światłem fluorescencyjnych lamp. Zdawało się, że chropowate betonowe ściany szybu, gotowe są zatrzaskać się nad ich głowami i na zawsze pogrzebać w tym dziwnym, pozbawionym radości świecie.

– Długo jeszcze? – zapytał chłopiec.

– Jeszcze dwadzieścia pięter – odpowiedziała nauczycielka. – Rezerwat położony jest na samym dole, roślinom potrzebna jest ziemia.

– Chcę do domu! – załkała najmniejsza dziewczynka. – Nie podoba mi się tutaj!

– Zaraz, moja kochana, wszystko się skończy – powiedziała nauczycielka. Sama też nie czuła się zbyt komfortowo. – Wytrzymaj jeszcze minutkę.

W dole coś głośno zgrzytnęło i kabina zatrzymała się.

Nauczycielka wyszła pierwsza, za nią, w pośpiechu, przycisnęli się przez drzwi uczniowie.

– Czy są wszyscy?

– Wszyscy – odpowiedział chłopiec.

Stali w półmroku korytarza, którego koniec ginął w nieprzeniknionej ciemności.

– Chodźcie za mną.

Kilka minut szli w milczeniu.

– Oj, coś tutaj kapie z sufitu! – pisnęła dziewczynka z kokardą na głowie.

– To rury dostarczające wodę do rezerwatu – uspokoiła ją nauczycielka. – Widać zaczęły przeciekać ze starości.

– A gdzie jest rezerwat? – zapytał chłopiec.

– Tutaj – otworzyła okute żelazem drzwi. – Wchodźcie pojedynczo.

Oszołomieni nagłym przejściem z półmroku do jasnego światła, mimowolnie zmrużyli oczy. Minęło kilka minut, zanim ciekawość zmusiła ich do rozejrzenia się dookoła.

Czegoś takiego jeszcze nie widzieli.

Niekończąca się studnia, na dnie której się znajdowali, cała wypełniona była słońcem. Lejący się z góry potok światła rozpałił żółtym płomieniem ściany szybu, przelewając się tęczą w drobnych bryzgach wody małej fontanny, unosił z wilgotnej ziemi ciężkie, gęste wyziewy.

– To słońce – powiedziała nauczycielka. – Już wam o nim opowiadałam. Specjalne lustro, ustawione na górze, łowi promienie słoneczne i kierują je w dół, żeby zapewnić roślinom warunki, w których żyły wiele stuleci temu.

– Ono jest ciepłe! – krzyknął chłopiec, wyciągnąwszy rękę przed siebie.
– To słońce jest ciepłe! Patrzcie, łowią je rękami!

– Tak, jest bardzo gorące – powiedziała nauczycielka. – Temperatura na powierzchni słońca sięga sześciu tysięcy stopni, a w jego głębi jest jeszcze goręcej.

– Nie, ono nie parzy, czuję to, jest tylko ciepłe – oznajmił chłopiec. – Jest takie jak ściany w naszym domu, tylko zupełnie inne, o wiele lepsze! A dlaczego nam, w Mieście, nie dają słońca?

Nauczycielka ściągnęła brwi. Wiedziała, że są pytania, wywołujące lawinę następnych. Ostatecznie to tylko dzieci i bardzo trudno jest im zrozumieć problemy, które czasami zapędzają w kózki nawet najtęższych filozofów. Czy można wyjaśnić w prosty sposób, że czterdzieści miliardów ludzi... A jednak na każde pytanie jakoś trzeba odpowiedzieć.

– Nie moglibyśmy istnieć bez słońca – powiedziała, głaszcząc chłopca po głowie. – Całe nasze życie zależy od niego. Tylko rośliny bezpośrednio wykorzystują promienie słoneczne. Jeśli chodzi o nas, ludzi, wykorzystujemy energię słońca do pracy w regeneracyjnych urządzeniach i w bateriach solarnych. Co zaś tyczy się słonecznego światła, to nie jest nam ono potrzebne. Czy to mało światła dają nasze lampy?

– Ale światło lamp jest zupełnie inne, chłodne! – stanowczo zakomunikował chłopiec. – Nie można go złapać w dłonie, a to można.

– Tak ci się tylko wydaje. W przyszłym roku zaczniesz uczyć się fizyki i zrozumiesz, że to tylko wrażenie pozorne. A teraz poprosimy ogrodnika, żeby pokazał nam rośliny.

Ogrodnik był bardzo stary i bardzo dziwny. Niskiego wzrostu; z długą, białą brodą, która sięgała mu poniżej pasa. Małe oczy skrywały się w

dwóch szczelinkach na twarzy, nad którymi sterczały szare krzaczki brwi. I ubrany był w jakiś dziwaczny biały fartuch.

– Czy on jest zabawką? – zapytał chłopiec.

– Ciszej! – szepnęła nauczycielka. – Lepiej mniej mów, a więcej patrz.

– A ja mogę i patrzeć, i mówić – powiedział chłopiec. Zdało mu się, że ogrodnik otworzył szerzej jedno oko i mrugnął do niego. Był tego prawie pewien.

– O tutaj – powiedział ogrodnik cieniuteńkim głosem. – Tutaj mamy pożyteczne zboża. Pięćdziesiąt pędów pszenicy. Teraz jeszcze nie dojrzały, ale w ciągu miesiąca na każdym źdźble pojawi się po kilka kłóskó w ziarnami. Wcześniej te ziarna przeznaczone były do jedzenia, robiono z nich chleb.

– Czy był smaczny? – zapytała dziewczynka z kokardą.

– Tego nikt nie wie – odpowiedział starzec. – Przepis na przygotowanie roślinnego chleba dawno zaginął.

– A co pan robi z ziarnami? – zapytała nauczycielka.

– Część zostaje użyta po to, żeby wyhodować nowe plony, część idzie na zamianę nietykalnego muzealnego zapasu, a pozostałe... – rozłożył ręce – pozostałe trzeba wyrzucać. Mamy przecież mało ziemi, ot, tylko ta grządka z pszenicą, dwa drzewa, mało kwiatów i łączka z trawą.

– Chodźcie, popatrzymy na kwiaty – zaproponowała nauczycielka.

Ogrodnik zaprowadził ich do małego klombu.

– To fiołki, jedyny gatunek kwiatów, jaki ocalał – pochylił się, żeby ostrożnie poprawić zwinięty listek. – Wcześniej, kiedy jeszcze istniały owady, zapylenie...

– Oni jeszcze tego nie przerabiali – przerwała mu nauczycielka.

– Można je dotknąć? – zapytał chłopiec.

– Nachyl się i powąchaj – powiedział ogrodnik. – Pięknie pachną.

Chłopiec uklęknął i wciągnął delikatny aromat, zmieszany z zapachami wilgotnej, gorącej ziemi.

– Och! – wyszeptał, pochylając się jeszcze niżej. – Och, przecież to... – Było mu bardzo trudno wyrazić to, co czuł. Zapach wywoływał jakieś wspomnienia, niejasne i niepokojące.

Pozostałe dzieci już oglądały trawę i drzewa, a on wciąż jeszcze klęczał, przytulając twarz do miękkich, pachnących płatków.

– No, to wszystko! – Nauczycielka spojrzała na zegarek. – Pora na nas. Musimy wracać. Podziękujcie ogrodnikowi za interesującą wycieczkę.

– Dziękujemy! – chórem wykrzyknęły dzieci.

– Do widzenia! – powiedział ogrodnik. – Zajrzyjcie jeszcze kiedyś.

– Koniecznie – odpowiedziała nauczycielka. – Ta wycieczka jest w programie pierwszej klasy. Następnym razem przyjdę w przyszłym roku, już z nowymi uczniami.

Chłopiec był prawie w drzwiach, kiedy zdarzył się cud. Ktoś z tyłu szarpnął go za rękę. Odwrócił się i zobaczył, jak ogrodnik daje mu zerwany fiołek. Przy tym z miną spiskowca przyłożył palec do ust.

– To... dla mnie?! – cicho zapytał chłopiec.

Ogrodnik pokiwał głową.

– Czekamy na ciebie! – krzyknęła do chłopca nauczycielka. – Wiecznie się ociągasz!

– Idę! – wsunął kwiatek za pazuchę i czmychnął do korytarza.

Tego wieczoru chłopiec położył się spać wcześniej niż zazwyczaj. Zgasił światło, położył fiołek obok, na poduszce i długo leżał z otwartymi oczami, nad czymś rozmyślając.

Był już ranek, kiedy matka usłyszała dziwne dźwięki, dobiegające z dzieciennego pokoju.

– Zdaje się, że malec płacze – powiedziała do męża.

– Pewnie przemęczenie po tej wycieczce – mruknął ten, przewracając się na drugi bok. – Już wieczorem zauważyłem, że jest jakiś dziwny.

– Trzeba zobaczyć, co tam się stało – powiedziała matka, nakładając szlafrok.

Chłopiec siedział na łóżku i gorzko płakał.

– Co się stało, maleńki? – usiadła obok i objęła go.

– Patrz! – chłopiec otworzył pięść.

– Co to?

– Fiołek! – na jego dłoni leżało kilka zmiętych płatków i zwiędła łodyżka. – To fiołek, dał mi go ogrodnik. Tak ładnie pachniał!

– No co ty, głuptasku?! – powiedziała matka. – Też masz o co płakać. Mamy w domu takie cudowne róże.

Wstała i przyniosła z sąsiedniego pokoju wazon z kwiatami.

– Chcesz, to wyreguluję je dla ciebie na najsilniejszy zapach?
– Nie chcę! Nie podobają mi się te kwiaty!
– Ale one są o wiele piękniejsze od twojego fiołka i ładniej pachną.
– Nieprawda! – krzyknął chłopiec, uderzając pięścią w poduszkę. –
Nieprawda! Fiołek, to zupełnie co innego, on... on... – i znowu rozpłakał
się, po tym, jak nie znalazł potrzebnego słowa.

Przełożyła Iwona Czapla

STARUSZKOWIE

Siemako włożył papiery do teczki.

– Czy to wszystko? – zapytał Golikow.

– Jeszcze jedna sprawa, Nikołaju Pietrowiczu. Zadania z astronautyki, jakie wyznaczyła nam Komisja, w tym miesiącu nie pociągniemy. Po prostu nie damy rady.

– Dlaczego?

– Nie zdążymy.

– Musimy zdążyć. Plan musi zostać wykonany za wszelką cenę. W najgorszym razie podeślę panu dodatkowego programistę.

– Nie chodzi o programistę. Już dawno prosiłem o jeszcze jedną maszynę.

– A ja już dawno pana prosiłem, żeby pan wyrzucił „Orkana”. Przecież tego rupiecia mamy uwzględnionego w bilansie. Niech pan zrozumie, że tam, na górze, mało orientują się w detalach technicznych. Jest maszyna to dobrze. Już drugi raz obcięli zapotrzebowania. „Orkan”! Też nazwę pan wymyślił!

– Zapomina pan, że...

– O niczym nie zapominam – przerwał Golikow. – Wszystkie te głupie próby wymodelowania mózgu w maszynach do liczenia, dawno skończyły się fiaskiem. Mamy tu Centrum Obliczeniowe, a nie muzeum. Przyjeżdżają różne komisje, zagraniczne delegacje. Po prostu wstyd prowadzić ich do pańskiego laboratorium. W żaden sposób nie mogę pojąć, co pan znalazł w tym „Orkanie”?!
Siemako zawahał się.

– Widzi pan, Nikołaju Pietrowiczu, pracuję na „Orkanie” już trzydzieści lat. Kiedyś była najbardziej doskonałą z naszych maszyn. Może to sentymentalne, głupie, ale ja po prostu nie mogę podnieść ręki...

– Bzdura! Wszystko ma swój koniec. I nas, szanowny Juriju Aleksandrowiczu, również kiedyś odeślą na śmietnik. Nic się na to nie poradzi, takie życie!

– No, dla pana, to jeszcze zbyt wcześnie, by o tym myśleć...

– Wcale nie – zmieszał się Golikow. – Źle mnie pan zrozumiał. Rzecz nie w tym, w jakim jesteśmy wieku. Piętnaście lat wcześniej, czy później, to niewielka różnica. Tak czy owak, koniec jest jeden. Ale my, ja i pan, jesteśmy ludźmi, że tak powiem, homo sapiens, a to, proszę wybaczyć za wyrażenie, klekot, po prostu nieudana próba modelowania.

– A jednak...

– A jednak wyrzucicie ją w diabły, a w następnym kwartale obiecuję panu maszynę wybraną spośród najnowszych modeli. Niech pan nad tym pomyśli.

– Dobrze, pomyślę.

– A plan trzeba wykonać, bez względu na okoliczności.

– Postaram się.

* * *

W otoczeniu niskich, pełnych wdzięku, jak pantery, maszyn z molekularnymi elementami, ta ogromna, dudniąca szafa zdawała się przedpotopowym potworem.

– Czym się zajmujesz? – zapytał Siemako.

Automat przerwał obliczanie.

– O, sprawdzam rozwiązanie zadania, które rozwiązała ta... molekularna. Trzeba je ciągle sprawdzać. Liczą przecież bezmyślnie. Chociaż szybko. Ale bezmyślnie.

Siemako odsunął osłonkę i spojrzął na wyjściowe dane. Zadanie numer dwadzieścia cztery. Żeby powtórzyć wszystkie wyliczenia, „Orkan” potrzebowałby nie mniej niż trzy tygodnie. I dlaczego przyszło mu to do głowy?

– Nie warto – powiedział, zamykając klapkę. – Zadanie zostało zdublowane w drugiej maszynie, konwergencja jest w pełni zadowalająca.

– Szybko to zrobię – postukiwania maszyny przeszły w ogłuszający zgrzyt. Lampki na panelu zamigotały z szaloną szybkością. – Przecież potrafię!

„Krak!” – zadziałała ochrona termiczna. Tabulator zrzucił wszystkie cyfry z licznika.

Automat milczał w konsternacji.

– Nie trzeba – powiedział Siemako. – Odpocznij na razie. Jutro ci dobiore zadanie.

– Tak... widzisz tu, nie ten schemat... a to bym...

– To nic, staruszk. Wszystko będzie dobrze. Lepiej ostygnij.

– Byłeś u szefa? – zapytał „Orkan”.

– Byłem.

– Mówił coś o mnie?

– Dlaczego pytasz?

– Na dniach przychodził tutaj z naczelnikiem ACHO. Wydał polecenie. To monstrum, powiedział, na złom, bo zbyt techniczna. To było o mnie.

– Głupstwa! Nikt cię na złom nie wyśle.

– Trzeba by mi schemat podreperować, lampy zmienić, to wtedy bym pracował, wiesz, jak?

– Dobrze, coś wymyślimy.

– Lampy trzeba zmienić, ale gdzie je teraz dostać? Przecież już ze dwadzieścia lat temu zaprzestano produkcji?

– To nic. Rozprawimy się z planem, przygotuję ci nowy schemat na półprzewodnikach. Już coś z grubsza pokombinowałem.

– Naprawdę?

– Podreperujemy i będziemy na tobie studentów uczyć. Przecież ty pracujesz według zupełnie innych zasad niż te, współczesne.

– Oczywiście! A pamiętasz, jak rozwiązywaliśmy zadania, kiedy przygotowaliśmy twój pierwszy odczyt na kongres międzynarodowy?

– Jakże mógłbym zapomnieć!

– A kiedy posprzeczałeś się z Ludą, podpowiadałem ci optymalną taktykę zachowania. Pamiętasz? To było w tysiąc dziewięćset... którym to roku?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Dopiero co wzięliśmy ślub.

– Powiedz... bardzo ci jej teraz brakuje?

– Bardzo.

– Och, jak zazdrościsz!

– Czego zazdrościsz?

– Widzisz... – automat zamilkł.

– No, mów.

– Nie wiem, jak to najlepiej wyjaśnić... Właściwie wcale nie boję się... tego... końca... Tylko chciałbym, żeby komuś mnie brakowało, a nie tak po prostu... na złom, z powodu nieużyteczności. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście, rozumiem. Mnie będzie ciebie bardzo brakowało.

– Naprawdę?!

– Słowo honoru.

– Daj, coś dla ciebie obliczę.

– Jutro rano! Na razie odpoczywaj.

– No, proszę!

Siemako westchnął:

– Przecież dałem ci wczoraj zadanie.

– Ja... nie pamiętam go dobrze. Coś jest z linią utrzymania pamięci. Tobie się to nie zdarza?

– Co?

– Kiedy chcesz sobie coś przypomnieć, a nie możesz.

– Czasami się zdarza.

– A mnie teraz często.

– Nie szkodzi, wkrótce cię podreperujemy.

– Dziękuję! Zatem, powtórz proszę zadanie.

– Już późno, dzisiaj i tak już nic nie zdążysz zrobić.

– Nie wyłączaj mnie na noc. Rano przyjdiesz, a zadanie będzie rozwiązane.

– Nie trzeba – powiedział Siemako. – Ochrona pożarowa zabrania zostawiać na noc maszyny pod napięciem.

„Orkan” chrząknął.

– W młodości nie takie numery razem robiliśmy. Pamiętasz, jak pisaliśmy dysertację? Pięć dni bez przerwy.

– Wtedy były inne czasy. No, odpoczywaj, wyłączam prąd.

– Dobrze, do jutra!

* * *

Nazajutrz, po przyjeździe do laboratorium, Siemako zobaczył trzech tęgich chłopaków wynoszących „Orkan”.

– Dokąd?! – warknął na nich. – Kto tak zdecydował?!

– Nikołaj Pietrowicz kazał – wyszczerzył się kierownik ACHO, kierujący operacją. – Do utylizacji, z powodu zbyteczności.

– Poczekajcie! Zaraz do niego zadzwonię...

Panel „Orkana” zaczepił o framugę drzwi i na podłogę posypał się deszcz szklanych odłamków.

– Ech, wy!... – Siemako usiadł za stołem i zasłonił oczy rękami.

Maszynę wyciągnięto na korytarz.

– Zina!

– Słucham, Juriju Aleksandrowiczu!

– Zawołaj, proszę, sprzątaczkę. Niech zamiecie. Jeśli będą o mnie pytać, proszę powiedzieć, że pojechałem do domu.

Laborantka spojrzała na niego z przestachem.

– Co się z panem dzieje, Juriju Aleksandrowiczu?! Zmienił się pan nie do poznania. Zaraz zadzwonię do punktu medycznego.

– Nie trzeba – Siemako z trudem podniósł się z krzesła. – Po prostu straciłem dzisiaj najlepszego przyjaciela... Trzydzieści lat... Przecież ja z nim... nawet... rozmawiałem niekiedy w myślach... Wie pani, takie głupie starcze przyzwyczajenie.

Przełożyła Iwona Czapla

OSTATNI WIELORYB

Admirał dyrektor wyglądał tak, jakby przed chwilą wyskoczył z jakiejś starej książki, pełnej cudownych przygód. Rękawy granatowego munduru były aż do łokci obszyte galonami; dwa rzędy metalowych guzików ozdobionych sylwetką wieloryba błyszcząły odbitym światłem lampy; siwą głowę wieńczyła czapka z lakierowanym daszkiem, otoczonym złotym sznurem. Mięiste, mocne szczęki z błękitnymi żyłkami podpierał kołnierzyk wykrochmalonej koszuli ze starannie zawiązanym czarnym krawatem.

W obliczu tego fantastycznego przepychu Zygmunt Lanis bardziej niż zwykle odczuł swoją małość w świecie, gdzie wszystko, co było warte jakiegokolwiek uwagi, robili dorośli. Machinalnie, jakby szukając oparcia, wczepił się w rękaw dziadka.

Stary Jan Lanis także wystroił się z okazji święta. Dzisiaj zamienił tradycyjny pomarańczowy kombinezon wielorybnika na marynarski mundur, który stał się dla niego już za szeroki w ramionach.

Zyg niezauważalnie potarł nosem o rękaw munduru i wciągnął z zadowoleniem zapach naftaliny zmieszany z czymś, czym pachną tylko bardzo stare rzeczy.

– To będzie wspaniałe polowanie! – powiedział admirał dyrektor. – Do poszukiwań zaangażowano dwanaście flotylli. Mam nadzieję, że nam nie ucieknie.

Jan pokiwał głową. Jak wszyscy wielorybnicy, był trochę przesądny i nie lubił uprzedzać wypadków.

– Wieloryb jest pański, Janie – kontynuował admirał. – Sądzę, że lepszego prezentu nie mogliśmy panu ofiarować. Co pan o tym sądzi?

– Oczywiście, ale, prawdę mówiąc, jest mi niezręcznie...

– Bzdura! – przerwał admirał. – Człowiek odchodzi na emeryturę tylko raz w życiu i obowiązkiem druhów z kompanii jest godnie uczcić to wydarzenie. Proszę! – Wskazał na fotel obrotowy przed pulpitem. – Będę u siebie, w kajucie. Proszę mnie poinformować, kiedy wieloryb znajdzie się w strefie rażenia.

Admirał dyrektor odwrócił się i wyszedł ze sterówki, szeroko rozstawiając sztywne, nawykłe do ruchomego pokładu nogi.

– Usiądź, malcu! – Jan wyciągnął spod pulpitu umocowane na zawiasach siedzenie. – Dzisiaj zobaczysz polowanie, o którym nie będzie wstyd opowiadać wnukom. Podajcie rejon! – nachylił się do mikrofonu.

Na ekranie pojawił się obraz mapy.

– Poznajesz? – zapytał Jan.

Kilka sekund Zyg przyglądał się zarysom kontynentów.

– To... zdaje się... Grenlandia – powiedział niepewnie, dotykając palcem ekranu.

– Zgadza się! A to?

– To?... Nie wiem.

– Spitsbergen. A to Czukotka. No cóż, popatrzmy, gdzie może być nasz wieloryb. Dajcie ostatnie dane! – ponownie zwrócił się Jan do mikrofonu.

Na małym ekraniku z lewej strony pojawiła się kolumna cyfr.

– Tak... – Jan wprowadził dane do maszyny liczącej i nacisnął czerwony klawisz.

Po ekranie przesunęła się błękitna linia, która zamknęła akwen na mapie w kilku tysiącach mil kwadratowych.

– W tym właśnie kole trzeba go szukać.

– Dlaczego? – zapytał Zyg.

Jan wziął z pulpitu wskaźnik, dokładnie taki, jakim posługiwał się w szkole nauczyciel geografii.

– O, tutaj, boje lokacyjne zanotowały obecność wieloryba trzy godziny temu. A tutaj był jeszcze dwie godziny temu, tutaj zaś zmienił kierunek, ale raczej nie kołował, zatem z tego rejonu nie zdąży wypłynąć. Rozumiesz?

– A jeśli zanurkuje?

– To nie ma znaczenia, przed nami nie ucieknie. Będzie musiał wypłynąć na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza. Wtedy zaczniemy grę. – Jan odkaslnął. – Wielorybnicze flotylle niech zajmą pozycje wyjściowe! – W głosie dziadka pojawiły się, nieznane Zygowi, władcze tony. W taki właśnie sposób, zapewne, w przeszłości, kapitan fregaty wydawał komendy, stawiające jednostkę w gotowość bojową.

– Wkrótce go zobaczysz, malcu, ale na razie musimy trochę poczekać. Nie wszystko dzieje się od razu.

Jan wyciągnął z kieszeni starą fajkę z wytartym ustnikiem i skórzany kapciuch.

Zyg spróbował wciągnąć ustami kłęb aromatycznego dymu, ale ten umknął do góry, podchwycony sprawnie działającymi wyciągami wentylacyjnymi.

– Czy ten wieloryb jest drapieżny?

– Wątpię – uśmiechnął się Jan. – Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem zębatego wieloryba. Nie mają teraz czego żreć w oceanie. Kiedyś, gdy jeszcze były tu ryby, zdarzały się czasami takie sztuki. Ale teraz... Nie, to zwyczajny, wąsaty wieloryb, który żywi się planktonem.

– Po co go w takim razie zabijać?

Jan zaciągnął się kilka razy z rzędu.

– Jak ci to wyjaśnić? Kiedyś to było rzemiosło. Fiszbiny, tran, mięso. Teraz to wszystko nie jest warte złamanego grosza. Wiek syntetyków. To, co wyrabia się obecnie w zakładach jest lepsze i tańsze. Wkrótce nasze flotylle pójdą na złom. Są zbyt drogie w utrzymaniu, a i wielorybów już prawie nie ma. Może ten jest ostatni?

– Żal ci, dziadku?

– Oczywiście! Zapytaj, co było najbardziej ekscytujące w moim życiu, a odpowiem ci, że te momenty, kiedy widziałem na celowniku wieloryba.

– Dlaczego?

– To trudno wyjaśnić, trzeba samemu spróbować. Praca wielorybnika to prawdziwie męskie zajęcie. Spójrz na mnie, w porównaniu z wielorybem człowiek jest marnym robaczkiem. Ale w rękach ludzi jest technologia, elektroniczne narzędzia, statki, ultradźwiękowe torpedy, działka neutronowe. Jesteśmy władcami przyrody, a on... Słowem, sam zobaczysz.

Zyg poczuł lekkie mdłości. Zsunął się z siedzenia i podszedł do iluminatora. Linia horyzontu, dzieląca połyskliwą powierzchnię oceanu od wyblakłego szarego nieba, kołysała się lekko w brązowym pierścieniu. Zygmunt stanął na palcach i spojrzał na spienione bałwany, podobne do grzbietów gigantycznych zwierząt. Gdzieś tam, w pozbawionej życia toni wody, błakał się skazany Lewiatan.

– Nie o to pytałem. Nie żal ci wieloryba?

Jan ze zdziwieniem spojrzał na wnuka.

– Wieloryba? A czego tu żałować?

– Powiedziałeś przecież, że jesteś panem przyrody. A może wieloryb też myśli, że jest panem przyrody. Przecież jest taki duży.

– Myśli! – parsknął Jan. – Sprytu rzeczywiście ma wiele, ale rozumu nie więcej niż kotka. Nie, co jak co, ale myśleć to on nie może. Kiedyś były delfiny, też z rządu waleni, te, tak jakby, myślały. Nawet zabroniono do nich strzelać. Uczeni taki raban podnieśli!

– I co?

– I nie wyjaśnili, o czym one tam myślały. Ryby zniknęły i wszystkie delfiny wyzdychały. Bez pożywienia, myślisz, czy nie myślisz, żyć się nie da.

Z góry, z głośnika, rozległ się trzask i kaszel. Potem ochrypły głos oznajmił:

– Pierwsza flotylla podchodzi do rejonu poszukiwań!

– Patrz, chłopcze! – powiedział Jan.

Na ekranie pojawiło się dziesięć świecących punktów. Kilwaterową kolumną łodzie szły po łuku, zakreślającym prawdopodobne położenie wieloryba.

– Druga flotylla zajęła pozycję wyjściową!

– Trzecia flotylla na miejsce!

– Doskonale, chłopaki! – powiedział Jan. – Popatrz, jak dokładnie to robią. W ciągu kilku minut rejon zostanie szczelnie zamknięty.

– A gdzie my jesteśmy?

– Tutaj. – Jan dotknął wskaźnikiem centrum rejonu. – Tutaj będziemy czekać, aż Jego Wysokość Wieloryb zapragnie wpaść do nas w gości.

– A jeśli nie zechce?

– Zmusimy go.

Jan poczekał na raport dwunastej flotylli i przysunął do siebie mikrofon.

– Podaję komendy! Aparatura na strefę rażenia!

– Gotowe, aparatura na strefę rażenia.

Dwanaście głosów, cała oktawa, od starczego basu, do młodzieńczego dyszkantu, jednakowo poruszonych czekającym ich polowaniem, radośnie przećwiczyło komendę, utrzymując postawiony interwał w jednej sekundzie. Był to raczej hołd oddany tradycji niż konieczność.

Jan skoncentrował uwagę na małej tablicy, gdzie pojawiły się cyfry, będące numerami flotylli, które przyjęły rozkaz.

– Aparatura gotowa!

Zyg spojrział na ręce dziadka, spoczywające na pulpicie. Długie palce z żółtymi śladami po nikotynie były napięte w nerwowym oczekiwaniu. Wbijając oczy w sekundomierz, Jan odliczał czas.

– Salwa! – Jednocześnie krótkim pstryknięciem przerzucił drążek pod tabliczką „hydroprzeгляд”.

– Patrz!

Powierzchnia ekranu wewnątrz koła rozbłysła drobnymi iskrami, które wkrótce zlały się w jeden błyskawiczny wicher. Poruszał się on spiralnie w kierunku centrum oznaczonego rejonu.

– Ultradźwiękowe torpedy! Zaganiają wieloryba prosto na nasze działa.

– A gdzie ten wieloryb?

– Z takiej odległości jeszcze go nie widać. W każdym razie jest wewnątrz okręgu. Już stamtąd nie wyjdzie.

– Denerwujesz się, Janie?

Zyg nie zauważył, kiedy w sterówce pojawił się admirał dyrektor.

– Tak. Nie da się do tego przywyknąć, chociaż wiem, że pomyłki być nie może.

Ognisty huragan na ekranie nieubłaganie poruszał się w kierunku centrum.

– Już pora! – Jan zwiększył skalę i na ekranie pojawił się miotający się szary cień, otoczony zasłoną błękitnego ognia.

– Błękitny wieloryb – powiedział admirał dyrektor. – Do kroćset, niemal trzydzieści metrów długości.

– Nie mniej – potwierdził Jan.

– Pora włączyć osłonę, jeszcze, nie daj Boże, walnie w korpus statku.

Jan skrzywił się. Nie lubił podpowiedzi.

– Zdążymy. Teraz dołożymy parę torped z dołu, żeby nie przyszło mu do głowy zanurkować, a potem... prosto na celownik.

Admirał wzruszył ramionami.

– Proszę działać zgodnie w własną wolą.

Snop zimnego płomienia wyrzucił szary cień na powierzchnię. Teraz wieloryb nie próbował już rzucać się na wszystkie strony. Nieznośny ból spowodowany promieniowaniem, wywołał tylko konwulsyjne drgawki w gigantycznym cielsku, podążającym na spotkanie nieuniknionej zguby.

Jan włączył lokalizator działa neutronowego.

– Weźmiemy na pontony?

– Niech pan poczeka, Janie – chytrze mrugnął okiem admirał. – Przygotowałem niespodziankę. Sądzę, że spodoba się panu ubicie ostatniego wieloryba starą metodą, z krwią?

Jan uśmiechnął się, odsłaniając poząłkłe od tytoniu zęby.

– Czyżby moździerz z dwutlenkiem węgla?

– Dokładnie. Mam nadzieję, że nie zapomniał pan jeszcze, jak się nim posługiwać?

– Czyż można coś takiego zapomnieć?!

– Chodźmy na pokład. A ty, chłopcze, chodź z nami, popatrzysz, jak potrafili pracować prawdziwi wielorybnicy.

– Zaraz – powiedział Jan. – Trzeba zatrzymać wieloryba na linii strzału.

– Słusznie! – powiedział admirał. – Nie ma co ryzykować, niech sam odwróci się do nas bokiem.

Zyg mimowolnie poczuł dumę, kiedy zobaczył, z jakim szacunkiem rozstąpili się otaczający działo ludzie, żeby przepuścić do niego dziadka.

Wieloryb dryfował kilka metrów od dziobu statku.

– I to wszystko?! – z rozczarowaniem zapytał Zyg. – Przecież on jest podobny do podwodnego tankowca.

– Jest podobny – zgodził się Jan. – Co racja, to racja. A teraz trochę go rozładujemy.

Uklęknął i przylgnął okiem do celownika.

Z krótkiego wylotu lufy trysnęła krótka, precyzyjnie wymierzona seria.

Żałosny dźwięk, podobny do ostatniego akordu organów, prześliznął się po powierzchni fal. Wieloryb westchnął jeszcze raz i dwie fontanny czarnej krwi wytrysnęły w górę. Szkarłatna plama rozpełzała się po wodzie wokół martwego cielska, które w dziwny sposób zaczęło powiększać swoją objętość. Ulatniający się z pocisków dwutlenek węgla rozdał ciało stworzenia, jak gumową zabawkę.

Wszyscy stojący na fordeku zaklaskali. Admirał dyrektor poklepał Jana po ramieniu.

– Doskonałe trafienie! Teraz widzę, że rzeczywiście nie oduczył się pan prawdziwego polowania.

Jan wytarł chusteczką spocone czoło.

– Tak, tutaj potrzebna jest wprawa. Każdy wieloryb potrzebuje swojej porcji. Dasz za mało, utonie, dasz za dużo, pęknie. Wygląda na to, że ten dostał tyle, ile potrzebował.

- Który to był z kolei?
- Tysiąc pięćsetny! – z dumą odpowiedział Jan.
- Niech pan spojrzy! – powiedział admirał.

Świątecznie przystrojone flagami statki, na pełnych żaglach płynęły na miejsce polowania. Jak na komendę, z setki kominów wyrwał się zwycięski ryk.

- Salwa na pana cześć – powiedział admirał.
- Nie – odpowiedział Jan. – Na cześć wieloryba. W końcu to już ostatni.
- Jak pan chce. A teraz, zapraszam na bankiet.
- Co zrobimy z wielorybem?
- Zostawimy go tutaj. Do rana utonie. Nie ma co bawić się w taki dzień z oprawianiem tego śmierdzącego truchła.

* * *

„Prometeusz” wyleciał już poza granice systemu słonecznego. Teraz nabierał prędkości do ogromnej wyrwy prowadzącej w galaktyczne przestrzenie.

Zygmunt Lanis rozpiął pasek, wzmacniający laryngofon.

– Połączenia nie będzie, dopóki nie wejdziemy w rejon 75B. Tam złożymy raport i wejdziemy w anabiozę.

Inga zaczęła masować zdrętwiałe nogi.

– Co do mnie, to z chęcią już teraz wzięłabym kąpiel. Przesiedzieć jeszcze dobę w fotelu, to żadna przyjemność. Nie mogę zrozumieć, po co to całe czuwanie.

– Taki rozkaz. Rejon uważany jest za niebezpieczny. Dokładnie tam za każdym razem urywała się łączność ze wszystkimi czternastoma ekspedycjami.

– Co tam może być niebezpiecznego? Mamy wystarczająco silną przeciwmeteorową osłonę.

– Nic nie poradzimy. Rozkaz to rozkaz.

– A sen to sen.

Inga odchyliła oparcie fotela i zamknęła oczy.

– Czuję się tak, jakby mnie tłukli po całym ciele.

– Przejdzie – powiedział Zyg.

– Wiem, że przejdzie.

Zyg wyciągnął z kieszeni fotela dwie tubki tonizującego żelu.

– Chcesz?

– Dziękuję, nie chcę. Ale gdyby tak dobrą porcją środka nasennego...

– Z tym też trzeba będzie poczekać.

Inga znowu otworzyła oczy.

– Nie żałujesz, że stałeś się przesiedleńcem?

– Teraz już za późno żałować. Trzeba torować drogę w kosmos. Trzeba jakoś naprawiać pomyłki przodków. Roztrwonili wszelkie zasoby planety i teraz, kiedy biologiczna równowaga jest tak naprawdę martwym pojęciem, trzeba myśleć, jak samemu przeżyć.

– Nie boisz się?

– Czego?

– Że my... tak we dwoje, nie wiadomo, dokąd.

– Statki poszukiwawcze zawsze wyliczone są na dwoje.

Inga wzięła ze stołu książkę, przekartkowała ją i odłożyła na miejsce.

– Czy naprawdę nie dało się tego uniknąć?

Zyg uśmiechnął się.

– Wiesz, mój dziadek był wielorybnikiem. Raz widziałem, jak to się odbywa. Ślepe okrucieństwo, wyniosła pogarda do wszystkiego, co nie jest do ciebie podobne. Nawet zwierzę nie zabijało bez potrzeby, a człowiek...

– Mogłabym zdrzemnąć się trochę?

– Trochę możesz.

Zyg spojrział na taśmę kursografu. Zostało niewiele. Wkrótce trzeba będzie przełączyć ukierunkowanie na główną trasę.

– Zyg!

– Co?

– A tam rzeczywiście są zamieszkałe światy?

– Powinny być. Życie we wszechświecie to nie wyjątek, a reguła. Gdzieś niewątpliwie są planety, zamieszkałe przez rozumne istoty; możliwe, że nawet bardziej rozumne, niż my.

– A jeśli oni będą postępować tak samo?

– Jak?

– No, jak twój dziadek.

– Głupstwa! Bez względu na to, jak młoda jest ludzkość, to już teraz wiele zrozumieliśmy. Wszystkie humanoidalne cywilizacje powinny mieć jakąś wspólnotę pojęć etycznych i norm moralnych. Dlaczego mielibyśmy nie dowierzać naszym starszym braciom?

– A nie prześpimy tego w anabiozie?

– Czego?

– No, tych cywilizacji.

– Automaty obudzą nas na czas.

– No dobrze, w takim razie zdrzemnę się trochę.

* * *

Główny Pirat prezentował się wprost wspaniale. Wąsiki, pancerz i odwłok wymalowane były w jaskrawe, bojowe barwy. Wszystkie sześć łapek pokrywała pozłota.

Pośród rozumnych mieszkańców planetarnego systemu Jur palocefały wyróżniały się wysokim wzrostem, ale Główny Pirat przewyższał wszystkich swoich rodaków. Jego pełna długość wynosiła nie mniej niż trzy centymetry.

Starszy Operator Dżujuju sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego obserwacją strefy polowania, ale jego ciemne oko było skierowane na narzeczoną, flirtującą z Głównym Piratem. Dżujuju nie podobało się to pretensjonalne pomachiwanie pokładką. Wąsikami telepatycznej percepcji czuł emanację słodkiego zmęczenia, emanowanego przez Siii. Jak zawsze. Samica pozostaje samicą i nic nie poradzisz. Przyroda wyznaczyła na okres małżeński tylko jedną dobę, trzeba spojrzeć prawdzie we wszystkie trzy oczy. Jutro rozstaną się na zawsze.

Siii wyruszy składać jaja i więcej jej nie zobaczy. Czy nie mogłaby chociaż dzisiaj zachowywać się bardziej powściągliwie?

– Gotowe! – powiedział sucho, odwracając się do Głównego Pirata. – Cel zagnany w zwiniętą przestrzeń. Teraz będą się tam wałęsać, póki starczy nam energii. Co rozkażesz robić dalej. Wewnątrz jest ich tam, jak zawsze, dwoje.

– Zdobycz jest twoja. Cieszę się, że mogę ofiarować ci ten mały prezent ślubny – Główny Pirat ceremonialnie pochylił głowę przed Siii. –

Rozkazuj, o samico, pośród samic!

Siii ze zmieszania przyjęła fioletową barwę.

– Doprawdy, nie wiem. Przecież pierwszy raz przyszło mi uczestniczyć w polowaniu. Jak to się odbywa?

– Możemy zadać im ból na kilka sposobów. Nastroiwszy się na odbiór telepatyczny, uraczysz ich, samico, cierpieniami. Osobiście rekomendowałbym duszności. To z niczym nieporównywalne uczucie!

– Dobrze! – powiedziała Siii. – Niech będą duszności.

– Do dzieła! – rozkazał Pirat. Dzjujuju ustalił odległość za pomocą lokalizatora i zogniskował promieniowanie w cieniutką wiązkę.

– Ach! – Siii z rozmarzeniem podkurczyła tylne łapki. – To jest naprawdę piękne! Oni tak cierpią, że jest mi ich nawet żal!

– Żal? – ze zdziwieniem powtórzył Pirat. – A czego tu żałować? Ssaki stoją na najniższym stopniu biologicznego rozwoju. Nie są nawet zdolne do telepatycznej percepcji. Niestety, przy ich tworzeniu przyroda zatroszczyła się tylko o rozmiar, co zaś tyczy się reszty... – lekceważąco poruszył wąsikami. – Reszta, to po prostu nieudana próba.

– Och!!! – jęknęła Siii. – Proszę, przeciągnijcie to, jak można najdłużej!

– Niestety to niemożliwe. Dostarczać zadowolenie samicy, to przyjemny obowiązek każdego żołnierza, ale nie jesteśmy aż tak nierozsądni, żeby ich zabijać. Trzeba liczyć się z tym, że poza wszystkim dają oni ogromną ilość mleka w czasie laktacji. W rezerwacie mam czternaście par, osiem z nich już dało potomstwo.

– Jak to?! – wykrzyknęła Siii. – Oni są nawet zdolni do miłości?

– No, w swoim rodzaju, jeśli można to nazwać miłością. Nie mają wydzielonego czasu ślubnego, trwa on u nich cały rok.

– Nie może być!

– Zapewniam panią! Mówiłem, że to bardzo prymitywne zwierzęta.

– Oni tracą już świadomość – wtrącił Dzjujuju. – Rozkaże pan wyłączyć?

– Tak, proszę wyłączyć!

– Czyżby to było wszystko? – zapytała rozczarowana Siii.

– Wszystko! – powiedział Pirat. – Dzjujuju, bierz ich na holownik.

– Stójcie! – Siii wydała z siebie taką salwę emanacji, że Piratowi zakręciło się w głowie, a Dzjujuju zaszcząkał żuwaczkami z zazdrości. – Może mi pan ofiarować jeszcze jeden prezent?

– Oczywiście, jeśli jest to w mojej mocy.

– Proszę wypuścić ich na wolność.

– A to po co?

Siii pozieleniała w najbardziej kuszący sposób.

– Widzisz, myślałam, że... może oni teraz są w trakcie tych swoich miłosnych gier, a zawsze przyjemnie... no, jednym słowem wszędzie, tylko nie w klatce.

Pirat niemal nie wzleciał z wściekłości, ale powstrzymał się w porę.

– Nie mogę. Zaczęli się trafiać coraz rzadziej. Obawiam się, że to ostatni.

– No, proszę! – Siii puściła w ruch drugą parę wąsików. – Dla mnie!

– Wola samicy przed złożeniem jaj jest prawem – powiedział pokonany Pirat. – Odrzuć ich, Dzjujuju stąd jak najdalej!

* * *

– Co to było? – zapytała Inga, otwierając oczy. – Wydawało mi się, że już umieram!

Zig spojrział na kursograf.

– Nie wiem. Prawdopodobnie wybuch grawitacyjny. Mocno zboczyliśmy z kursu.

Przełożyła Iwona Czapla

SASZKA

– Właściwie, pomylić się może tylko człowiek – powiedział Konstruktor.

– Zadziwiająco świeży aforyzm – uśmiechnął się Kosmonauta. – Mógłby go pan wypowiadać po łacinie. To zawsze robi większe wrażenie na niewytrawnych słuchaczach.

– Bzdury! – twarz Konstruktora pokryła się czerwonymi plamami, co było pewną oznaką tego, że gotów był stanąć do szermierki słownej. – Nie to było moją intencją. Po prostu pomyłki pojawiają się zawsze tam, gdzie nie ma rygorystycznego planu. To, co robimy pod wpływem instynktu, zawsze jest dokładne i nieomyłne, ponieważ zaprogramowała nas matka natura. Pomyłki są nieuniknione, kiedy na rygorystyczny plan nakładają się uczucia albo spekulacje umysłu. Sprawnie działająca maszyna, z dobrze przemyślanym algorytmem, nie zna pomyłek.

– Jednak pamiętam przypadek... – powiedział Kosmonauta.

– Tak, tak. Niech pan powie, jak to się stało – poprosiłem znieścacka Konstruktora.

– Ma pan na myśli niesławną historię z „Meteorem”?

– Oczywiście.

Konstruktor zmieszał się. Zdawać się mogło, że jego zaczepny ton ulotnił się błyskawicznie.

– To był, wie pan, wyjątek, który jedynie potwierdza regułę – zauważył apatycznie.

– Głupstwa! – odpalił Kosmonauta. – Tym razem tak łatwo nas pan nie zbędzie, nawet jeśli przyszłoby panu przywoływać wszystkie sentencje, od Cycerona do naszych czasów. Już od wielu lat intryguje mnie ta historia. Przecież byłem tam, jak by nie było, jednym z czynnych uczestników.

– Tak pan myśli? – w głosie Konstruktora pojawiła się dziwna mieszanka smutku i ironii.

– No pewnie! – zapalczywie odpowiedział Kosmonauta. – Niech pan sobie wyobrazi; trzy lata przygotowań do ekspedycji; wybiera pan załogę, przekopuje archiwa, przechodzi najbardziej ekstremalne treningi, wkuwa całe tomy poradników i nagle – O niewypowiedziane szczęście! –

Wszystko jest już za panem. Załoga na swoim miejscu, wszystkie sprawy pozalutowane, wszystkie zdania, które można było wypowiedzieć, wypowiedziane, wszystkie życzenia i rady wysłuchane i łączą pana z Ziemią już tylko głos w głośniku. Początkowo panuje typowy bałagan, kiedy zdaje się panu, że ekwipunek został nieprawidłowo dobrany, członkowie załogi wciąż będą mieli zdziwione spojrzenia i brak zrozumienia w oczach, kiedy pan się do nich zwraca, a urządzenia nawigacyjne zbudowano specjalnie po to, żeby wzbudzić w panu wątpliwość w realność istnienia otaczającego świata. I nagle, wszystkim cudownym sposobem znajduje się na swoim miejscu. Pana towarzysze okazują się kompetentnymi chłopakami, a statek, wyposażony w doskonałą technologię, pożera przestrzeń z lekkością, o jakiej nie śmiał pan nawet marzyć. Teraz niech pan sobie wyobrazi, że właśnie w tym momencie otrzymuje pan z Ziemi kategorię rozkaz natychmiastowego powrotu. Przez trzy tygodnie, kiedy wytraca pan prędkość, zawraca, ponownie jej nabiera i znowu hamuje, gubi się pan w domysłach, śle zapytania, uspokaja załogę, osobiście denerwuje się tak, że nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. I wreszcie, osiadłszy na kosmodromie, gotowy na rewelacyjne wieści, raptem musi pan wysłuchać jakichś pokrętnych wyjaśnień: prawdopodobnie zaszła pomyłka... Do tej pory się denerwuję, kiedy wspominam zmieszane twarze dyspozytorów z Dowództwa Kosmonautyki.

– Dowództwo nie ma tu nic do rzeczy – wtrąciłem. – Pomyłka prawdopodobnie zaszła w Centrum Koordynacyjnym.

– Tak, tam nastąpiła pomyłka – w zamyśleniu powiedział Konstruktor.

– Dlaczego zatem – zapytał Kosmonauta – podpisał pan akt, w którym stwierdzono, że wszystkiemu winna jest aparatura pokładowa? Generalni konstruktorzy rzadko kiedy wykazują takie pełne pokory poświęcenie i przyznają się do błędu po stronie maszyn.

– No... miałem ku temu pewne podstawy.

– Dobrze – powiedział Kosmonauta. – Niech pan wyłoży wszystko otwarcie. Przecież od tamtego czasu minęło już ponad dwadzieścia lat. Niewielu zostało ludzi, którzy pamiętają tamtą historię.

– Tym bardziej, że w pełni może pan liczyć na naszą dyskrecję – dodałem.

– Dwadzieścia lat? – powtórzył Konstruktor. – Naprawdę to już dwadzieścia lat? A mnie zdaje się, jakby to wszystko zdarzyło się całkiem

niedawno... Dwadzieścia lat... No, dobrze... Pamiętajcie, panowie, uciążliwość organizacji przygotowania do lotów w tamtych czasach? Doprowadzała ona do tego, że Generalny Konstruktor, oprócz swojej podstawowej pracy, powinien był zajmować się dodatkowo rozwiązywaniem mnóstwa problemów, zaczynając od zapewnienia funkcjonowania biologicznego kompleksu statku, a kończąc na technologii komputerowej. Największy kłopot sprawiała mi aparatura pokładowa. Zapewnienie bezpieczeństwa dalekich lotów zależało od wystarczająco niezawodnych urządzeń, które w trakcie rejsu podejmowały decyzje na podstawowym i szczegółowym poziomie analizy potrzeb statku i samej załogi. Im dalej latały nasze statki, tym ostrzejsze były wymagania, co do wagi i gabarytów wszystkiego, co ze sobą zabierały. Ostatecznie sprawa doszła do tego, że byłem zmuszony zorganizować otwarty konkurs na pokładową maszynę obliczeniową. Otrzymaliśmy ponad trzysta projektów, ale to wciąż nie było to...

Pewnego razu, kiedy siedziałem w gabinecie, usłyszałem ostrą wymianę zdań w korytarzu. Po kilku minutach do gabinetu weszła moja sekretarka. Jej policzki płonęły, pierś unosiła się szybko, głos drżał; jednym słowem, klasyczna postać z greckiej tragedii. Dziewczyna opadła na krzesło, zasłoniła ręką oczy i wydusiła:

– Żąda widzenia z panem jakiś... jakieś... jakaś istota.

Rzeczywiście, w drzwiach stało coś takiego, co trudno było poddać jakiegokolwiek klasyfikacji.

Istota ubrana była w wypłowiałe jeansy, przetarte w wielu miejscach do dziur, kraciastą koszulę i źle układającą się czapkę z daszkiem, spod której opadały na oczy rude kosmyki. Wszystko to dopełniał piegowaty nos, skierowany w niebo jak rakieta przed startem i para szeroko otwartych oczu koloru morskiej fali w czasie dziesięciostopniowego sztormu. Palce z czarną obwódką pod paznokciami kurczowo ścisnęły wielką walizkę z żółtej skóry.

Sądząc po wszystkim, egzemplarz ten zdołał swą osobą naszą planetę nie dłużej niż czternaście lat.

Zrozumiałem, że nie wyjdę z tego cało.

– No pewnie! – powiedział Kosmonauta. – Za każdym razem przed startem wyciągam z najbardziej ustronnych zakamarków statku nie mniej niż dziesięciu takich chłopaków. W wieku pięciu lat budują akumulatory z

puszek konserwowych; w wieku ośmiu wymyślają rower odrzutowy, mając czternaście lat stają się kosmonautami, a kiedy osiągną szesnasty rok życia zalewają redakcje czasopism projektami przebudowy naszej Galaktyki. Rzecz w tym, że chłopcy zawsze...

– Myli się pan – przerwał Konstruktor. – To znaczy, proszę wybaczyć, miałby pan rację, gdyby... Widzi pan, to nie był zwyczajny przypadek... Rzecz w tym, że z tyłu, spod czapki, sterczały jeszcze w różne strony dwa cienkie warkoczyki.

– Nooo... – powiedział Kosmonauta.

– Dziewczyna usiadła – kontynuował Konstruktor – i protekcjonalnie podała do mojej wiadomości, że ma na imię Sasza, a całe swoje dalsze życie ma zamiar poświęcić zapewnieniu lotom kosmicznym najnowocześniejszej i najpewniejszej technologii komputerowej. Na potwierdzenie zasadności przyjętego postanowienia z tajemniczej walizki wyciągnęła jakąś hybrydę dziecięcej harmonijki z kieszonkowym odbiornikiem, a ja dostałem prawo zadania owej „maszynie”, jak się wyraziła, jakiegoś bardzo trudnego zadania. Zainteresowałem się, w jakiej jest klasie i, przykładowo ustalając możliwości intelektualne konstruktora, zadałem zadanie na określenie ekstremalnych znaczeń funkcji. Ku mojemu zdziwieniu harmonijka podała prawidłowe rozwiązanie.

Teraz trzeba było zdecydować, jak najdelikatniej spławić ten młody talent.

Na początek wyciągnąłem z szuflady biurka pudełko cukierków. Obrzuciła mnie przychylnym spojrzeniem i wsunęła rękę do pudełka.

Nie mogę pochwalić się dużym doświadczeniem w kontaktach z dziećmi, ale lekcja, którą jej wyrecytowałem, wydawała mi się wtedy arcydziełem pedagogiki. Ponad godzinę tłumaczyłem jej, że każdy, kto chce zostać konstruktorem, powinien uzbroić się w cierpliwość i starać się zdobyć jak najwięcej wiedzy; że tylko w szkole... Zresztą, sam pan wie, jakie sentencje wypowiada się w podobnych sytuacjach. Już święciłem zwycięstwo, kiedy dziewczyna, przerwawszy mi, zainteresowała się, czy uważam, że wielka cierpliwość i rozległa wiedza są cechami niezbędnymi Generalnego Konstruktora. Potwierdziłem i wstałem, żeby odprowadzić ją do drzwi, ale dziewczyna nie przejawiała chęci rozstania się z fotelem i z cukierkami. Nie pozostało mi nic innego, jak usiąść ponownie. Upewniwszy się, że Generalni Konstruktorzy rzeczywiście posiadają sporo

cierpliwości, przystąpiła do sprawdzania mojej wiedzy. Wtyczka jej „maszyny” była wyciągnięta z gniazdka i poleciła mi wyjaśnić, dlaczego na zaciskach decydującego urządzenia zachowało się napięcie. Powiedziałem, że schemat prawdopodobnie zdublowany jest na kondensatorach, że to bardzo stara metoda, stosowana w praktyce wcześniej w przenośnych radiotelefonach i, że u nas w bibliotece można znaleźć wiele książek na ten temat.

– Nie znajdę! – wyzywająco odpowiedziała dziewczyna, grzebiąc w swojej walizce. – Niczego u was nie znajdę, ponieważ nie macie bladego pojęcia, o co tutaj chodzi. Proszę, niech pan podziwia, Generalny Konstruktorze! – Na moje biurko trafiły dwa tekturowe pudełka z drewnianymi klawiszami. – Widzi pan? One są żywe!

Otworzyła jedno z pudełek i moim oczom ukazała się żółtawa, galaretowata masa, cała poutykana przewodami.

Rudy czort cały czas wyrzucał z walizki jakieś próbówki, szkolny mikroskop, mnóstwo kawałków radia i kawałki papieru zapisane formułami.

– Żywe, żywe, żywe! Wszystkie są potomstwem jednej maszyny. Potomstwo! Rozumie pan, co to takiego, potomstwo?! Mogą rozwiązywać wszystkie zadania, na które była zaprogramowana bazowa maszyna, do momentu, jak wydała je na świat. I co, zatkało pana?! To jak, teraz znowu pośle mnie pan do szkoły, czy da mi pan laboratorium?!

W drzwiach pokazała się wystraszona twarz sekretarki, ale gestem dałem jej znać, że za wcześnie jeszcze wzywać pomoc. Słowo honoru, to wszystko zaczynało mnie naprawdę interesować.

Do tej pory nie mogę pojąć, jakim sposobem mój cerber nie doznał udaru, kiedy późnym wieczorem razem z Saszą przeszliśmy przez korytarz. Do tego czasu zawarliśmy już przyjacielski sojusz. Na pożegnanie dziewczyna z nonszalancją poprawiła mój krawat i łaskawie zezwoliła nazywać się po prostu Saszką, a ja obiecałem wydzielić dla niej laboratoryjny stół i nawet potargałem ją za warkoczyki. Naprawdę, żaden mężczyzna w wieku od pięciu do osiemdziesięciu lat nie mógłby oprzeć się takiej pokusie.

Warunki naszej umowy były jasne i surowe: jeśli w ciągu roku uda się jej zbudować jakąkolwiek pokrakę, zdolną rozwiązać zadanie o proporcjonalnej konwergencji rakiet w kosmosie, osobiście zobowiązuję się

wyposażyc laboratorium i zapewnić jej wszelkie warunki do dalszej pracy. Jeśli nie, to wraca do szkoły i obiecuje nie pokazywać mi się na oczy, aż do ukończenia instytutu.

Na początek przydzieliłem jej doświadczonego programistę.

– Tak – powiedział Kosmonauta – zadanie na proporcjonalną konwergencję... Jednak król Herod bardziej humanitarnie odnosił się do dzieci.

– On miał do czynienia z chłopcami – odpowiedział Konstruktor – a ci zawsze zasługują na wyrozumiałość. Nie mogłem postąpić inaczej, wszczynając niebezpieczny eksperyment z ludzką duszą. Trzeba było pozwolić jej zaznać całej goryczy tego, co entuzjastyczni laicy nazywają „radością naukowych poszukiwań”. W rezultacie dziewczyna albo przekonałaby się sama o absurdalności tej idei i znalazłaby o wiele rozsądniejsze zastosowanie dla swojego zapachu w mniej egzotycznej dziedzinie, albo... Zresztą, innego wyniku nie oczekiwałem. Zbyt fantastyczne było to przedsięwzięcie, którego się podjęła.

– Nadal nie powiedział pan, czym to się skończyło – zauważył Kosmonauta.

– Właściwie była to interesująca myśl. Pamięta pan biologiczne baterie, które kiedyś instalowano na sztucznych satelitach? Dwa naczynia wypełnione cieczą i rozdzielone porowatą przesłoną. W każdej połowce kolonie bakterii. Jedne, rozmnażając się, podtrzymują podwyższoną koncentrację jonów ujemnych, a drugie – dodatnich. Tak więc, cała jej maszyna składała się z mikroskopijnych komórek z bakteriami, połączonych przełącznikiem. Oprócz tego były tam: proste urządzenie sterujące i program zapisany na karcie perforowanej. Jeśli w trakcie pracy maszyny potencjały w komórkach były zgodne z impulsami usuwanymi przez urządzenie sterujące, to bakterie rozmnażały się, a jeśli nie – ginęły. W każdej takiej komórce umieszczone były kolonie licznych bakterii.

– Rozumiem – powiedział, uśmiechnąwszy się, Kosmonauta. – Selekcja naturalna na zgodność z programem. Wie pan, zdaje mi się, że to wcale nie taki głupi pomysł.

– Nie powiedziałem, że był głupi. Inaczej nie wiązałem się z tym wszystkim. Jednak wie pan, jakie kolosalne trudności stoją między pomysłowym przypuszczeniem a otrzymaniem w praktyce wymiernych rezultatów...

– Ale mógł pan przecież...

– Oczywiście. Mogłem zlecić jednemu z laboratoriów ustalenie, czy warto się za to zabierać. Ale mnie interesował nie tyle sam wynalazek, co jego autorka. Rodziców nie miała. Wychowywała się u siostry, z którą szybko się dogadałem, obiecawszy, że w ciągu tego roku sam będę troszczył się o niezbędne uzupełnienie wiedzy jej wychowanki.

Następnego dnia kazałem postawić dla niej biurko w maleńkim pokoiku pod schodami i po kilku godzinach byłem zmuszony podjąć działania w celu przywrócenia porządku w instytucie. Chyba nie było ani jednego pracownika, którego, jak muchę do miodu, nie przyciągałby zagadkowy napis na drzwiach komórki: LABORATORIUM ŻYWOTNEGO MASZYNOZNAWSTWA. Słowo honoru, brzmiało to dobrze i po prostu nie starczyło mi siły woli, aby pozbawić swój nowy nabytek możliwości zabawy w pracownika naukowego, chociaż już po kilku dniach przekonałem się, że profesja pogromcy pasowałaby jej o wiele bardziej. Jako pierwsza uległa moja sekretarka. Wprost zadziwiające, jak szybko stała się osobistą sekretarką smarkuli. Prawdę mówiąc, równie szybko zacząłem mieć wrażenie, że tajemnicza istota w nowym laboratorium wszystkich w instytucie interesowała o wiele bardziej, niż praca merytoryczna.

Jednak minął rok, a o żadnym zadaniu na proporcjonalną konwergencję nie można było jeszcze nawet marzyć. Do tego czasu oboje zapomnieliśmy już o naszej umowie. Co więcej, stało się jakoś tak samo z siebie, że Saszka korzystała z prawa swobodnego wchodzenia do mojego gabinetu o każdej porze. Niekiedy pojawiała się, płonąć z niecierpliwości, żeby wtajemniczyć mnie w jakieś sensacyjne odkrycie, a niekiedy po prostu po to, żeby popłakać na kanapie, kiedy wszystko okazywało się nie takie znów olśniewające, jak sądziła. Obawiam się, że w tym czasie zamieniliśmy się rolami. Ona, zalewając się łzami, domagała się, żeby niezwłocznie wysłać ją z powrotem do szkoły; ja z kolei namawiałem ją do ukończenia kolejnej serii doświadczeń. Kończyło się to zazwyczaj tym, że dziewczyna zrywała się z miejsca i gnała do laboratorium, uskrzydłona nowym zdumiewającym pomysłem.

Największe trudności wynikały z problematyki rozmnożenia maszyn. Jeśli w macierzystej figurze udawało się bez szczególnego trudu wypracować to, co nazywaliśmy „bezwarunkowym odruchem na program”,

to w potomstwie zachodziło czort wie, co. Zazwyczaj nie więcej niż jedno doświadczenie na tysiąc dawało mniej więcej dokładne odtworzenie rozmieszczenia bakterii w komórkach.

Wreszcie udało nam się z Saszka wymyślić proste urządzenie, pozwalające piec maszyny jak bliny. Było to coś w rodzaju powielacza. Arkusz plastiku, posmarowany żelatyną, nakładało się na powierzchnię maszyny matki, a ten zwijał się w rulonik. A kiedy zaczęliśmy wprowadzać do żelatyny przewodzące prąd substancje i pozbyliśmy się chaotycznej instalacji, problem można było uznać za wstępnie rozwiązany.

– Bakterie na płytkach drukowanych – uśmiechnął się Kosmonauta.

– Coś w tym rodzaju. Jednak niech pan nie myśli, że to wszystko było takie proste. W takich sprawach, im więcej rozwiązanych zagadnień, tym więcej pojawia się nowych. Minęły trzy lata. Laboratorium Żywotnego Maszynoznawstwa dawno przeniosło się z komórki do nowego pomieszczenia, urządzonego zgodnie z wymogami najnowszej technologii; popularność Saszki rosła z każdym dniem, ochotników do współpracy miała pod dostatkiem, ale ja wciąż odczuwałem jakiś lęk. Dziewczyna rozpraszała się za bardzo.

Nie wie pan, jakie to ważne dla badacza, umieć w odpowiednim momencie ujarzmić swoją fantazję i skoncentrować się na jednym wariacie, dopóki jego możliwości nie wyczerpią się do końca. Niestety zbliżał się termin oddania do produkcji nowego projektu statku i nie mogłem już poświęcać Saszce tyle czasu, co wcześniej. Musiałem ograniczyć ją kategorięcym poleceniem pracy tylko nad maszyną, zamówioną u nas przez Dowództwo Kosmonautyki i niczym innym się nie zajmować.

W ciągu kolejnych dwóch lat rzadko odwiedzałem ją w laboratorium. Prace szły nieźle. Pierwszy wariant maszyny został zdany Centrum Koordynacyjnemu i teraz do schematu trzeba było wprowadzić jakieś zmiany wedle wskazówek zleciendawcy. W tym czasie trwały przygotowania do ekspedycji „Meteor” i nowa maszyna powinna była opracowywać informacje napływające ze statku. W przypadku zanotowania sukcesu, planowano wykorzystać potomków tej maszyny w charakterze aparatury pokładowej na wszystkich statkach tej klasy.

Pan był już w rejsie, kiedy pewnej nocy zadzwoniono do mnie z Centrum Koordynacyjnego i oznajmiono, że maszyna wydała „Meteorowi”

rozkaz powrotu na Ziemię. W ciągu dziesięciu minut wyciągnąłem Saszkę za warkocze z łóżka i pobiegliśmy do Centrum. Tam panowało kompletne zamieszanie. Chociaż wszystkie dublujące urządzenia informowały, że lot przebiega normalnie, nasza maszyna cały czas powtarzała komendę o natychmiastowym powrocie. W dodatku, jak to zawsze bywa w takich przypadkach, nieoczekiwanie urwała się łączność i w żaden sposób nie mogliśmy się dowiedzieć, co się u was dzieje i czy coś w ogóle się stało. Do momentu, kiedy ponownie udało nam się złapać sygnał, było już za późno, żeby coś przedsięwziąć. Zbyt wiele paliwa zostało zużytego na hamowanie. Rozkazałem wyłączyć maszynę i poszliśmy spać. Ot i wszystko, co mogę panom powiedzieć.

– Zatem, był to po prostu rezultat niedopracowania konstrukcji? – zapytał Kosmonauta.

– Nie, konstrukcja była poprawna.

– Jaka więc była przyczyna?

– Przyczynę poznałem następnego ranka, kiedy urządziłem Saszce skrupulatne przesłuchanie. Rzecz w tym, że... No, po prostu dziewczyna, jak zawsze, pogrążyła się całkowicie w temacie. Pracowała w kilku kierunkach naraz, zajmowała się hodowlą hybryd z różnymi programami. Ostatni wariant był po prostu bękartem pochodzącym ze skrzyżowania maszyny do kierowania lotami kosmicznymi z maszyną do ekonomicznych wyliczeń. Cały czas walczyły w niej ze sobą dwa pierwiastki: rozrzutność badacza kosmosu i sknerstwo ekonomisty. W rezultacie, maszyna zdecydowała, że z punktu widzenia opłacalności nakładu korzystniej będzie przerwać lot.

Kosmonauta cicho gwizdnął.

– Biedna Saszka! Wyobrażam sobie, co pan z nią zrobił.

– A co niby z nią zrobiłem?

Zatrzeszczał dzwonek wideofonu.

– Proszę wybaczyć – powiedział Konstruktor i podszedł do aparatu. Na ekranie pojawił się obraz pięknej rudowłosej kobiety.

– Zatem, tak można wierzyć pana obietnicom?! – zapytała, mrużąc jedno oko.

Konstruktor jakoś dziwnie wciągnął głowę w ramiona.

– Co pani ma na myśli, Aleksandro Jakowlewna? – zapytał.

– Teraz te bałwany rozdzielają miejsca w rufowym sektorze „Komety” i uprzedzam pana, że jeśli wszystkie nasze przyrządy nie zostaną rozmieszczone, to już ja pana urządzę!!

– Dobrze – wyraźnie zrobiło mu się nieswojo. – Proszę przekazać, że wyjeżdżam.

Ekran zgasł.

– To dyrektorka Instytutu Kosmicznej Biologii – powiedział z zakłopotaniem Konstruktor. – Bardzo energiczna dama... Ale, na czym to skończyliśmy? Ach, tak!... Niestety – dodał po chwili milczenia – nic już więcej nie mogłem z nią zrobić.

Przełożyła Iwona Czapla

DECYDUJ, PILOCIE!

Marsjanka szła, lekko kołysząc biodrami, odrzuciwszy do tyłu małą, krągłą głowę. Ogromne, czarne oczy, z lekka przymrużone, matowa twarz koloru kości słoniowej, złociste wargi rozciągnięte w uśmiechu, na lewej skroni zielony trójkąt – znak kasty Stróżów Tajemnicy.

Klimow drgnął.

Wciąż jeszcze nie mógł przyzwycząć się do zagadkowej urody cór Marsa.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie powinnam zarejestrować swój bilet?

Mówiła śpiewnym głosem w kosmicznym żargonie, przeciągając końcówki słów.

– Na lewo, sala pasażerów numer trzy.

– Dziękuję! – Marsjanka potrząsnęła srebrzystymi lokami i, rzuciwszy przez ramię baczne spojrzenie na Klimowa, poszła w kierunku drzwi. Etola z bezcennych skórek niedbale wlokła się po podłodze.

„Paskudztwo!” – z nieoczekiwaną złością pomyślał Klimow. – „Poszukiwaczka przygód! Przywiązali sobie, niczym kamień do szyi, planetkę z wymierającą kulturą. Strach pomyśleć, ile tutaj wpakowali środków i czy w ogóle jest w tym sens! Co najwyżej nasze dziewczyny zaczęły malować usta złotą pomadką. Turystka!”

Czuł się paskudnie. Z serca do gardła podnosiła się gorzka gula, łupało go w potylicy, bolały wszystkie stawy.

„Jeszcze tego brakowało, żeby się rozłożył”.

Przejrzał rozkład towarowych rejsów i poszedł do sali pasażerskiej.

W kącie, pod rozświetlonym schematem kosmicznych tras, grupa młodych chłopaków grała w bojk – grę przywiezioną przez kosmonautów z Marsa. Przy każdym rzucie kośćmi podnosili krzyk, jak na meczu futbolowym.

„Techniczni eksperci, wszyscy tacy sami” – pomyślał Klimow.

Pchnął drzwi i wszedł do baru.

Tutaj było jeszcze niewielu ludzi. Para Amerykanów, a sądząc po egzotycznych strojach z dużą ilością zapięć i butach na grubej podeszwie – turyści, piła koktajle, a osobnik o nieokreślonym wyglądzie przeglądał czasopisma.

Róża, w białym fartuchu z zakasnymi rękawami, dłubała przy mikserze.

– Dzień Dobry, Witia! – powiedziała, wyciągając korek z butelki z jaskrawą etykietką. – Coś dzisiaj marnie wyglądasz. Chcesz koniaku?

Klimow zmrużył oczy i przełknął ślinę.

Kieliszek koniaku, oto, czego mu teraz potrzeba.

– Nie mogę – powiedział, siadając na stołku. – Jestem przecież w rezerwie. Daj mi, proszę, bardzo mocnej kawy.

– Coś nowego?

– Nie. Co może być nowego... w mojej sytuacji?

Wziął podaną mu filiżankę i postawił przed sobą, rozchlapując połowę aromatycznego płynu na bar.

Róża podsunęła mu cukierniczkę.

– Nie można tak, mój drogi. Jesteś kompletnie wyczerpany. Pora rzucić to wszystko. Nie można oszukiwać samego siebie. Kosmos wyżyma człowieka do cna. Znałam ludzi, którzy już w wieku trzydziestu pięciu lat nie nadawali się do niczego, a przecież ty masz...

– Tak, nigdzie przed tym nie uciekniesz.

Amerykanin uniósł głowę i kląsknął językiem. W drzwiach stała Marsjanka.

– Butelkę Muskatu, krymskiego – rzuciła, idąc do stolika przy oknie.

– No, idę – powiedział Klimow. – Muszę jeszcze zajrzeć do dyspozytorni.

– Mam zmianę do dwunastej. Przyjdź po mnie, odprowadzisz mnie do domu. Może zostaniesz – dodała cicho – na zawsze?

– Przyjdę – powiedział Klimow. – Jeśli będę wolny.

„Jeśli będę wolny” – pomyślał. – „Co za bzdura! Od czego miałbyś być wolny, pilocie drugiej rezerwy? Dzisiaj będziesz wolny, tak samo jak wczoraj i jak miesiąc temu; jak jesteś wolny już od trzech lat. Nikt cię nigdzie nie pośle. Znoszą cię tu litościwie, ponieważ wiedzą, że nie możesz nie przychodzić tutaj każdego dnia, żeby uchwycić swoją jedyną szansę. Przychodzisz w nadziei na cud, ale cuda zdarzają się tylko w bajkach”.

W drzwiach zderzył się z grubym, niskim człowieczkiem w uniformie obsługi międzynarodowego kosmodromu.

– Co słychać, Witia?

– Doskonale!

– Samopoczucie?

– Wspaniale.

– A my tutaj zupełnie nie wyrabiamy się z przewozem ładunków. Przyjdź pod koniec zmiany, pogadamy.

– Przyjdę – powiedział Klimow. – Na pewno przyjdę. Pod koniec zmiany.

Jeszcze raz przeszedł przez salę pasażerską i usiadł w głębokim, niskim fotelu pod głośnikiem. Kolejny autobus przywiózł liczną grupę pasażerów i sala wypełniła się ożywionym tłumem.

Klimow machinalnie wziął ze stolika prospekt z ofertą rejsów turystycznych.

REGULARNE REJSY NA KSIĘŻYC. CAŁKOWITE BEZPIECZEŃSTWO LOTÓW. W CZASIE DROGI PASAŻEROWIE OBSŁUGIWANI SĄ PRZEZ WYKWALIFIKOWANYCH PRZEWODNIKÓW KOSMOLOGÓW. TURYSTYCZNYMI LINIOWCAMI KIERUJĄ NAJBARDZIEJ DOŚWIADCZENI PILOCI.

„Najbardziej doświadczeni” – pomyślał Klimow. – „Każdy z nich chodził jeszcze w krótkich spodenkach, kiedy ja odbyłem swój pierwszy rejs na Księżyc. A teraz... Najbardziej doświadczeni! Cóż, widać naprawdę pora kończyć tę komedię. Róża ma rację. Teraz, pilocie, pójdziesz do dyspozytorni i powiesz, że jutro... Potem pójdziesz po Różę i więcej nie będzie ani tego męczącego oczekiwania na cud, ani wiecznej samotności. Po co tak chroniłś swoją samotność, pilocie? Dla pracy, której służysz? Nie ma tu już dla ciebie miejsca. Teraz na twoje miejsce przyszli najbardziej doświadczeni, ci, którzy jeszcze jako zasmarkane szczeniaki nosili na szkolnych uniformach pamiątkowe plakietki z twoim portretem. No, decyduj, pilocie!”

Dyspozytor – dziewczyna w nowiutkim, jak spod igły, uniformie, ze znakiem Kosmicznej Akademii na piersi, zmierzyła go przeszywającym spojrzeniem szarych oczu.

– Dlaczego nie jest pan na stanowisku? Przed chwilą wysłano do szpitala drugiego pilota z 016. Oprócz pana nie ma nikogo w rezerwie. Za trzy dni mamy dwanaście ponadplanowych rejsów. Może pan polecieć?

– Mogę.

– Proszę biec szybko do jednostki sanitarnej. Tam pana o wszystkim poinformują. Pierwszy pilot to Pritchard. Znajdzie go pan w kabinie pilota. Start za czterdzieści minut. Szczęśliwego lotu!

– Dziękuję!

Klimow zamknął za sobą drzwi i oparł się o ścianę.

„016. rejsowy na Marsa”. „Proszę biec szybko do jednostki sanitarnej”. Nie, bzdury! Niech biegają najbardziej doświadczeni, im nie przytrafia się palpacja serca.

Zaczął wolno wchodzić po schodach, zatrzymując się na każdym stopniu.

– Nazwisko?

– Klimow. Drugi pilot z 016.

– Proszę się rozebrać!

Nieposłusznymi palcami zaczął rozpinać mundur.

– Do majtek.

...Dziesięć obrotów, dwadzieścia, trzydzieści... sto. Coraz szybszy obrót wirówki, coraz wolniejsze i słabsze uderzenia serca. Niewyobrażalny ciężar naciska na brzuch, uciska płuca. Tępe, ciężkie uderzenia w potylicę. Usta chciwie łapią powietrze. Sto dwadzieścia. Ogniste kręgi szaleńczo obracają się przed oczami, wymioty podnoszą się z żołądka i gulą stają w gardle. Sto trzydzieści. Nieznośny ból w kręgosłupie. Sto trzydzieści pięć. O cudzie! Nieważkość. Szybuje w swobodnym locie. Czarna otchłań usiana gwiazdami – błękitnymi, czerwonymi, fioletowymi. Co za błogość! Gdyby tylko nie kłuł ustnik aparatu tlenowego. Co za bałwan wymyślił te nowe skafandry...

– Spokojnie, Klimow! Przełykaj, przełykaj. – Lekarz wyciągnął mu z ust łyżkę i spojrział na zegarek, sprawdzając puls. – Ile ma pan lat?

– Tam jest napisane... pięćdziesiąt dwa.

– Od dawna ma pan prawo do emerytury. Po kiego diabła...

– Nie mogę.

– Co za bzdura! – lekarz podszedł do biurka i otworzył akta osobowe. – Z mojej strony byłoby przestępstwem wypuścić pana w rejs. Nic nie poradzisz, ojczulku, wiek to wiek. Ile już lat pan lata?

– Trzydzieści... z czego trzy w rezerwie.

– Widzi pan – lekarz kartkował dokumentację przebiegu służby. – Dwie awarie w ciągu ostatnich pięciu lat, a do tego... czekajcie! Czy pan jest TYM Wiktorem Klimowem?!

– Tym samym.

Lekarz gwizdnał cicho.

„Decyduj, pilocie! To twoja ostatnia szansa”.

– Jeden rejs. Bardzo pana proszę...

– Z kim pan leci?

– Pierwszym pilotem jest Pritchard.

– Dobrze – po chwili wahania lekarz postawił zamaszysty podpis na skierowaniu. – Porozmawiam z nim, żeby pana oszczędzał, zwłaszcza na przeładunkach. Szczęśliwego lotu!

– Dziękuję!

– Chwileczkę! Pamięta pan naszą umowę? Ostatni rejs. Oto tabletki. Proszę ich nie brać bez szczególnej konieczności. Zapamięta pan?

– Zapamiętam.

* * *

– Przepraszam, czy pan Pritchard?

Szeroki w ramionach niedźwiedziowaty jegomość, rozprawiający się właśnie z półkilogramowym befsztykiem, uniósł rudowłosą głowę.

– Uhu.

– Wiktor Klimow. Zostałem przydzielony do pana jako drugi pilot.

Pritchard spojrzał na niego spode łba. Szacunek wymieszany w połowie z litością. Najbardziej doświadczeni zawsze patrzyli na niego takim wzrokiem.

– Bardzo mi miło. Proszę siadać. Co pan zje?

– Dziękuję, nigdy nie jem przed startem.

– Niedobrze. Może kawy?

– Już piłem.

Pierwszy pilot przeżuwał w milczeniu.

„Dowództwo” – pomyślał Klimow. – „Osesek, a już dowódca”.

– Latał pan na szóstym odcinku?

Klimow zawahał się.

– Nigdy mi się nie trafiło, ale przeszedłem kurs przygotowawczy.

– Doskonale – w głosie Pritcharda można było wyczuć wszystko, poza entuzjazmem.

– Start o dwudziestej trzeciej trzydziści – powiedział, odsuwając talerz.

– Zaraz ogłoszą lądowanie. Pójdę sporządzić dokumenty, a pan niech w tym czasie sprawdzi załadunek.

– Czy nie powinienem być obecny przy lądowaniu?

– Nie, tam jest Rita, da sobie radę.

Ogłosili lądowanie i pasażerowie skierowali się do wyjścia na lotnisko.

Klimow zajrzał do baru.

– Lecę na 016.

– Och, Witka! – radość na twarzy Róży szybko zmieniła się w strach. – Czy na pewno dasz radę?!

– Głupstwo. Lekarz powiedział, że jestem w dobrej formie.

– No to gratuluję! – Przechyliła się nad barem i niezgrabnie cmoknęła go w policzek. – Będę czekać.

– Żegnaj.

– Poczekaj Witeńka – szybko rozwiązała fartuch i oderwała guzik z bluzki. – Na szczęście!

Nie należało dziękować.

Przy wyjściu służbowym niedbale pokazał dyżurnemu skierowanie.

– Leci pan, Klimow?

– Lecę, jako drugi pilot na 016.

– Drugi plac na lewo.

Klimow wyszedł na lotnisko. W dali, za żelazno-betonowym ogrodzeniem wznosił się stalowy budynek wieży startowej ze skierowaną w górę rakieta.

Klimow podniósł głowę i popatrzył na maleńką, czerwonawą gwiazdeczkę na niebie.

„Nieźle ci się udało, pilocie!” – dłoń namacała w kieszeni guzik i kurczowo zacisnęła się na nim.

U podnóża baszty, wysoka, szczupła stewardessa wpuszczała pasażerów do windy.

Klimow spojrzał w górę i skierował się na trap.

Był już na wysokości segmentu towarowego, kiedy ponownie poczuł ciężką kulę w piersi. Oparłszy się o balustradę, spojrzał w dół i zacisnął zęby, żeby pokonać zawroty głowy. Jednak to nie wystarczyło. Czyżby lęk wysokości?! Spojrzał w górę i widok migoczących gwiazd nieoczekiwanie przyniósł mu ulgę...

Segment załadunkowy był zapchany do granic możliwości. Płacząc się w licznych taśmach mocujących, Klimow czołgając się, przedostał się do części rufowej. Zdawało się, że wszystko w porządku; można iść do kabiny.

– Do diabła! – Wychodząc przez luk do przedsionka, uderzył głową o jedną z ocynkowanych skrzynek, umocowanych na ścianach. – A jednak załadunek powyżej normy!

Po półmroku ładowni matowe światło plafonów salonu zdawało się nieznośnie jasne. Ostatni pasażerowie zajmowali miejsca w fotelach. Stewardessa na małej tacy roznosiła różowe pigułki narkozy startowej.

Idąc korytarzem, zobaczył Marsjanę. Popatrzyła na niego przenikliwym, badawczym wzrokiem i uśmiechnęła się drwiąco.

Pierwszy pilot był już na miejscu. Klimow usiadł w swoim fotelu i zapiął pasy. Pritchard spojrzał na niego pytająco.

– Wszystko w porządku, ale zdaje mi się, że ten załadunek przekracza ciężar dopuszczalny dla statków tej klasy.

Pritchard chrząknął.

– Proszę się nie martwić. Jest pozwolenie inspekcji.

W drzwiach pojawiła się głowa stewardessy.

– Są wszyscy! Dwudziestu sześciu pasażerów.

– Ok!

Pritchard włączył mikrofon, ale nagle rozmyślił się i znowu szcękął przełącznikiem.

– Niech pan posłucha, Klimow. Jest pan doświadczonym astronautą. Już w akademii uczyłem się o pana rejsach... Nie musi się pan mnie krępować... Lekarz mówił mi... Może przydałaby się narkoza startowa?

– Bzdura! Czuję się doskonale.

– Jak pan chce – nachylił się do mikrofonu. – Tu 016. Proszę o pozwolenie na start.

– 016, masz pozwolenie! – rozległo się w głośniku. – Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... Start!

Strzałka wskaźnika prędkości wolno ruszyła z miejsca i, zatrzymawszy się niezdecydowanie na krótką chwilę, błyskawicznie ruszyła dalej.

Klimow poczuł na sobie wzrok Pritcharda i uśmiechnął się słabo, wymuszonym uśmieszkiem. Potem, odczekawszy chwilę, wyciągnął z mankietu tabletkę i wsunął ją do ust, ciężką jak z ołowiu ręką.

Pierwszy pilot uważnie patrzył na tarczę aparatów. Przyjmowanie dopingu na starcie i w czasie lądowania było kategorycznie zakazane ustawą.

Działanie tabletki dało o sobie znać błyskawicznie. Teraz wibracje i ciężkość nie wydawały się już takie męczące.

Pritchard przesunął małe drążek na pulpicie. Strzałka wskaźnika załadunku poszła w dół.

– Tu 016 – powiedział do mikrofonu. – Start był udany, kurs na stację paliwową.

– Słyszę was 016 – odezwał się głos. – Start udany, stacja benzynowa jest gotowa was przyjąć.

Płynne hamowanie, dwa rozbłyski dysz pokładowych i statek zawisł na magnetycznej cumie stacji paliwowej.

„Szybko mu to poszło” – pomyślał Klimow. – „No cóż, w końcu to jeden z najbardziej doświadczonych!”.

Pritchard odpiął pasy.

– Niech pan posłucha, Klimow. Tankowanie będzie trwało około trzech godzin. W czasie startu nie jest mi pan do niczego potrzebny. Nabieranie drugiej kosmicznej, to nie żarty. Niech pan idzie spać. Dwie tabletki nasenne. Zmieni mnie pan po dwudziestu godzinach.

– Tak, ale...

– Proszę wykonać rozkaz! Przy takiej automatyce ja mogę zdrzemnąć się tutaj. Jasne?

– Jasne.

W niebieskim świetle nocnych lamp twarze pasażerów zdawały się trupio blade. Leżeli na wznak w odchylonych fotelach, ukołysani narkozą startową.

Na przednim siedzeniu spała skulona stewardessa.

Klimow przeszedł do małej kajuty załogi, zdjął buty i położył się na tapczanie. Na stoliku, u wezgłowia, stało pudełko z tabletkami nasennymi.

„Proszę wykonać rozkaz...”.

Westchnął i wziął dwie tabletki, jedną po drugiej.

„A jednak niezłe ci się udało, pilocie” – uśmiechnął się, zapinając pasy antygravitacyjne.

Klimowa obudziło dziwnie dławiące uczucie niepokoju. Kilka minut leżał na plecach z zamkniętymi oczami, nie mając siły zwalczyć działania tabletek nasennych.

„Która godzina?” – odpiął pasy, gwałtownie usiadł i poleciał pod sufit. Trzymając się za skoble na przepierzeniu, ostrożnie zsunął się na dół i spojrział na zegarek. – „Niech to diabli! Zaspałem!”.

Minęło trzydzieści sześć godzin od momentu, kiedy Pritchard odesłał go do kajuty. Przespał wachtę! Co za hańba! Nie ma co, świetnie zaczyna się jego służba na 016!

Pochylił się, nałożył buty z magnetycznymi podeszwami i, powłócząc nogami, z miną chłopczyka winowajcy powłókł się do sterówki.

Para Amerykanów z luźnymi pasami drzemała w fotelach. Młodzi eksperci znowu walczyli w grze bojk, wypełniając kabinę wesołym śmiechem. Marsjanka, krzywiąc się na dźwięk stukotu magnetycznych kości,ssała tubkę z kremem ananasowym.

Stewardessa sprawnie przepływała między fotelami, zbierając resztki śniadania.

Klimow otworzył drzwi sterówki.

– Proszę o wybaczenie, Pritchard. Wiem, że to świństwo, na które nie ma wytłumaczenia...

– Daj spokój, Klimow. Cieszę się, że dobrze się pan wyspał. Statek obrał kurs. Może pan drzemać tutaj, w fotelu, a ja się położę. Kiedy pana zmienić?

– Kiedy pan chce. Zdaje się, że wyspałem się na całe życie.

– Dobrze – pierwszy pilot spojrział na zegarek. – Chyba też wezmę tabletkę.

* * *

...Nie ma niczego bardziej relaksującego, niż wachta w czasie swobodnego lotu. Klimow odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy, słuchając monotonnego poszczękiwania kursografu. Zatem znowu jest w kosmosie. Teraz, zapewne, na długo. Pilotów rezerwy rzadko zwalniają po pierwszym rejsie. W każdym razie kilka rejsów ma zapewnionych, a tam...

Dwa wstrząsy, jeden po drugim, szarpnęły korpusem statku. Zgasło światło. W ciemnościach Klimow wymacał przycisk awaryjnego oświetlenia i sterówka została oświetlona skąpym światłem małej lampki przymocowanej nad pulpitem.

W nagle zapadłej ciszy stukot godzinowego mechanizmu kursografu zdawał się uderzeniami dzwonu. Na płynnej krzywej kursu widoczny był drobny rozbłysk. Od tego punktu krzywa ledwie zauważalnie odchyliła się w lewą stronę. To wystarczało, żeby statek przeleciał obok celu w odległości milionów kilometrów. Trzeba niezwłocznie wrócić na kurs. Dwa, trzy rozbłyski z dyszy pokładowych i cienka krzywa na papierowej taśmie znowu leży pośrodku czerwonej granicy, której położenie zostało wyliczone ze skrupulatną dokładnością przez elektroniczne maszyny na Ziemi. Nacisnął pedał silnika manewrowego lewego pokładu... Cisza...

Magnetyczne podeszwy nie przylegały już do podłogi i Klimow poruszał się po korytarzu niezręcznymi skokami, odprowadzany przestraszonymi spojrzeniami pasażerów.

Między drzwiami, prowadzącymi do przedsionka grodzi, zrębnicę pokrywał szron. Klimow przyłgnął uchem do izolacji drzwi i usłyszał cienki świst. Tam, za drzwiami, znajdowała się potworna pustka, nazywana przestrzenią kosmiczną. Spojrzał na drążek automatycznego zaworu, zainstalowanego na rurze podającej powietrze ze stacji regeneracyjnej do kabiny. Kłapa była zamknięta. To mogło oznaczać tylko jedno – zerwanie rurociągu.

– Coś poważnego, kapitanie? – zapytał Amerykanin.

– Nie. Mikrometeoryt przebił poszycie i uszkodził instalację. W dwie godziny wszystko zostanie naprawione. Tylko obiad będzie pewnie trochę później.

No chyba! Przecież wszystkie zapasy prowiantu znajdowały się właśnie za tymi drzwiami.

„Dwie godziny” – rzucił okiem na aneroid. – „Ciśnienie w kabinie o pięć milimetrów niższe od normy. W ciągu dwóch godzin zaczną się dusić,

jeśli tylko zapas tlenu w butlach...”.

– Dwie godziny i wszystko będzie w porządku – powtórzył, kierując się do kabiny.

– Pritchard! – pierwszy pilot spał z rozrzuconymi rękami. Ciężki oddech wyrywał się z jego na wpół otwartych ust. – Pritchard!

Tarł mu uszy, klepał po policzkach, masował klatkę piersiową.

– Niech się pan obudzi, Pritchard!

Daremnie. Teraz działanie środka nasennego mogła przerwać tylko iniekcja dawki acecardolu.

– Rita!

W drzwiach ukazała się blada jak gipsowa maska twarz stewardessy.

– Dać panu apteczkę? Jest w przedsionku, zaraz przyniosę

– Nie trzeba.

– Myślę...

– Niech pani idzie na miejsce! Będę w sterówce. Proszę włączyć pochłaniacz dwutlenku węgla. Tlen proszę wydawać bardzo oszczędnie. Nikogo nie dopuszczać do drzwi prowadzących do przedsionka.

– Dobrze.

„No, decyduj, pilocie!”.

Szczerze mówiąc, nie było o czym decydować. Tlenu w butlach zostało mniej więcej na cztery godziny. Trzeba albo zamknąć na głucho drzwi prowadzące z kabiny do sterówki, wydostać się na zewnątrz przez luk awaryjny i spróbować dostać się do części rufowej statku, albo... Dwudziestu sześciu pasażerów.

Skafander jest w szafie. Trochę za duży, ale cóż poradzić. Sięgnął rękoma za plecy, żeby zatrzasać karabińczyk hełmu i poczuł rwący ból w lewej części klatki piersiowej. Nie powinien wykonywać gwałtownych ruchów. Teraz trzeba przymocować na piersi butlę tlenową i przypiąć do pasa linkę. Nie zapomnieć o manewrowym pistolecie. Przekleństwo! Ani linki, ani pistoletu nie znalazł. Oczywiście, cały ekwipunek do eksploracji zewnętrznej był przechowywany w części rufowej. Zatem, nie ma wyboru. Sprawdził hermetyczność hełmu i zaczął odkręcać blokadę luku awaryjnego.

Błyskawiczny podmuch uciekającego powietrza przyciska ciało do uchylonego luku. Wraz z eksplozją, pękły lampki plafonów. Czarny plastik pulpitu szybko pokrywał się grubą warstwą szronu.

Spojrzał jeszcze na drzwi prowadzące do kabiny i otworzył luk na całą szerokość...

W ciągu swojego długiego życia kosmonauta Klimow nie raz musiał porzucać kabinę w trakcie lotu i zawsze przy tym doświadczał nieporównywalnego z niczym poczucia majestatu kosmosu. Jednak teraz daleko mu było do ekstatycznego uśmieszku. Cieniutka, ale gęsta warstwa lodu osiadła na zawiasach, nie pozwalając na zamknięcie luku. Opierając się nogami o obramowania, z całych sił pociągnął go ku sobie.

– Bydlę! – nieoczekiwanie pokrywa poddała się i, wywinąwszy fikołka przez głowę, Klimow zaczął szybko oddalać się od statku. Wyciągnął ręce i nogi. Obroty stały się wolniejsze, ale czarna wyrwa otchłani między nim, a 016 nieuchronnie zwiększała się.

„Luk!! Nikt nie wie, że luk jest otwarty. Nawet jeśli Pritchard obudzi się zanim w kabinie skończy się tlen... Wystarczy tylko otworzyć drzwi...”

W rozpacz szamotał się w pustce, kulił się w kłębek i szarpnięciem rozprostowywał bezradne ciało.

„Gdybym tylko miał pistolet manewrowy... Bałwan! Jaki jest sens myśleć o tym, czego nie ma... Tlen!”

Przesunął drążek ogrzewania butli na skrajną pozycję i, odczekawszy na odpowiedni moment, gwałtownym ruchem otworzył wentyl przewiewu.

„Stop!.. Jeszcze raz... Stop!”

Coraz bliższy jest korpus statku, coraz mniejsze ciśnienie tlenu w butli.

„Świetnie!” – Wyciągnięte palce niemal dotykają zbawczej liny. – „Czyżby już?! Ostatni raz! Jest!”

Teraz silnym, kurczowym chwytem trzyma metalowy pręt. Wieko luku jest tuż obok. Nakłada blokadę i, zaciskając zęby z wysiłku, zaciąga z całych sił koło zamachowe. Żeby tylko starczyło tlenu!

Wolno przebierając rękami, Klimow porusza się wzdłuż ściany statku. Aha! Oto i ona, ziejąca dziura o poszarpanych brzegach! Z trudem przeciska się do wewnątrz. Jest! Ekspłodowały te diabelskie skrzynki w przedśionku. Pochyliła się i w blasku hełmowej latarki, w rurociągu, doprowadzającym zregenerowane powietrze do kabiny, widzi dziurę rozmiarów pięści. Jej brzegi pokrywa lód. Snop białych śnieżynek fontanną wzbija się w górę. Chwała Bogu! Stacja regeneracyjna cały czas pracuje. Podchodzi do drzwi, prowadzących do maszynowni i kładzie na nich rękę.

Delikatnie wyczuwalne wibracje spowodowane pracą kompresorów przypominają bicie serca.

Trzeba się śpieszyć. I tak zbyt wiele drogiego powietrza musiał wyrzucić w kosmos. Najpierw plaster rurę, potem zajmie się kablem. Łata na obramówkę, a potem...

– Witia! – Róża już zdjęła fartuch. Kostium z miękkiej, szarej tkaniny szczelnie opinał jej zgrabną figurę. – Chodźmy, mój miły! 016 na Marsa już odleciał. Teraz do rana nic się już nie będzie działo. Jeszcze zdążymy na autobus. Popatrz, do kogo ty jesteś podobny! Chodźmy! Weźmiesz kąpiel, wypijesz herbatę z malinami. Jutro mam wolne, przeleżymy cały dzień w łóżku.

„No, decyduj, pilocie!”.

– Nie – powiedział, przesuwając wzrokiem po rozkładzie rejsów. – Będę nocował w hotelu kosmonautów. Jutro o siódmej rano muszę tu być do odlotu planowego rejsu na Księżyc. Przecież jestem rezerwowym, wszystko może się zdarzyć.

Przełożyła Iwona Czapla

SKLEP SENNYCH WIDZIADEŁ

Jeśli kiedykolwiek byliście na Wenus, to być może udało wam się zajrzeć do sklepiku U-I. Mówię „być może”, ponieważ sklepik ten nie jest wymieniony w informatorach dla turystów. Tak więc, jeśli przyjdzie wam do głowy, wykorzystując chwilową przerwę w trajkotaniu przewodnika z Powszechnego Biura Podróży, zadać mu pytanie o Sklep Sennych Widziadeł, to w odpowiedzi zapewne wzruszy tylko ze zdziwieniem ramionami.

A jednak ten sklep istnieje. Co więcej, był czas, kiedy wokół przekrzywionego, maleńkiego domku, przypominającego chatkę na kurzych nóżkach, toczyły się zaciekle debaty w wielu komisjach KosmoUNESCO. Ale nie tylko tam. Któregoś razu pytanie o działalność Komitetu do Spraw Zagospodarowania Bogactw Naturalnych Systemu Słonecznego zostało postawione na plenarnym posiedzeniu Generalnego Zgromadzenia ONZ właśnie w związku ze sklepem U-I. Jednak, zgodnie z zaleceniem większości delegatów, to delikatnej natury pytanie przekazano do uzupełniającego wnikliwego przeanalizowania w jednej z podkomisji, gdzie, najwidoczniej, jest analizowane do tej pory.

Zatem, jeśli nawet kiedykolwiek byliście na Wenus, to wcale nie oznacza, że znacie U-I i jego sklep. To mogło zdarzyć się tylko przy zbiegu kilku okoliczności: jeśli udało się wam spotkać w ruinach Starego Miasta Ju-A i jeśli szczęśliwym trafem mieliście w rękach książkę z obrazkami.

Jeśli zaś nie znaleźliście nigdy wolnej chwili, żeby polecieć na Planetę Cudów, jak ją nazywają w prospektach, to historia, którą mam zamiar wam opowiedzieć, wymaga paru wstępnych wyjaśnień.

W czasie, w którym toczy się nasza opowieść, ludność Ziemi miała już niewypłacalny dług wobec Wenusjan. Ten drobny, niewysoki naród nie przejawiał żadnego zainteresowania niezliczonymi bogactwami, którymi dysponował.

Wszystkie wysiłki ludzkości rozliczenia się z tubylcami w sprawie eksploatacji wnętrza planety materialnymi, albo duchowymi wartościami, do niczego nie prowadziły.

Wenusjanie przejawiali niepojętą niechęć do życia w kamiennych domach, do odzieży przygotowanej nienaturalnymi metodami i do ziemskiego jedzenia. Nic, co nie wyrosło na bagnach rodzimej planety, nie przedstawiało dla nich żadnej wartości. Wydawało się, że nic nie może pokonać ich strachu przed zmechanizowanym transportem, radiem i telewizją.

Ich melodyjna mowa, bogata w wielorakie intonacje, nie mogła być wyrażona w formie pisma; wszystkie starania dążące do stworzenia wenusjańskiego pisma, niezmiennie kończyły się fiaskiem. Mogli go używać wszyscy, oprócz tych, dla których powstało.

Ale największe zażenowanie spotkało współczesnych misjonarzy, próbujących zaszczepić współplemioncom U-I ducha zdrowego ateizmu. Rdzenni mieszkańcy doszli do wniosku, że ich kultowe obrzędy – na marginesie, bardzo piękne – w jakiś sposób obrażają uczucia religijne dziwnych istot przylatujących z nieba w aureoli ognia, zatem przenieśli się na bagna, pozostawiając przybyszom pełną swobodę poruszania się i korzystania z planety. Nie wiem dlaczego U-I nie podążył za swoimi rodakami. Zdziwiająco sprawnie potrafił uchylać się od nazbyt natarczywych pytań. Wydaje mi się, że umiejętności, którymi władał U-I, odgrywały niemałą rolę w obrzędach religijnych Wenusjan. W każdym razie, nie raz widziałem posłańców z bagien, uginających się pod wyładowanymi ciasno workami z czarodziejskim towarem, kiedy ci, rozglądając się na boki, wychodzili późnym wieczorem ze sklepu U-I.

Któregoś razu U-I powiedział mi, że umiejętność znajdowania potrzebnych liści do skręcania cygar przekazywana jest w ich rodzie z ojca na syna. Na moje pytanie, od ilu już pokoleń są w posiadaniu tego sekretu, padła lakoniczna odpowiedź: „wiele”.

Sam U-I nie był żonaty. Dużo później zrozumiałem, że to była jedna z przyczyn, dla których pozostał on w romantycznych ruinach Starego Miasta, służących za wabik dla turystów. Duszę U-I, zamkniętą w drobnym ciele liliputa, nieprzeparcie pociągały bardziej dorodne kobiety Ziemi.

Drugą pasją U-I były książki z obrazkami. Straciwszy nadzieję na nauczenie mieszkańców Wenus piśmiennictwa, Komitet Związków Kulturowych w Kosmosie próbował przyciągnąć ich uwagę do ziemskiego życia za pomocą obrazków. Efekt przekroczył wszelkie oczekiwania, szczególnie po tym, jak w obieg wypuszczono zgrabne ilustracje. Chociaż

adaptowane wydania Shakespeare'a i Dostojewskiego nie odniosły szczególnego sukcesu, to zapotrzebowanie na bajki trudno było wręcz zaspokoić.

Na ołtarzyku w sklepie U-I spoczywały wspaniale wydane baśnie „Tysiąca i jednej nocy”, które czcił na równi z bożkami ulepionymi z błękitnej gliny.

Szczególny zachwyt wywołała w nim jedna z książek, w której można było, otwierając okute miedzią drzwi, trafić do pałacu Haruna ar-Raszida.

W tej fascynującej i niebezpiecznej podróży na każdym kroku czekały się same cuda. To w usłanym kobiercami przedpokoju zastępuje wam drogę obnażony do pasa olbrzym Nubijczyk, to pośród skarłałych drzew z powagą przechadzają się wielobarwne pawie, to trafiacie do sali bez okien, oświetlanej bryzgami fosforyzującej fontanny.

I oto otwierają się ostatnie drzwi, na straży których stoi uzbrojony po zęby eunuch i oczom śmiałka ukazuje się harem wielkiego sułtana. Pełne rzewnej tkliwości piękności w półprzezroczystych szatach, leżące w kuszących pozach u nóg swego władcy i wreszcie on, król królów, wielki szach, czarnobrody mężczyzna Harun ar-Raszid.

W ostatni obrazek U-I wpatrywał się godzinami, pogrążony w jakiejś błogiej ekstazie, co wywoływało, w pełni słuszne, niezadowolenie jego klientów, ponieważ dźwięk maleńkiego gongu, którego zazwyczaj używali palacze, żeby otrzymać pozwolenie na wejście do sklepu, nie mógł wybudzić gospodarza ze słodkich marzeń na jawie.

Sami zgodzicie się z tym, że nie jest to zbyt przyjemne, jeśli pokonaliście całą drogę z bagien do Starego Miasta i, zamiast otrzymać upragnione cygara, przestaliście pół dnia pod zamkniętymi drzwiami skarbcza marzeń, po czym musieliście wrócić z niczym na swoje śmieci.

Narastający konflikt między U-I i jego współplemieńcami został załagodzony, z właściwym Wenusjanom taktem, przez specjalną delegację, na czele której stał Ju-A.

Wypełniwszy cały złożony rytuał, przyjęty w podobnych przypadkach, i wypaliwszy po grubym „oki-oki”, pertraktujące strony doszły do następującego porozumienia:

1. Sklep U-I będzie otwarty dla każdego pragnącego go odwiedzić od wschodu do zachodu Słońca.

2. U-I udziela się prawa prowadzenia komercyjnych operacji z Ziemią, może sprzedawać im cygara w zamian za książki z obrazkami.

Umowa ta była uzupełniona regionalnym porozumieniem między U-I i Ju-A, według którego ten ostatni zgodził się wyszukiwać odpowiednią klientelę wśród turystów, otrzymawszy w charakterze prowizji po jednym cygarze za każdą sprzedaną dziesiątkę.

Pierwszym rezultatem zawartej umowy było to, że następnego dnia U-I wyszedł ze sklepu Domu Przyjaźni, trzymając w ręce kolorowe kartonowe pudełko z dzwonkiem „proszę wejść!”.

Po dwóch godzinach od momentu, kiedy nabytek U-I został wciągnięty do księgi wzajemnych rozliczeń dwóch planet, szef inżynier Urzędu do Spraw Kontaktów Pozaziemskich zainstalował ten dzwonek na drzwiach Sklepu Sennych Widziadeł.

Nie mam zamiaru zapewniać, że założenie zwyczajnego dzwonka było jedyną usługą bezpośrednio okazaną przez ziemską cywilizację mało rozwiniętej społeczności Wenus, niemniej informacje o niej figurowały w zapiskach wszystkich trzydziestu dwóch komitetów, powiązanych z problemem zagospodarowywania planet Systemu Słonecznego.

Oczywiście sprawozdania, w których wspomniano palarnię U-I, przyciągnęły do niej uwagę KosmoUNESCO.

Do przesłedzenia bezprecedensowego przypadku handlu narkotykami na oczach międzynarodowej administracji stworzono wiele komisji. Ich orzeczenia wraz z odpowiedziami na postawione pytania zostały skatalogowane w dwunastu okazałych rozmiarów księgach.

Narkotyki? Tak, cygara, przygotowywane przez U-I, stanowiły silny środek narkotyczny, wywołujący głęboki sen z wyraźnymi sennymi wizjami. Chemiczna formuła tego narkotyku nie została ostatecznie ustalona. Jednak narkotyczne substancje, wchodzące w skład liści, z których robiono cygara, nie zawierały szkodliwych dla organizmu substancji. Co więcej, na podstawie przeprowadzonych badań klinicznych twierdzono, że systematyczne palenie cygar przygotowanych przez U-I, korzystnie wpływa na przebieg takich chorób, jak wczesne stadium raka płuc, ostre ataki astmy, a także przy zaostrzeniu rozmaitych zapaleń okrężnicy. Analizy zostały przeprowadzone w klinikach Ziemi. Wśród mieszkańców Wenus, gotowych poddać się stosownym badaniom,

podobnie jak i wśród pacjentów z tymi chorobami, nie pojawiły się żadne skutki uboczne.

W ocenie społecznego aspektu problemu komisje jednomyślnie odnotowywały negatywny wpływ palenia cygar, ponieważ przeszkadzało ono skutecznemu rozpowszechnianiu wśród tubylców takich progresywnych metod przekazu informacji, jak kino i telewizja, które uparcie były odrzucane przez Wenusjan, oddających pierwszeństwo barwnym widziadłom wywoływanym dymem cygar. Dlatego komisje rekomendowały KosmoUNESCO stworzenie organizacji, która byłaby w stanie skutecznie nałożyć prawny zakaz produkcji, handlu i palenia narkotycznych cygar w granicach całego Systemu Słonecznego.

Co zaś tyczy się leczniczego wykorzystania cygar, przygotowywanych dla Wenusjan przez U-I, to problem ten komplikował się przez niechęć wynalazcy do ujawnienia komukolwiek sekretu ich przygotowania. Póki co, niezbędne do przeprowadzenia dalszych doświadczeń cygara mogą zostać zdobyte tylko w drodze wymiany na bajki z obrazkami.

Jak by nie było, cały szum wszczęty przez komisje właściwie mało dotknął samego U-I, co najwyżej zwiększył sprzedaż cygar.

Ju-A sumiennie wypełniał przyjęte na siebie zobowiązania i rzadko zdarzał się dzień, kiedy w Sklepie Sennych Widziadeł nie pojawiał się nowo zwerbowany klient.

Szczególnym powodzeniem wśród turystów cieszyły się małe czarne cygara „izi-izi”, których dym wywoływał widzenia wenusjańskich dżungli. W ciągu godziny spędzonej na twardej leżance palacz przeżywał więcej przygód, niż jakikolwiek badacz planet w ciągu całego swojego życia.

Co by nie mówić, U-I był mistrzem w swoim fachu!

Teraz mógł spokojnie oddawać się obserwowaniu haremu, nie ryzykując, że wywoła to czyjeś pretensje. Nowy dzwonek zdolny był zbudzić z marazmu najbardziej nałogowego fantastę.

A jednak U-I naruszał zawartą umowę. Często nad ranem, narysowawszy węglem na drzwiach sklepu podobiznę Wenusjanina, kroczącego pod zwisającymi koronami drzew; co w przekładzie na język potoczny oznaczało: „wyszedłem po towar”; zamykał się samotnie w małym pokoiku, znajdującym się za kabinami do palenia.

Charakter tajemniczych zajęć właściciela sklepu pozostawał dla wszystkich tajemnicą, ponieważ U-I postanowił ni mniej ni więcej jak skomponować nowy gatunek cygar, zdolny przenieść jego duszę z sennego ciała prosto do pałacu Haruna ar-Raszida.

Możecie być pewni, że mu się udało, ponieważ U-I był nie tylko wielkim marzycielem, ale i wielkim magiem snów.

Jednak między wielkością a śmiesznością jest tylko jeden krok i zmierzyć jego odległość sądzono było właśnie U-I.

Jakim śmiesznym i żalonym musiał zdawać się mieszkańcom haremu maleńki, krzywonogi, pękaty Wenusjanin w porównaniu z władcą całego muzulmańskiego świata, baśniowym Harunem ar-Raszidem!

Biedny U-I! Zrozumiał to, przyczaiwszy się za parawanem wymalowanym w osobliwe ptaki i podglądając ukradkiem syna proroka, siedzącego na kanapie. W jednej ręce szach trzymał munsztuk drogiego ghalynu, drugą niedbale przeczesywał włosy przepięknej Gayane, która była perłą haremu.

Biedny U-I! Jego najbardziej zuchwałe, najbardziej tajemne marzenia znikły jak smużki tytoniowego dymu, dobywające się z bursztynowego munsztuka.

Nieszczęsny, maleńki stworek U-I! Cały dzień chodził po swoim sklepie, nie odpowiadając na przenikliwe dzwonki. Namiętność, zazdrość i rozpacz targały nim niczym potwory z wenusjańskich lasów w koszmarze początkującego palacza.

Zalewając się łzami, pechowy zakochany to przyciskał do piersi bezcenną książkę, to deptał ją nogami, przeklinając tego, kto wymyślił tę urokliwą i złą bajkę.

Jednak bajka ma swoje prawa i tam, gdzie bezsilna jest Miłość, pomaga Przyjaźń.

Ju-A był oddanym przyjacielem i plan, jaki zrodził się w jego głowie, był zuchwały, lecz wręcz genialny w swej prostocie.

Następnego dnia wieczorem wierny Ju-A ułożył U-I na leżance do palenia i sam wsunął mu w usta grube cygaro, długie na łokieć. Drugie takie cygaro, pokruszone na maleńkie kawałki, ukryte było w kieszeniach U-I.

Teraz U-I, przeniesiony do pałacu wschodniego władcy, powinien był wybrać odpowiedni moment i dosypać mu do ghalynu swojego ziela, a Ju-

A odczekawszy na ustalony czas powinien był podnieść alarm za pomocą dzwonka „proszę wejść!”, który był zdolny obudzić nawet umarłego.

Tak, w maleńkiej, wątlej piersi Ju-A biło wielkie, odważne serce! Szczerze mówiąc, nie chciałbym być na jego miejscu, kiedy z kabiny do palenia w sklepiku U-I wyszedł, wlekąc za sobą wygasły ghalyun i przecierając zaspane oczy, nie kto inny, jak sam Harun ar-Raszid.

Nie są mi znane szczegóły tej nocy. Zresztą, ważne jest tylko to, że kiedy wielki szach wreszcie znowu zasnął nad ranem w Sklepie Sennych Widziadeł, z cygarem w zębach i książką z obrazkami pod pachą, Ju-A delikatnym i czułym dzwoniem wywołał swojego przyjaciela z niebytu.

Oczywiście, ekspedycja udała się wspaniale, ponieważ U-I chodził dumny jak paw. Gładził swój brzuch i tak szelmowsko patrzył na Ju-A, że ten aż cierpiał z ciekawości; ale w sprawie wszystkiego, co zaszło w pałacu, U-I zachowywał skromne milczenie, jak przystało na prawdziwego mężczyznę.

Wkrótce U-I ustanowił w swoim sklepie cotygodniowy dzień wolny, poświęcony ekspedycjom do pałacu.

W te dni Ju-A zamiast niego siedział w sklepiku i nieliczni turyści, którym przyszło do głowy pozachwycać się nocnym widokiem Starego Miasta, słyszeli poprzez zamknięte okiennice głośną awanturę, przy czym jeden z głosów wypowiadał się w śpiewnym wenusjańskim narzeczu, a drugi – niski, gardłowy baryton – wyraźnie należał do Ziemianina.

Tak trwało to około roku, dopóki pewnego pięknego poranka U-I nie wrócił z ekspedycji z czarnookim niemowlęciem, którego Ju-A niezwłocznie posłał do mamek na bagna.

X X X

Całą tę historię opowiedział mi U-I, kiedy przyleciałem na długoterminowy staż.

Siedzieliśmy wieczorem w Sklepie Sennych Widziadeł. Mój wzrok przyciągała żółta „oki-oki”, którą miałem zamiar podelektować się po naszej rozmowie, a U-I z Ju-A oddawali sprawiedliwość zawartości mojej papierośnicy. Na stole stała już w połowie pusta butelka, z powodu której

miałem wielkie nieprzyjemności w międzynarodowym urzędzie celnym i trzy skamieniałe kwiaty lili, zastępujące na Wenus szklanki.

Słowem, wszystko sprzyjało szczerzej, otwartej rozmowie, ale mnie z jakiegoś powodu wydawało się, że U-I coś ukrywa. Bardzo dziwna była nawet obojętność, z jaką przyjął on mój podarek – pięknie ilustrowaną serię „Przygód Pinokia”. Wiedziałem, że tych książek nie było jeszcze w kiosku Domu Przyjaźni.

– No dobrze – powiedziałem. – Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego zdjąłeś dzwonek.

– Dzwonek? – U-I zwinnie wypuścił dziesięć kółek i nawlókł je na wąski pas dymu. – Dlaczego zdjąłem dzwonek?

– Tak, dlaczego zdjąłeś dzwonek? – powtórzyłem.

– Widzisz – spojrzenie U-I było z rozmarzeniem skierowane w sufit. – Teraz mam wielu klientów. Turyści. Śnią się im przeróżne potwory, a dzwonek był bardzo głośny, a może nagle rozbudziłby jakieś straszdyło?

– U-I – ponownie napełniłem szklanki napojem z pękatej butelki. – Od dawna mnie znasz, U-I?

– Od dawna.

– Może w takim razie mógłbyś być ze mną całkiem szczerzy? Przecież doskonale wiem, że potwory nie palą ghalyunów. Powiedz mi lepiej całą prawdę, bo tymi wykrętnymi banialukami tylko mnie obrażasz.

U-I upił trochę ze szklanki i, zmrużywszy jedno oko, polizał wewnętrzną stronę ręki, co, według wenusjańskiej etykiety, oznaczało wyższy stopień wdzięczności za gościnę.

– Całą prawdę?... Rzecz w tym, że Gayane... Byłaby dobrą żoną. Ale jest tam jeszcze jedna starucha... jej matka, która wiecznie wtyka swój nos, gdzie nie trzeba... Zdaje się, że już wszystko wywęszyła. Boję się, żeby nie pojawiła się tutaj. Nie – dodał po chwili milczenia. – Niech już lepiej malca wychowuje Wenusjanka.

– I wyrośnie na maga snów – dodał wierny Ju-A.

Przełożyła Iwona Czapla

KARALUCHY

Nie chciało mi się wstawać. Wiedziałem, że wystarczy otworzyć oczy, a cała ta karuzela zacznie się od nowa. Jeden obrót na dwadzieścia cztery godziny i tak dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. We śnie można było ze światem robić wszystko, co się tylko chciało: przekształcać go wedle swojego uznania, zasiedlać postaciami z bajek, zatrzymać czas i cofać go.

We śnie byłem panem świata, a za dnia... Zresztą, lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Dobrze jest leżeć dziesięć minut z zamkniętymi oczami i myśleć tylko o czymś przyjemnym. Głupie zalecenie, bo to oznacza, że nie można myśleć o tym, co jest rzeczywiste. Nie można myśleć o nadchodzącym dniu, o leżącym na stole rękopisie, nie myśleć... Stara, naiwna mądrość, dziecinne wyobrażenia o potędze ludzkiej psychiki. Słomka rzucona tonącemu. Do diabła ze słomkami, technika ratowania też idzie naprzód.

Wyciągnąłem rękę i wziąłem ze stolika kontakty. Jeden na potylicę, dwa na nadgarstki i jeden na brzuch.

Kim jesteś, mój dobroczyńco, dający mi męstwo i spokój ducha? Może twoje prochy już dawno leżą w urnie krematorium i wszystko, co po tobie zostało, to magnetyczny zapis emocji, rozmnożony w milionach egzemplarzy. Pozostawiłeś ludziom nieocenioną spuściznę – poranną radość. Miałeś pogodny charakter, doskonałe trawienie i niestrudzone serce. Posiadałeś godny pozazdroszczenia apetyt, lubiłeś sport, dobry żart i kobiety. Twoje bioprądy wypełniają siłą moje mięśnie, uparcie gnają krew po naczyniach, zmuszając mnie do uśmiechu tym idiotycznym grymasem.

Hej ho! Życie jest piękne! Używajcie rano elektrycznych biostymulatorów Alfa!

Kliknięcie przełącznika. Teraz aparat jest wyłączony na dwadzieścia cztery godziny. Trzeba spróbować wyłamać zamek i odłączyć przełącznik. Przeleżeć kilka dni w tym błogosławionym stanie, a cała reszta niechaj stacza się do piekła; i nie skończone książki, i niewierne żony, i wy, nadziejo człowieczeństwa, panowie kłapouchy!

Słyszycie! Do piekła, razem ze wszystkimi waszymi problemami i dylematami.

Próbuję otworzyć nożykiem czarną skrzynkę, ale korpus aparatu zrobiony jest z twardego plastiku. Nigdzie nie ma najmniejszej szczeliny. No cóż, nic nie poradzisz.

Popatrzmy, co dzieje się na świecie. Na ekranie – reklama, reklama, reklama.

Więcej jedzcie, więcej pijcie, częściej zmieniajcie ubranie, obuwie, meble. Śledźcie modę, to zwierciadło epoki. Kobiety, starajcie się zawsze podobać mężczyznom. Mężczyźni, obserwujcie swoją powierzchowność. Odwiedzajcie Sklep Centralny, tam wszystkie towary mają obniżoną wytrzymałość. Nieograniczony kredyt. Nie żałujcie rzeczy, nie przywiązujcie się do nich. Pamiętajcie, że zakładając jeszcze raz ubranie, naruszacie rytm pracy Głównego Taśmociągu. Wszystko, z czego skorzystaliście już raz – do utylizatora!

Bierzcie, bierzcie, bierzcie!

Komunikaty.

Dziesięciocyfrowe numery, niekończące się, uchodzące w dal automatyczne linie, góry żarcia, niewyobrażalna ilość towarów. Strzałki przyrządów na tarczach systemu energetycznego stoją poniżej zielonej linii. Konsumujcie, konsumujcie, konsumujcie! Głównemu Taśmociągowi grozi przejście na cykl zamknięty!

Program drugi: lekcja dla kobiety. Rodzenie jest pożyteczne, rodzenie jest przyjemne, rodzenie jest niezbędne. Szukacie sensu życia? On zawiera się w dzieciach! Nowość w prawie ślubnym. Każda patriotka Donomagu powinna mieć nie mniej niż pięcioro dzieci.

Nie podniesiemy konsumpcji, dopóki...

Dosyć! Włączam program trzeci.

Sensacja naszego wieku – myślący goryl Max udziela wywiadu korespondentom z telewizji i gazet. Masywne ciało ubrano w jaskrawoczerwony chałat, starannie zaciągnięty pod szyję. Wyniosłe, zmęczone oblicze. Półprzymknięte oczy.

Na nieprawdopodobnie dużej czaszce zachowała się jeszcze różowa blizna, ślad po niedawnej operacji.

Siedzący obok komentator, w porównaniu z Maksem zdaje się drobny i żałosny.

– Powiedz, Max – pyta korespondent agencji prasowej – jakie, według ciebie, perspektywy zapowiadają operacje tego rodzaju?

Max uśmiecha się, obnażając ostre, żółte kły.

– Sądzę – mówi – że gdyby te operacje nie dawały oczekiwanego rezultatu, to dzisiaj nie miałbym zaszczytu rozmawiać z panem.

Kamera panoramicznie pokazuje dziennikarzy za stolikami, szybko zapisujących odpowiedź w notatnikach.

– Obawiam się, że nie do końca mnie zrozumiałeś – kontynuuje korespondent. – Miałem na myśli perspektywy... e-e-e... dla ludzkości w ogóle.

– Pracuję dla ludzkości – pada sucha odpowiedź. – Czyżby pan myślał...

– Wybacz Max – przerywa komentator. – Pozwolę sobie uściślić pytanie mojego kolegi. Uważasz, że to możliwe, iż podobne operacje będą kiedyś przeprowadzane na ludziach?

Max wzrusza ramionami.

– To pytanie należy adresować do tych, którzy takie operacje przeprowadzają. Zapytajcie kłapouchów.

Śmiech na sali.

– A jednak – nalega komentator – nas interesuje twój punkt widzenia.

Maksowi zaczyna drgać warga. Kilka sekund patrzy na korespondenta martwym wzrokiem. Chwilę później z jego gardła wrywa się przenikliwy ryk. Zgiętymi w łokciach rękami wykonuje kilka głuchych uderzeń w swoją pierś. Widać, że operator nie wytrzymuje nerwowego napięcia, telekamera szybko wycofuje się w głąb sali.

– Hej, Max! – komentator wyciąga w jego kierunku kiść bananów. – Czy warto denerwować się z tego powodu?

Kiedy Max żuje banany, w studiu panuje taka cisza, że wyraźnie słychać ciężkie sapanie i głuche, mlaszczące dźwięki.

– Przepraszam! – zawija się rozpiętym fartuchem. – O czym to mówiliśmy?...

– Czy takie operacje są możliwe na ludziach? – podpowiada komentator.

– To raczej pytanie etyczne, a nie naukowe. Do tego, żeby stworzyć jeden nadmózg, dwie osoby z trzech trzeba uśmiercić. Tam, gdzie chodzi o życie zwierząt, wasze kłapouchy nie przejawiają szczególnej delikatności.

Nie wiem, czy starczy im zdecydowania, kiedy sprawa będzie dotyczyć ludzi.

Zbyt śmiało mówi o kłapouchych. Komentator wyraźnie czuje się niezręcznie i stara się zmienić temat rozmowy.

– Może opowiesz nam, nad czym teraz pracujesz?

Bystre spojrzenie spode łba. Przez chwilę waha się. Słowo honoru, ten goryl jest mądrzejszy, niż się spodziewałem. Wystarczy spojrzeć na ten uśmiech.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Jestem złym popularyzatorem, a samo zagadnienie wychodzi poza granice rozumienia ludzi ze zwyczajnym kodem genetycznym. Nie może pan przecież wyjaśnić małpiatce zasad budowy wiersza.

Brawo, Max, brawo!

– Tak... – komentator jest zbity z tropu. – Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Na ekranie, na zbliżeniu, korespondentka radio.

– Wybacz, Max, możliwe, że moje pytanie będzie trochę... Ale może uznasz je za zbyt... – zdaje się, że zaplątała się beznadziejnie.

– Intymne? – przychodzi jej na pomoc komentator.

– Dokładnie – kobieta wzdycha z ulgą. – Twoja przeszłość. Przecież nie można jej tak po prostu wymazać z pamięci. Zwierzęce instynkty. Czy nigdy nie nachodzi cię pragnienie...

Max kiwa głową:

– Zrozumiałem. Wszyscy znajdujemy się we władzy instynktów. Nigdy nie da się przed nimi uciec. Czy u pani, kiedy nocą zostaje pani ze swoim mężem sam na sam w sypialni, nie pojawia się pragnienie pójścia za ich zewem?

Dziennikarze rzą niczym zwierzęta, komentator uśmiecha się, tylko oblicze goryla skrzywione jest w grymasie obrzydzenia.

Korespondentka czerwieni się.

To znakomita rzecz, taki kolorowy ekran! Delektuję się bogactwem odcieni rumieńca na twarzy tej idiotki.

– Jestem... dziewczyną... – z trudem wydusza kobieta.

Teraz już i Max rechocze.

– Tym bardziej! – wyciąga z kieszeni fartucha chusteczkę i wyciera nią oczy. – Tym bardziej. Niezaspokojone instynkty są najsilniejsze.

Komentator próbuje ratować sytuację.

– Dziękuję, Max. Pozwól, że podziękuję ci również w imieniu widzów, którzy, mam nadzieję, z zainteresowaniem wysłuchali tego wywiadu.

Wyłączyłem ekran. Pora na śniadanie.

Dwunasty szyfr – dietetyczne śniadanie dla cierpiących na otyłość. Jednak z jakiegoś powodu w miejsce codziennych dwóch naczyń i szklanki herbaty, metalowa ręka wpycha na tacę coraz to nowe talerze. Próbuję zatrzaskać drzwi, ale nie poddaje się. Aha, rozumiem, to nowy trik; chcesz, czy nie, musisz zwiększyć konsumpcję.

Nie mogę powiedzieć, że to wszystko jest niesmaczne. Potrawy przygotowane są według przepisów doświadczonych smakoszy, ale wystarczyło, że zjadłem dwie łyżki i mój apetyt przepadł. Drażni mnie taka obfitość jedzenia. Zrzucam zawartość wszystkich talerzy na tacę, starannie mieszam i wyrzucam do utylizatora. Przy tej czynności staram się nie myśleć o rachunku, jaki przyjdzie pod koniec miesiąca. Trzeba być patriotą.

Koniecznym jest zapewnić obciążenie wszystkich automatycznych linii. Taśmociąg, pracujący w zamkniętym cyklu, to naprawdę straszna rzecz. Coś w rodzaju pisarza, który nie ma o czym pisać.

À propos pisarzy. Zaraz, mój drogi, sam siądziesz za stołem i napiszesz dwie przypadające na dzień dzisiejszy strony. Tak, na czym to skończyliśmy?

Dziesięć minut tępo wpatruję się w niedokończoną stronicę i rozmyślam. Zresztą, możliwe, że tylko udaję, iż rozmyślam.

Chyba trzeba zacząć od najważniejszego. Podchodzę do informatora i wywołuję Centralny Posterunek.

– Słucham!

– Proszę o informację, ile razy w literaturze wykorzystano sytuację, w której bohater kocha bohaterkę, ale ta nie podziela jego uczuć i odchodzi do innego?

– W jakim przedziale czasowym?

– Od Ajschylosa do naszych czasów.

Wyraźne zamieszanie. Słyszę, jak dyżurny przekazuje zadanie dalej.

– Abonencie?!

– Tak.

– Nie możemy udzielić takiej informacji. Jej objętość przewyższa pojemność pamięci maszyn.

– W takim razie w ostatnim stuleciu.

– Proszę poczekać.

Cierpliwie czekam.

– Informacja będzie gotowa jutro około dwudziestej trzeciej. Czy taki termin panu odpowiada?

– Dobrze – mówię. – To nie takie ważne wiedzieć, jakim jesteś obliczeniowym beztalenciem.

– Przepraszam?

– Nic, ja tylko tak. Szukam rozrywki. Możecie uznać zamówienie za anulowane.

– Dobrze.

Dwóch stron nie będzie ani dzisiaj, ani jutro, ani na wieki wieków. Amen.

Słowo honoru, czuję ulgę. Teraz trzeba zdecydować, czym zająć dzień.

Podchodzę do lustra i oglądam się od stóp do głów. Wyglądam wprost sztywnie. W świecie, cierpiącym na obfitość, zdarte trzewiki, spodnie wypchane na kolanach i marynarka z przetartymi łokciami, to oznaka wytwornego snobizmu.

Oddawszy głęboki pokłon swojemu odbiciu, wychodzę na ulicę.

Górne piętro jest dla pieszych. Tutaj właśnie położone są sklepy, dlatego w powietrzu unosi się taki harmider. Setki głośników nawołują, żeby wejść do środka i wziąć cokolwiek.

Na skrzyżowaniu widzę kilka młodych dziewcząt.

Jeśli trend na nieprzykrywanie niczym swoich ciał będzie postępował, to Głównemu Taśmociągowi grozi całkowite zatrzymanie.

Dziewczęta na wszelkie sposoby starają się przyciągnąć uwagę włączających się bez celu mężczyzn i młodzieńców, ale ci przechodzą obok z kamiennym wyrazem twarzy. Niemal wszyscy żują wstrętną, lepką masę. Reklamy twierdzą, że pomaga na otyłość.

Patrząc na twarze przechodniów i próbuję zrozumieć, co zaszło. Nie mogę pisać o świecie, w którym żyję, z tej prostej przyczyny, że go nie znam.

Bezmyślne, utuczone cielska, wygasłe oczy, pełna apatia wobec wszystkiego.

Zresztą, to nie tak. Nagle tłum się przeobraża. Wszelki ruch zamiera, zastygli w miejscu ludzie wbili oczy w ekrany. Zaczął się mecz futbolowy. Mija kilka minut. Dzikie okrzyki i gwizd zagłuszają nawet ryk reklamowych głośników.

Trudno mi myśleć w takim hałasie. Zachodzę do pierwszego lepszego sklepu.

Nikogo nie ma i jest stosunkowo cicho.

Są tutaj bardzo wygodne krzesła. Z klimatyzacji wieje przyjemnym chłodem.

Chciałbym cokolwiek zrozumieć. Jeszcze niedawno wydawało mi się, że najważniejsze, to wygrać zawody w konsumpcji. Automatyzacja i obfitość.

Ile lat kłanialiśmy się tym dwóm idolom? Bezkonfliktowy kapitalizm.

Żreć, żreć, żreć. Niech każdy żre, ile może, a problem „mieć, czy nie mieć” straci jakikolwiek sens. Wszystkich zrównuje pojemność żołądka w tym zautomatyzowanym raj. I oto żołądki są napchane po brzegi. I co dalej? Dalej – my i kłapouchy. Nadal dwie kasty. Intelktualna nierówność. Nigdy jeszcze nie przejawiała się tak wyraźnie. Dla kłapouchych jesteśmy po prostu świniami, wystawionymi na tuczenie, obiektami społecznego eksperymentu. Dzieli nas nie tylko ściany Centrum Badawczego. Kiedyś czytałem powieści Wellsa. W nich również była elita uczonych, rządzących światem, ale tam wyglądało to jakoś inaczej.

Nikt nie mógł nawet przypuszczać, że majątkowa nierówność przekształci się w intelektualną; że wszystko skomplikuje się na tyle, iż prawdziwa nauka stanie się dostępna tylko geniuszom. Niekiedy wydaje mi się, że rządzą nami Marsjanie. Na każde dziesięć milionów ludzi rodzi się jeden geniusz. Kłapouchy potrafią ich wyszukiwać. W wieku jednego roku szczęśliwcy trafiają do Centrum Badawczego. Prawie nie ma pomyłek; plotki niosą, że genetyczny horoskop to bardzo dokładna rzecz. A co każecie zrobić człowiekowi, który nie jest geniuszem?

Wstaję i kieruję się do wyjścia.

– Niczego pan nie wziął? – rozlega się słodki głos tuż nad moim uchem. Sklepowe automaty pracują z nienaganną dokładnością.

Podchodzę do witryny, wsuwam do skrzynki z fotokomórką kartę bankową i na chybił trafił biorę krawat, ozdobiony wymyślnymi wzorami.

– Bardzo twarzowy!

Rzucam krawat na podłogę i po schodach zjeżdżam na przejezdną część ulicy.

Kilka minut stoję w niepewności przed ciągiem samochodów, potem wsiadam do małego auta.

„Dokąd?” – rozbłyskuje napis na pulpicie.

Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Naciskam wszystkie guziki naraz.

W pulpicie coś trzaska i napis zapala się ponownie.

– Ech ty – mówię. – Nazywasz się dumnie automatem, a prostego problemu nie umiesz rozwiązać!

Wciskam pierwszy lepszy przycisk i samochód rusza z miejsca.

Zdaje mi się, że jadę po wymarłym mieście. Na przejezdnym obszarze ani jednego samochodu. W Donomagu już od dawna nikt nigdzie się nie śpieszy.

Naciskam przycisk za przyciskiem. Samochód bezcelowo krąży po ulicach.

Nieoczekiwanie moje auto zwalnia. Zza rogu wyskakuje czerwona limuzyna z emblematem Centrum Badawczego. Zdążyłem dojrzeć leżącego na poduszkach człowieka. Ogromny, łysy łeb; mała, krótko przycięta broda.

Mija kolejne pół godziny. Znudziła mnie ta bezmyślna jazda, ale nie starcza mi woli na podjęcie decyzji.

Przychodzi mi na myśl, że jeśliby wyrwać kilka czujników z pulpitu, maszyna straci sterowanie i wtedy...

Nagle uświadamiam sobie, że cały dzień gram sam ze sobą w ciuciubabkę.

Wybieram numer na dysku i nachylam się do mikrofonu.

– Lilli! – mówię szeptem, ponieważ wstydzę się słów, które zaraz wypowiem. – Ciężysz nade mną, jak przekleństwo, Lilli! Rozbiję sobie głowę, jeśli nie pozwolisz mi do siebie przyjechać!

* * *

Na podjeździe stoi czerwona limuzyna. Parkuję swoje auto obok i wchodzę na drugie piętro.

Otwiera mi sama Lilli. Wygląda na bardzo podekscytowaną.

– Witaj, mój miły! – z roztargnieniem całuje mnie w usta. – Mam dla ciebie niespodziankę!

Domyślam się, co to za niespodzianka.

Czerwona limuzyna plus nieposkromiona ambicja Lilli. Mam wystarczająco dużo danych, żeby rozwiązać równanie z jedną niewiadomą.

– Bardzo interesujące! – naprawdę mnie to ciekawi. Nigdy nie widziałem z bliska żadnego kłapouchego.

Siedzi w fotelu przy oknie. Od razu poznaję w nim mijanego wcześniej grubasa. Obok niego – Toni.

– Poznajcie się! – mówi Lilli. – Mój były mąż.

To o mnie. Były mąż, były pisarz – co jeszcze?

– Jest pisarzem – dodaje Lilli. – I to bardzo zdolnym.

Akurat! U niej wszystko musi być najwyższej jakości, nawet były mąż.

Toni życzliwie macha do mnie ręką. Jest już zdrowo pijany. Ciekawe, gdzie udaje mu się zdobywać spirytus?

Idę w kierunku fotela, w którym siedzi kłapouchy, ale po drodze potykam się o wyciągnięte nogi Toniego. Uroczysty charakter ceremoniału zostaje nieznacznie naruszony. Pierwszy mąż potknął się o drugiego, niczym w jakimś wodewilu!

– Lon – mówi kłapouchy. Nie uznaje nawet za konieczne unieść się z fotela.

Ściskam lepką, miękką rękę i również się przedstawiam.

– Chcesz herbaty? – pyta Lilli.

– Raczej czegoś mocniejszego.

Toni unosi palec do warg.

– Proszę się nie krępować – mówi Lon. – Wszystkie prawa mają statystyczny charakter, w tym również te traktowane na sucho – sili się na dowcip. – Drobne odchylenia zawsze są dopuszczalne.

Lilli wyciąga z szafy butelkę spirytusu i przygotowuje koktajl.

Podaje pierwszy kieliszek Lonowi, ale ten przecząco kręci głową.

Toni uśmiecha się zadowolony; nie chce pić, to niech nie pije; więcej będzie dla nas.

– Czytał pan ostatnią powieść Svena? – zwraca się Lilli do Lona. – Swego czasu wiele o niej mówiono.

Lon patrzy na mnie ciężkim, sennym wzrokiem. Zdaje się, że właśnie zdał sobie sprawę, iż chodzi o mnie.

– Nie czytam beletrystyki – mówi. – Ale kiedy poznaje się autora, to mimowolnie nachodzi ochota, by przeczytać to, co napisał.

Lilli wzdycha z ulgą i ściąga z półki książkę. Ciekawe, czy sama ją czytała?

Lon ma krótkie ręce, podobne do pajęczych łapek. Kiedy bierze nimi książkę, mam wrażenie, że zaraz uniesie ją do ust i wysysie z niej wszystkie soki.

I tak się dzieje! Szybkimi, gwałtownymi ruchami kartkuje stronicę, na jakąś chwilę wbija w nie wzrok i kartkuje dalej.

– Wątpię, że pana to zainteresuje – mówię, odbierając mu książkę. – Miłosny temat w naszych czasach...

– Myli się pan – przerywa mi. – Problem wychowania seksualnego młodzieży znajduje się teraz na pierwszym miejscu. Zaprogramowaliśmy System na sto lat naprzód, przyjęto coroczny przyrost nie mniejszy niż pięć procent. Niemożliwe jest już naniesienie korekt. To, że ludzie unikają posiadania dzieci, może doprowadzić do katastrofalnych skutków.

Dopiero teraz rozumiem, co dręczy mnie od samego rana. Bezwzględnie muszę zadać ból Lilli. Uderzyć w najczulsze miejsce. Nie, takiej okazji nie można przepuścić!

– Rzeczywiście, Toni – mówię – dlaczego ty i Lilli nie moglibyście mieć dziecka?

Lilli przygryza wargi. Teraz cała jest jak naciągnięta sprężyna.

– Jestem impotentem – odpowiada Toni z rozbijającą szczerością. – Czyżby pan nie wiedział, że jestem impotentem?

Trafienie w dziesiątkę! Lon, pełen zdziwienia, odwraca wzrok ku Lilli.

– To teraz bardzo modne, wychodzić za mąż za impotentą – mówi ta niedbałym tonem. – To zwalnia z ogromnej ilości obrzydliwych obowiązków.

Tak... Lilli zawsze uważała, że rewanż powinien być szybki i bezlitosny.

Lon niczego nie pojmuję.

– Czyżby pani nie chciała mieć dziecka?

– Nie chcę płodzić beztalenci. I tak zbyt wielu już się ich namnożyło.

– Ale przecież jest szansa – naciska Lon.

– Mnie taka szansa nie zadowala. Muszę mieć przynajmniej pięćdziesięcioprocentową pewność. Toni opowiadał, że kiedyś, w

przeszłości, bogowie schodzili z Olimpu i brali sobie ludzkie córki za kochanki. Tak rodzili się herosi. Prawda, Toni?

Toni kiwa głową. Jego oczy utkwione są w karafce. Zostało w niej jeszcze trochę napitku. Napełniam jego kieliszek i czekam, co będzie dalej.

Aluzja jest na tyle jasna, że zrozumiała nawet dla Lona. Kłapouchy waha się.

– To nie jest zalecane. Genialność, podobnie, jak wszelkie odchylenia od normy, związana jest z akumulacją błędów w substancji dziedzicznej. Przy tym zdarzają się, towarzyszące temu, zmiany kodu genetycznego. Niekiedy letalny gen...

Mówi o swojej genialności tak, jakby chodziło o przepuklinę pachwinową.

– Jest pan zbyt ostrożny! – w głosie Lilli dźwięczą nutki, od których robi mi się niedobrze. – Cel uświęca ryzyko. Nie podobam się panu?

A teraz, to już diabli wiedzą, o co chodzi!

Lon mruży oczy, niczym najedzony kot. Zaraz się oblize.

– Cóż – mówi. – To mogłoby być interesujące, postawić genetyczny horoskop naszego potomka.

Lilli obrzuca mnie triumfalnym spojrzeniem. Cisza przeciąga się.

– Chodźcie, zagramy w wyścigi karaluchów – proponuje Toni.

– Toni jest historykiem – wyjaśnia Lilli. – Zawsze wykopie coś interesującego.

Toni wyjmuje z biurka pudełko i wyciąga z niego dwa karaluchy. Jeden oznaczony jest białą farbą, drugi – niebieską.

– Niech pan wybiera! – proponuje mi.

– Gdzie pan je zdobył? – pytam.

– W muzeum entomologicznym. Mam tam przyjaciela.

Wybieram białego karalucha.

Toni ustawia na stole drewnianą rynienkę.

Lon obserwuje nas z wyrozumiałym zainteresowaniem, jakbyśmy sami byli zabawnymi, nieszkodliwymi owadami.

Gra toczy się ze zmiennym szczęściem. Po kilku wyścigach zwracam swojego karalucha Toniemu.

– Znudziło to pana? – pyta.

Przytakuję. Zrobiło się mi tak źle na duszy, że jeszcze chwila i się popłaczę. Boję się myśleć, że Lilli... Już lepiej, żeby to był Max, niż Lon.

– To dlatego, że gramy bez stawek – mówi Toni. – Załóżmy, że przegrany będzie musiał pójść do sąsiedniego pokoju i powiesić się.

„Wisielec wisi, dopóki żyw”. Gra od razu stałaby się bardziej pasjonująca.

– Cóż, to jest myśl – uśmiechnęła się Lilli. – Spróbuj, Sven. Turniej rycerski karaluchów o prawo wzięcia w posiadanie damy. Bardzo elegancko!

Jak bardzo musi mnie nienawidzić!

Co prawda, nie mam nic przeciwko, żeby spróbować, ale nie mam ochoty narażać Toniego na ryzyko. W sumie jest miłym facetem. Ale gdyby tak Lon... Czego to nie zrobisz w imię tego, żeby na świecie było o jednego kłapouchego mniej.

– Zgoda! – mówię i przesuвам rynienkę w kierunku Lona. – Proszę wybrać karalucha.

– Nie gram w gry hazardowe – odpowiada ten sucho. – Co zaś tyczy się pana pomysłu, to po prostu idiotyzm! Czyżbyście nie mieli mądrzejszych rozrywek?

Toni nieoczekiwanie wybucha.

– A co jeszcze nam zostawiliście?! – krzyczy.

Lon wzrusza ramionami.

– Nie rozumiem, czego pan chce.

– Pracy! – wrzeszczy Toni. – Może pan zrozumieć, że i zwyczajni ludzie chcą pracować?!

– Czyżby pan nie pracował?

– Pracuję – Toni jednym łykiem dopija koktajl i trochę się uspokaja.

– Napisałem monografię o osiemnastym wieku, ale komu jest ona potrzebna? Kto ją czytał? I jaki jest sens kopać w całym tym gównie, kiedy nie rozumiem, co się dzieje wokół? Czym się zajmujecie w tym waszym przeklętym Centrum?! Jakie niespodzianki jeszcze nam szykujecie? Niekiedy zdaje mi się, że wszyscy jesteśmy zamknięci w ogromnym domu wariatów. Przecież są jeszcze ludzie na Ziemi. Może pan wyjaśnić, dlaczego jesteśmy odgradzeni od reszty świata nieprzenikalnym murem? Nie potraficie sami wymyśleć, co robić, to uczycie się od innych! Cały świat żyje inaczej.

– Nie mamy czego uczyć się od komunistów – wyniośle odpowiada Lon. – Sami osiągnęliśmy odpowiedni poziom produkcji...

– Nie wiem nic o produkcji, ale sędzę, że ten poziom nie jest niższy... – mówię. – Mnie interesuje coś innego: ludzie. Co zrobiliście z ludźmi?

– Czy automatyzacja nie uwolniła ich od ciężkiej pracy?

– Uwolniła. Od wszystkiego ich uwolniła, ale nie dała nic w zamian. Może dlatego przestaliśmy być podobni do ludzi.

– Bzdura!

Nie chce mi się dłużej spierać.

– Było mi bardzo miło zobaczyć cię, Lilli – mówię. – Do widzenia!

– Bądź zdrow, mój drogi!

– Żegnaj, Toni! Jeszcze kiedyś zagramy.

Lon również wstaje. Całuje rękę Lilli i niedbale kiwa Toniemu.

Wychodzimy razem.

– Przejdźmy się – proponuje Lon. – Chciałbym z panem porozmawiać.

Wiem, o czym chce rozmawiać.

Lon stawia drążek na pulpicie pod napisem „zwrot” i wchodzimy na trasę dla pieszych.

Od razu przystępuje do dzieła.

– Chcę otrzymać od pana jakieś informacje o Lilli. Przecież dobrze ją pan zna.

– Nikt nie może poznać duszy kobiety.

Mnie samego przeraża trywialność tej frazy.

– Spałem z nią tylko trzy miesiące – dodaję i to już pachnie stuprocentowym kretynizmem.

Lon obrzuca mnie bystrym spojrzeniem spod ściągniętych brwi. Kropka w kropkę, spojrzał na mnie, jak Max na tę korespondentkę.

Pałę się ze wstydu, ale w duchu jestem zadowolony, że rozmowa na ten temat już się nie składa. Cały kwartał przechodzimy w milczeniu.

Na skrzyżowaniu jest zator. Obojętny, syty tłum w milczeniu obserwuje poruszającą się kolumnę dzieciaków. Niosą transparent z napisem: „Kłapouchy, wymyślcie nam zajęcie!”.

Oczywiście sami studenci.

– Rozumie pan, czego oni chcą? – pyta mnie Lon.

– Pan powinien wiedzieć to lepiej – odpowiadam.

– Mają do swojej dyspozycji wszystkie przyjemności życia – kontynuuje kłapouchy w zamyśleniu. – Niczego im nie brakuje, niczego nie

potrzebują. Mogą zajmować się, czym chcą; w miarę swoich możliwości, oczywiście.

– I w tym właśnie rzecz – mówię. – Możliwości nieprzerwanie maleją. Prawdopodobnie boją się, że wkrótce nawet te okruchy, które im zostawiliście, zostaną im odebrane przez wasze małpy.

– Przez małpy? – powtarza Lon. – Nie, małpy są przeznaczone do innych celów.

– Do jakich?

Kłapouchy nie śpieszy się z odpowiedzią. Ostatnie rzędy demonstrantów już przeszły i znowu możemy ruszyć w drogę.

– Profani – kontynuuje po chwili. – Profani zawsze są łąsi na wszelką sensację, zdolni rozdmuchać do nieprawdopodobnych rozmiarów każdą drobną informację. Pana wyobrażenie o myślących małpach, to czysta fantastyka. Nadmózg, to po prostu robocza maszyna, taka sama, jak każde inne urządzenie obliczeniowe. Nie ma sensu wynajdywać tego, co już zostało stworzone przez przyrodę, ale udoskonalać przyrodę można zawsze. Póki co, tenże Max jest dla nas bardzo użyteczny przy rozwiązywaniu ograniczonego zbioru zadań. Jeśli zmienimy te zadania, przyjdzie nam szukać czegoś nowego.

– Nie wiem – mówię. – To wszystko ciemny las. Mnie, jako pisarza, po prostu przerażają te małpy. Zresztą, nie widziałem ich z bliska.

– Chce pan popatrzeć? Mógłbym to panu załatwić, chociaż Centrum bardzo niechętnie wydaje pozwolenia na wizyty na farmie.

– No chyba! Zapewne nie jest to widok dla osób o słabych nerwach.

– Nie o to chodzi – odpowiada Lon. – Po prostu obcy ludzie rozpraszają małpy.

* * *

Pozwolenie przychodzi po pięciu dniach. Z jakiegoś powodu jest wystawione na dwie osoby.

Dochodzę do wniosku, że Lon chce zabłysnąć przed Lilli i dzwonię do niej.

– Jestem dzisiaj zajęta – mówi. – Jeśli nie masz nic przeciwko, pojedzie z tobą Toni.

Zatrzymujemy samochód przed bramą Centrum. Wisząca na niej informacja podaje do ogólnej wiadomości, że wjazd publicznego transportu na terytorium Centrum jest kategorycznie zabroniony.

Skanuję swoją przepustkę w małym czarnym aparacie i od razu trafiamy do innego świata.

Gęste zwieszające się korony drzew, posypane różowym piaskiem ścieżki, ukryte w gęstej zieleni białe wille, całkowita cisza.

Gdyby nie to, że przy każdorazowej zmianie kierunku drogi zapalały się drogowskazy, można by było pomyśleć, że przenieśliśmy się kilka stuleci wstecz.

Drogowskazy prowadzą nas do dużego jednopiętrowego budynku, otoczonego wysokim ogrodzeniem.

Niewielka furka jest zamknięta. Naciskam guzik dzwonka i po kilku minutach pojawia się chudy, wysoki człowiek, ubrany w niebieski fartuch.

Długo i z wyraźnym niezadowoleniem przypatruje się naszej przepustce.

– No cóż, wchodźcie!

Idziemy za nim. Uderza nas zapach zwierzyńca. Całe podwórze obstawione jest klatkami, w których brykają małpiatki.

– Nie należy wchodzić do gabinetów – mówi nasz przewodnik.

– Mamy pozwolenie.

– One teraz pracują. Nikt nie może wchodzić tam, kiedy pracują.

– Ale w przepustce jest wyraźnie napisane – naciskam.

– Wkrótce będzie przerwa. Pójdą na obiad, wtedy popatrzycie.

Trzeba czekać. Nic innego nam nie pozostaje. Z braku innego zajęcia, oglądamy małpiatki.

– A one po co tutaj? – pyta Toni, wskazując na klatki.

– Nie wiem. Jestem stróżem, moje zadanie, to karmić małpy, a co tam z nimi potem robią, to już mnie nie obchodzi.

– Do diabła z nimi! – mówi Toni. – Jedźmy do domu, Sven.

– Kiedy mają obiad? – pytam.

– Dosłownie zaraz będą dzwonić.

Rozlega się dźwięk dzwonka. Małpiatki przerywają swoją szarpaninę i przypadają do siatki.

Z jakiegoś powodu odczuwam mimowolne zdenerwowanie.

Otwierają się masywne drzwi i z domu wychodzi pięć goryli.

Małpki w klatkach zaczynają się wściekać. Wyją, wymachują rękami, pluja przez pręty.

Goryle idą wolnym krokiem, wyniosłe, w fartuchach w jaskrawym kolorze, lekko kołysząc się w czasie chodu. W jakiś dziwny sposób przypominają Lona.

Obok nas przenikliwym głosem wyje małeńka małpka z maluszkiem na rękach. Gorączkowo zakrywa mu dłonią oczy, ale sama nie może oderwać wzroku od zbliżającej się procesji.

Hałas staje się nieznośny.

Toni zakrywa uszy i odwraca się. Zaczynają wstrząsać nim wymioty.

Goryle przechodzą obok, nie zaszczycając nas nawet jednym spojrzeniem i znikają w małeńkim domku, położonym na końcu podwórza.

– Wszystkie! – mówi stróż. – Za godzinę wrócą. Jeśli chcecie, możecie poczekać.

Podchodzę do jednej z klatek.

W oczach małeńkiej małpki dostrzegam smutek i nieme pytanie, na które sam nie mogę odpowiedzieć.

– Biedna dziewczynka! – mówię. – Ty też nie chcesz być gorsza od swoich krewniaków.

Ufnie wyciąga do mnie łapkę. Nachylam się i całuję cieniutkie, subtelne paluszki.

Toni szarpie mnie za rękaw.

– Chodźmy, Sven. Są granice wszystkiego... nawet zdrowego rozsądku.

Wracamy zmęczeni i źli. Toni coś pogwizduje przez zęby. To mnie drażni.

Na zakręcie, na głównej alei, stoi obejmująca się para. Od razu ich poznaję.

– Niech pan zdejmie czapkę, Sven – doniosłym głosem pompatycznie mówi Toni. – Dzisiaj uczestniczyliśmy w wielkim eksperymencie, dającym początek reprodukcji kłapouchych.

Odwracam się i z całej siły uderzam pięścią w jego uśmiechnięte usta.

– Jest pan idealistą, Sven – mówi Toni, ocierając dłonią krew z wargi. – Niepoprawnym idealistą. I nawet nie potrafi pan dobrze uderzyć. Bić trzeba na śmierć, pisarzu!

Zbliżając się do nich, zacisnąłem pięści i przeklinałem się w duchu, że nigdy nie starczyło mi odwagi, żeby podnieść rękę na kobietę. Toni idzie z

tyłu, słyszę jego oddech za swoimi plecami.

Pierwsza zauważa nas Lilli. Ma wprost pijane, wypełnione szczęściem oczy.

– Pogratulujcie nam, chłopaki – mówi. – Wszystko układa się wprost doskonale! Horoskop wypadł zdumiewająco kompatybilnie!

Milczymy. Lon bierze ją pod rękę, Lilli odwraca się do Toniego.

– Wrócę za dziesięć dni. Proszę, nie upijaj się do nieprzytomności.

Obaj patrzemy w ślad za nimi. Kiedy docierają do zakrętu, Toni mówi:

– Jedźmy do mnie. Mam spirytus; pełną butelkę spirytusu.

* * *

Mijają trzy dni, ale mnie wydaje się, że postarzeliliśmy się w tym czasie o dziesięć lat. Odlatuję. Toni mnie odprowadza.

– Oto list do Torna – mówi, wyciągając w moim kierunku kopertę. – Sądzę, że nie odmówi przyjęcia pana. Jemu wciąż brakuje ludzi. W końcu archeologia nie wchodzi do spisu oficjalnie uznanych nauk. Trzeba kopać łopatami.

– Dziękuję, Toni! – mówię. – Prawdę mówiąc mam gdzieś, po co tam kopią. Interesuje mnie coś zupełnie innego.

– To wszystko bzdura – mówi Toni. – Dwudziesty wiek. Nie rozumiem, co może pana tam interesować.

– Nie wiem. Mam ochotę wrócić do przeszłości. Zrozumieć, gdzie i kiedy popełniono fatalny błąd. Może napiszę powieść historyczną.

– Nie napisze pan – uśmiechnął się. – Przecież sam pan wie, że nie napisze.

Patrzę na zegarek. Już czas!

– Żegnaj, Toni!

– Niech pan poczeka, Sven! – obejmuje mnie i niezgrabnie cmoka w policzek.

Wchodzę po trapie. Toni patrzy na mnie z dołu.

– Niech pan wróci szybko, Sven!

– Wrócę! – krzyczę, ale szum motoru zagłusza moje słowa. – Wrócę za jakieś sześć miesięcy!

Mylę się o równy rok...

* * *

Znowu muszę przestąpić próg mojego domu, kiedy pojawia się we mnie uczucie, jakby ostatnie półtora roku nie istniało. W świecie wszystko idzie po staremu.

Najpierw dzwonię do Toniego.

– Dzień dobry, Sven! – mówi. – Cieszę się bardzo, że jest pan ponownie w mieście.

– Nie mogę tego powiedzieć o sobie – odpowiadam. – Jak się panu wiedzie?

Toni milczy.

– Niech pan posłucha, Sven – odzywa się po krótkiej chwili. – Gdzie pan teraz jest?

– W domu.

– Mógłbym do pana przyjechać?

– Oczywiście!

Po dziesięciu minutach rozlega się dzwonek do drzwi.

– A pan jak zawsze trzyma fason, Sven – mówi Toni, rozsiadając się w fotelu. – Trudno wręcz pana poznać!

– Schudłem dziesięć kilogramów – chwale się.

– No cóż, mogę tylko pogratulować. Jak tam Torn?

– Doskonale! I dzieci ma wspaniałe!

– Będzie pan pisał?

– Zapewne. Trzeba jeszcze wiele rzeczy przemyśleć.

– Tak...

Chciałbym dowiedzieć się, co słyhać u Lilli, ale zamiast tego zadaję głupie pytanie.

– Jak tam pana karaluchy?

Twarz Toniego rozpływa się w uśmiechu.

– Mam ich teraz całą gromadkę. Niektóre egzemplarze są wręcz wspaniałe!

Z jakiegoś powodu obaj czujemy się bardzo niezręcznie.

– Szkoda, że nie mam nic do picia – mówię. – Ale w czasie ekspedycji...

– Nie piję – przerywa mi Toni. – Rzuciłem.

– O, nie spodziewałem się! Co się stało, jest pan chory?

– Widzi pan, Sven – mówi Toni, patrząc w podłogę. – W czasie pana nieobecności wiele się wydarzyło... Lilli ma dziecko.

– No cóż – mówię. – Chciała przecież tego. Mam nadzieję, że teraz jej ambicja jest zaspokojona?

Toni pochmurnieje.

– Nie wiem, jak to panu najlepiej wyjaśnić. Pamięta pan, że został sporządzony horoskop?

– Oczywiście, że pamiętam!

– No więc... według horoskopu wszystko miało ułożyć się bardzo dobrze. Powinien był urodzić się chłopiec z jakimiś niezwykłymi zdolnościami.

– No i?

– Urodziła się dziewczynka... Idiotka... prócz tego... z fizyczną ułomnością.

Poczułem się tak, jakby sufit spadł mi na głowę.

– Boże! – wyszeptałem z zakłopotaniem. – Nieszczęsna Li! Co teraz będzie?! Jak to się mogło stać?!

Toni wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może te genetyczne horoskopy to jakaś kompletna bzdura, a może chodzi o stymulatory. Przecież oni w tym Centrum żrą wszelkie stymulatory pobudzania mózgu w końskich dawkach.

Cały czas nie mogę dojść do siebie.

– A co na to Li? Wyobrażam sobie, czym to jest dla niej!

– Przecież pan wie, Lilli nie znosi, kiedy ktoś się nad nią użala. Jest bardzo czułą matką.

– A Lon? Bywa u was?

– Rzadko. Pracuje jak oszalały. Coś tam się u niego nie układa, kompletnie zwariował, czasami przez kilka dni nie kładzie się spać.

– Niech mi pan powie, Toni – pytam. – Myśli pan, że mógłbym zobaczyć się z Lilli?

– Mógłby – odpowiada szybko. – Właściwie przyjechałem, by pana o to poprosić, tylko chciałem wcześniej pana uprzedzić.

* * *

- Witaj, Sven! – mówi Lilli. – Zatem wróciłeś.
- Niewiele się zmieniła, tylko trochę zmizerniała.
- Tak – mówię. – Wróciłem.
- Jak twój wyjazd?
- Dobrze.
- Napiszesz coś?
- Pewnie tak.

Milczenie.

– Może powspominamy stare czasy i zagramy? – mówi Toni. – Patrzcie, jakie pięknoty! Wszystkie, co do jednego!

- Dziękuję – odpowiadam. – Jakoś nie mam ochoty. Następnym razem.
- Zabierz te swoje karaluchy – mówi Li. – Nie mogę na nie patrzeć!

Dopiero teraz zauważam, jak bardzo jej twarz naznaczona jest zmęczeniem. Z sąsiedniego pokoju dobiegają jakieś miauczące dźwięki. Lilli podrywa się. Ja również wykonuję mimowolny ruch. Lilli odwraca się w moją stronę. W jej oczach tli się wściekłość i nienawiść.

- Siedź, łajdaku! – krzyczy do mnie.

Siadam.

Jej gniew szybko gaśnie.

- Dobrze – mówi. – Wszystko mi jedno, chodź!
- Może nie warto, Li? – pytam.
- Podgrzej mleko – zwraca się do Toniego. – Idziemy, Sven.

W łóżeczku, spod kocyka wygląda drobna, pomarszczona twarzyczka. Szeroko otwarte oczy, zaciągnięte mętną, niebieskawą błonką.

- Patrz! – Podnosi pled i robi mi się głupio.
- Zatem – mówi Lilli – teraz już wiesz wszystko.
- Kiedy zmienia pieluszki, staram się patrzeć w inną stronę.
- Chodźmy – mówi Lilli. – Toni teraz ją nakarmi.

Biorę ją za rękę.

– Lilli!

– Przestań! – gwałtownym ruchem wyszarpuje swoją rękę z mojej. – Przestań! Czyżby jeszcze było ci mało?

Wróciliśmy do salonu.

– Wiesz – mówi Lilli. – Na pewno bym oszalała, gdyby nie Toni. Bardzo się o nas troszczy.

Siedzę i myślę o tym, że naprawdę jestem podły. Przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej, gdybym wtedy...

Wraca Toni.

– Usnęła – mówi.

Lilli kiwa głową.

Nie mamy o czym rozmawiać. Pewnie dlatego, że wszyscy myślimy o tym samym.

– Jak twój wyjazd? – znowu pyta Lilli.

– Dobrze – odpowiadam. – Było bardzo interesująco.

– Napiszesz coś?

– Pewnie tak.

Lilli skubie obicie fotela. Nieustannie przysłuchuje się czemuś. Czuję, że moja obecność ją męczy, ale nie mam siły, by wstać i wyjść...

Nie spuszczam oczu z jej twarzy i widzę, jak nagle blednie.

– Lon?!

Odwracam się w kierunku drzwi. Stoi w nich Lon. Zdaje się, że jest pijany. Ma na sobie brudną koszulę, rozpiętą do pasa, na nogach przydeptane klapki.

Usta wyszczerzone w bezmyślnym uśmiechu, po podbródku ścieka cienka strużka śliny.

– Co się stało, Lon?!

Lon chichocze. Tłusty brzuch kołysze się pod zapadniętą, owłosioną pierś.

– Pośmiewisko!

Podchodzi do tapczanu i zwała się na niego twarzą do pościeli. Spazmy śmiechu mieszają się ze spazmatycznym chlipaniem.

– Pośmiewisko!... Max... w ciągu tygodnia... w ciągu jednego tygodnia zrobił wszystko, nad czym ja, dureń, bez rezultatu głowiłem się pięć lat... W Centrum mają taki ubaw, jak nigdy. Małpa!

Poczułem się strasznie. To na pewno ten sam strach, który zmusza szczura do ucieczki z tonącego statku. Słyszę trzask pękającej lamówki. Uciekać!

– Lon! – Lilli kładzie rękę na jego drgającej od płaczu głowie.

Pierwszy raz słyszę w jej głosie prawdziwą czułość.

– Nie trzeba, Lon, nie można tak wpadać w rozpacz, przecież zawsze zostają...

– Karaluchy! – krzyczy Toni. – Zostają karaluchy! Obstawiajcie, panowie!

Przełożyła Iwona Czapla

FANTASTYKA WKRACZA W KRYMINAŁ, ALBO OSTATNIA SPRAWA KOMISARZA DEBRETA

1. POCHMURNY PORANEK

Komisarz Debret obudził się o godzinie dziewiątej. Chociaż „obudził się”, to niewłaściwe sformułowanie.

Jeśli do trzeciej w nocy zajmowałibyście się bezskutecznym przetrząsaniem ogromnej willi w poszukiwaniu ukrytej przez kogoś bomby zegarowej, jeśli potem targałyby wami ostre ataki wrzodów żołądka pobudzonych zaaplikowaną końską dawką narkotyków, to właściwsze byłoby stwierdzenie, że ocknęliście się, albo przynajmniej przetarliście oczy.

Debret nacisnął palcami brzuch. Ukryty ból szarpnął gwałtownie żołądek. Oto nagroda za czterdzieści lat pracy w wydziale kryminalnym policji.

Złożyło się na to wiele czynników: i bezsenne noce, i zjadane w pośpiechu kanapki wątpliwej świeżości, i niekończąca się ilość wypalonych fajek w czasie poszukiwań rozwiązania kolejnej łamigłówki. Niestety, nadszarpnięte zostało nie tylko zdrowie, ale – co bardziej istotne – wiara w człowieka. Gazety, zachłystując się, rozpisywały się o znakomitych metodach komisarza Debreta. A jeśli przyjrzeć się, czym właściwie jest ta sławna metoda? Niczym innym, jak znajomością ludzkich słabości i namiętności. Kto jak kto, ale Debret wiedział, że do ogromnej liczby przestępstw dochodzi z bardzo głupich powodów.

Urażona ambicja, zawiść, zazdrość. Dziwny paradoks: im bardziej skomplikowane przestępstwo, tym bardziej prymitywne są jego przyczyny. Policyjny komisarz powinien być przede wszystkim psychologiem i wtedy wiele rzeczy staje się jasnych. W sztuce ujawniania przestępstw nie istnieją

drobnostki, wszystko ma znaczenie. Oczywista wersja wydarzeń rzadko kiedy okazuje się tą właściwą. Zrozumieć charakter przestępcy, potrafić wczuć się w jego psychologię działania, poczuć podświadome motywy przestępstwa, udaje się tylko nielicznym; jeśli jednak opanuje się tę metodę, sukces jest gwarantowany. Ale za jaką cenę osiąga się ten sukces? Rozstrzygnięcie psychologicznych etiid wymaga maksymalnego zaangażowania wszystkich duchowych sił, a z tego również trzeba się rozliczyć. Wcześniej czy później zaczynacie czuć się całkowicie opuszczeni, a ludzie, którzy was otaczają...

Debret wziął z nocnego stolika fajkę i wyciągnął rękę w poszukiwaniu pudełka z tytoniem. Nie znalazł go na stałym miejscu i wtedy przypomniał sobie wszystko, co zdarzyło się w nocy. Jak zwijał się w łóżku z bólu i jak wystraszona na śmierć żona wezwała telefonicznie doktora Malindę. Oczywiście, nonsensem jest wzywać w takich przypadkach policyjnego lekarza, specjalistę od medycyny sądowej, ale madame Debret była przekonana, że Malinda jest najlepszym lekarzem w Paryżu. Możliwe, że tak było, ale byłoby lepiej, gdyby przyjechał ktoś inny.

Wtedy udałoby się uniknąć pytań o palenie. Z Malindą to nie przeszło. „Odtąd ani jednego zaciągnięcia, słyszy pani, madame Debret? To na pani spoczywa odpowiedzialność. Cały tytoń niezwłocznie do zsypu na śmieci!”.

Debret wstał i boso, żeby nie zwrócić uwagi żony, przeszedł do przedpokoju. Pogrzebał w kieszeniach palta. Płonna nadzieja! Woreczek z tytoniem zniknął i stąd.

Debret zaklął cicho i znów położył się do łóżka. „Niech to wszyscy diabli!” – pomyślał. Dzisiaj złoży prośbę o przejście w stan spoczynku. Ostatecznie życie na emeryturze również ma swoje uroki.

Wyobraził sobie mały domek nad brzegiem Loary, który razem z żoną dawno już sobie upodobali. Żyć z dala od Paryża, łowić ryby i czytać powieści detektywistyczne. Spać do dziesiątej, wieczorem oglądać transmisje z meczów. Całkiem niezłe. Można jeszcze hodować pieczarki. Zatem, postanowione!

Podanie zostanie złożone dzisiaj. Nie ma sensu tego odkładać, tym bardziej, że sprawa z bombą w rezydencji Kostagenów, to najwidoczniej tylko głupia mistyfikacja.

Komisarz zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie głos człowieka, który do niego zadzwonił. Mówił przez chusteczkę. Znany trik. Jak udało się ustalić, dzwonił z automatu w rejonie Montmartre. W przesadnie uprzejmych słowach powiadomił o zbliżającym się zamachu. Na pytanie, skąd o tym wie, tylko odłożył słuchawkę. Ciekawe, do czego mu to było potrzebne?

Przecież willa Kostagenów...

Debret wstał i zaczął ubierać się pośpiesznie. Całkowicie zapomniał, że biedaczysko Morrans do tej pory dyżuruje pod willą.

Pogoda była paskudna. Chłodny listopadowy wiatr gnał od strony Sekwany niskie chmury. Mżył deszcz ze śniegiem. Przechodnie szli z wysoko uniesionymi kołnierzami palt i rękami schowanymi w kieszeniach. Wesoły, cieszący się życiem Paryż, wyglądał dzisiaj szaro jak na wyblakłej fotografii.

Na rogu bulwaru Voltaire'a Debret, zamiast wsiąść do autobusu, wziął taksówkę.

Kazał szoferowi zatrzymać się u wylotu ulicy i poszedł w kierunku rezydencji Kostagenów. Oto on, niezgrabny budynek z początku XVIII wieku. Ciekawe, ilu członków rodu Kostagenów urodziło się i zmarło pod tym dachem? Tak na marginesie, właściciele jednego z największych majątków Francji mogliby sprawić sobie bardziej komfortowy dom. Debret przypomniał sobie liczne korytarze, zaułki, kręcone schody i tajemne drzwi. Doprawdy, w tych czasach wszystko to wyglądało po prostu głupio.

Na maleńkim skwerku, na skos od domu, siedział skulony z zimna Morrans.

– Dzień dobry, chłopcze!

– O, to pan, komisarzu! Już myślałem, że pan o mnie zapomniał.

– No, opowiadaj.

– Nie ma o czym opowiadać. Nikt nie wchodził i nikt nie wychodził.

Dopiero godzinę temu na dziedziniec wjechał sprzedawca jarzyn, zostawił swój towar i odjechał.

Debret spochmurniał.

– Ach tak?! Trzeba sprawdzić, co on tam przywiózł.

– Sprawdziłem. Wszcząłem rozmowę o karczochach i kapuście i obmacałem wszystkie główki. Nic...

– Dobrze, idź spać.

– A nikt mnie nie zmieni?

– Nie. Widać, cała ta sprawa nie jest warta skorupki jajka. Po prostu głupi żart. Na rogu czeka na mnie taksówka, jeśli chcesz, podwożę cię do domu.

– Dziękuję, komisarzu, ale prawdę mówiąc, jeśli zaraz nie wypiję szklaneczki rumu, złapie mnie grypa, a tutaj niedaleko...

– Dobrze, lecz się, ale nie przesadz.

Debret poklepał kolegę po ramieniu i ruszył w kierunku taksówki.

2. ZOJA NIKITICZNA

Na bulwarze Orfèvres wiatr zdawał się jeszcze chłodniejszy.

Debret szybko przemierzył sklepienie zadaszenie budynku policji kryminalnej, gdzie wiecznie hulał przeciąg, energicznie wszedł po schodach i odetchnął zastałym zapachem tytoniu i kurzu.

Mimowolnie odczuł smutek na myśl, że wkrótce nie będzie już tutaj przychodził każdego ranka.

Wszedł do gabinetu i powiesił w szafie wnękowej palto i kapelusz. W gabinecie było zimno i Debret znowu pożałował, że tak łatwo zgodził się usunąć stary piecyk. Kilka dobrych polan w sam raz by się teraz przydało.

Otworzył drzwi do pokoju inspektorów i przywitał się.

– Co nowego, chłopaki?

– Dwa razy dzwonił z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – powiedział Dukas. – Prosili, żeby pan zadzwonił, jak tylko pan przyjdzie. Telefon zapisałem w pana notatniku.

– Dobrze! – z niezadowoleniem burknął Debret. – Zadzwonię, kiedy przyjdzie czas.

Nie miał wątpliwości co do tego, że historia z bombą jest już znana urzędnikom ministerstwa. Głupia sprawa. Zapewne inspektorzy szczerzyli się cały ranek z tego powodu. Mówili otwarcie, jak komisarz wpadł jak śliwka w kompot w oczywistą mistyfikację, pół nocy rozgrzebywał węgiel

w piwnicy i czołgał się po poddaszu. A teraz jeszcze ci smarkacze z ministerstwa!

Debret wsunął w usta fajkę i machinalnie poklepał się po kieszeniach.

Przypomniawszy sobie, że nie ma tabaki, zdenerwowany, zupełnie stracił humor.

W końcu, każdy z nas miewa takie dni, kiedy nic się nie klei. Prawda?

Wyciągnął z szuflady czystą kartkę papieru i zaczął sporządzać prośbę o przejście na emeryturę.

Wszedł Dukas i przyniósł świeżą pocztę. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Odbierz – poprosił Debret, stawiając zamaszysty podpis na podaniu.

Duka podniósł słuchawkę.

– To do pana, komisarzu. Z ministerstwa.

Debret zmarszczył brwi i przysunął aparat do siebie.

– Komisarz Debret przy telefonie!

Kilka minut słuchał, ze zdziwieniem unosząc brwi, a potem powiedział krótko: „Dobrze, przysyłajcie”. I z rozdrażnieniem odwiesił słuchawkę.

– Coś nowego, komisarzu? – zapytał Dukas.

– U nich zawsze jest coś nowego. Zaraz przyślą praktykantkę.

Dukas uśmiechnął się.

– Kobieta w kryminalistyce, tego właśnie nam brakowało! Błagam, komisarzu, jeśli jest ładniutka, przydzielcie ją do mnie.

Debret zasapał. Dzisiaj nie miał nastroju do żartów.

– Nie wiem, jak ona tam wygląda, wiadomo mi tylko, że jest Rosjanką.

Dukas gwizdnął.

– Rosjanką? Skąd taka niespodzianka?

– Z Leningradu. Z wymiany naukowej.

– Tak... Jakieś rozporządzenia będą?

– Przywitać ją na ulicy i przyprowadzić tutaj.

– Robi się! – Dukas ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Debret schował podanie do biurka i zaczął przeglądać pocztę. Robił notatki na marginesie, któremu z inspektorów należy przygotować odpowiedź. Wszystko to były drobne sprawy, ale Debret chciał się z nimi rozprawić przed inauguracją nowego komisarza. Im mniej będzie nieukończonych prac, tym szybciej będzie mógł porzucić ściany budynku policji kryminalnej. Domyślał się, kto zostanie wyznaczony na jego

miejsce. Komisarz dzielnicy Ivry, jeden z tych młokosów z uniwersyteckim wykształceniem, które teraz tak szybko niesie każdego po stopniach kariery... Tak... W tych czasach wszystko się zmienia, nawet służba policyjna. Na miejsce starej gwardii, która uważała ujawnianie przestępstw za sztukę, przychodzą młodzi apostołowie wieku elektroniki. Debret uśmiechnął się na wspomnienie artykułu, w którym autor udowodnił, że jedno centrum rachunkowe może zastąpić setkę wykwalifikowanych kryminologów. Akurat! Co za bzdury!

Nigdy maszyny elektroniczne nie będą w stanie przeniknąć w najgłębsze zakamarki ludzkiej duszy, a bez tego nie można ujawnić ani jednego poważnego przestępstwa. Oczywiście dobrze jest mieć pod ręką elektroniczną maszynę, żeby szybko otrzymywać informacje, ale czy to o to chodzi?

– Pozwoli pan, komisarzu? – Dukas uchylił drzwi i mrugnął do Debreta.

– Proszę!

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła kobieta.

Z zawodową dokładnością Debret odnotował, że ma więcej niż czterdzieści lat, wzrost sto sześćdziesiąt centymetrów, wagę około osiemdziesięciu kilogramów; że kolor szminki nie pasuje do lakieru do paznokci, że jest krótkowidzem, i że okulary z grubymi szklami bynajmniej nie dodają jej urody.

– Proszę! – powtórzył, wstając zza biurka i kierując się na jej spotkanie.

– Komisarz Debret?

– Do pani usług.

– Nazywam się Strelkina, Zoja Nikiticzna Strelkina. Oto list z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – wyjęła z teczki kopertę.

– Tak, wiem. Dzwonili do mnie.

Debret gestem wskazał, żeby usiedli.

– Zatem, madame Stel...

– O, po prostu Zoja Nikiticzna.

– Zoja Niki... – wymówienie tego dziwnego nazwiska było ponad siły każdego Francuza. – Zoja... Niki?...

Strelkina roześmiała się

– Proszę mówić do mnie po prostu Zoja. Tak będzie łatwiej. A ja będę pana nazywać „komisarzem”, dobrze?

– Dobrze. Na długo pani do nas przyjechała?

– Na dwa tygodnie. Rzecz w tym, że moja właściwa praca odbywa się na Sorbonie, a tutaj mam nadzieję zebrać uzupełniający materiał do mojej dysertacji.

– Cóż – Debret wstał, pokazując tym samym, że audyencja dobiegła końca. – Oddeleguję panią do inspektora Dukasa. To będzie obopólna korzyść. Zapewne z przyjemnością zaznajomi się z metodami pracy sowieckich kryminalnych.

Na twarzy Dukasa wypisana była taka rozpacz, że Debret uznał za konieczne osłodzić tę gorzką pigułkę.

– Dukas, to jeden ze zdolniejszych inspektorów. Nikt lepiej od niego nie wprowadzi pani w tok pracy policji kryminalnej.

Strelkina roześmiała się głośno.

– O nie, komisarzu! Doszło tutaj do wyraźnego nieporozumienia. Szkoda, że nie przeczytał pan listu. Ja nie jestem z kryminalistyki, jestem literaturoznawcą. Nie mogę niczego nauczyć inspektora Dukasa. Mnie interesuje pan, a nie policja kryminalna.

– Proszę wybaczyć, chyba nie rozumiem...

– Oczywiście, że pan nie rozumie. Dlatego chcę wyjaśnić. Tematem mojej dysertacji jest wzajemne przenikanie się fantastyki i kryminału. A pan interesuje mnie dlatego, że to przecież pan posłużył Simenonowi jako prototyp komisarza Maigreta, nieprawdaż?

Debret spochmurniał. Wspomnienie o komisarzu Maigret zawsze wywoływało u niego złożone i sprzeczne uczucia. Z jednej strony, oczywiście, przyjemnie, że cały świat zna ciebie jako sobowtóra literackiego bohatera, ale z drugiej...

– W pewnym stopniu tak – odpowiedział niechętnie. – Simenon rzeczywiście wykorzystał materiały ze spraw, które rozwiązywałem. Ponadto nieźle rozumie moją metodę. Jednak w niektórych przypadkach...

– Doskonale! – przerwała Strelkina. – Ostatecznie Simenon jest pisarzem, a nie prasowym reporterem. Za nim zawsze stoi prawo do literackiej fikcji. Właśnie dlatego mam zamiar zapoznać się ze sposobem rozumowania samego komisarza Debreta.

– W jakim celu? – zapytał sucho komisarz.

– Żeby wyjaśnić, czy są one całkowicie podporządkowane zasadom klasycznego kryminału, czy też może nasz elektroatomowy wiek wniósł do nich elementy właściwe współczesnej fantastyce.

– Jeśli ma pani na myśli zastosowanie komputerów do ujawniania przestępstw, to mogę od razu powiedzieć, że uważam ten pomysł za piramidalną bzdurę. Jestem zwolennikiem psychologicznych metod i żadna maszyna...

Strelkina nie dała mu dokończyć.

– Nie chodzi o maszyny; a konkretnie, o metody psychologiczne. Dokładnie o ludzkie rozumowanie. A może ono być różne. Na przykład, racjonalne albo paradoksalne. Współczesnej fantastyce, podobnie jak i nauce, w coraz większym stopniu staje się właściwe paradoksalne myślenie. Nie pomyłę się, jeśli powiem, że jest to znak czasów. Nadchodzi moment, kiedy przestępcy też zaczynają rozumować inaczej i jeśli ten, który prowadzi dochodzenie w sprawie przestępstwa nie jest w stanie zrozumieć założonego w nim paradoksu, to wcześniej, czy później... – kobieta przerwała swoją tyradę bardzo znaczącym grymasem.

Debret usiadł. Ta praktykantka nie była mu do niczego potrzebna, szczególnie z tymi jej szalonymi pomysłami. Jednak przed odejściem na emeryturę nie warto było psuć sobie stosunków z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Przecież nagrody, na które mógł liczyć... A może po prostu targował się sam ze sobą. W pełni przyzwoity pretekst, żeby odłożyć na dwa tygodnie prośbę o przejście na emeryturę.

Wyjaśnić kobiecie, że w zaistniałej sytuacji jego obecność tutaj jest wprost niezbędna. Międzynarodowa wymiana kulturalna i tak dalej.

– Zatem, jak pani wyobraża sobie pracę tutaj?

– Oh, niczego nie oczekuję! Proszę pozwolić mi być milczącym świadkiem pana pracy. Jeśli postawi pan tutaj dla mnie maleńki stolik, będę w pełni usatysfakcjonowana, a żeby być dla pana użyteczną, mogłabym wziąć na siebie obowiązki sekretarki.

Tego już było za wiele!

– Przywykłem obchodzić się bez sekretarki – powiedział Debret. – Co się zaś tyczy stolika, to Dukas zaraz wszystko urządzi.

– Doskonale! – Strelkina wyciągnęła z torebki papierośnicę. – Nie ma pan nic przeciwko?

– Ależ skąd, proszę palić.

Przy tych słowach oczy Debreta zapłonęły dzikim ogniem. Strelkina wyciągnęła do niego papierośnicę.

– Jeśli pani pozwoli, wezmę dwa.

Rozerwał papierosy i wsypał tytoń do fajki. Tymczasem Strelkina zdążyła już zapalić.

Dukas odetchnął głęboko i ze zdziwieniem uniósł brwi.

Debret zapalił fajkę. Wydawało się, że pod jego nosem wystrzelił ładunek wybuchowy.

– Kche-kche-kche!

– Czyżby, za mocne? – zapytała Strelkina.

– Tak... kche-kche! Ciekawy tytoń.

– Papierosy „Pamir”. Innych nie uznaję.

– Dużo ich pani ma? – delikatnie zapytał Dukas.

– Całą walizkę. Już w Moskwie uprzedzono mnie, że wasze papierosy to trawa.

– Słuchaj, chłopcze – powiedział Debret. – Poślij kogoś po tytoń.

3. CZERWONY PONTIAC

Minęły trzy dni. Dla Debreta był to najcięższy czas w ciągu tych wszystkich czterdziestu lat pracy w policji kryminalnej. Nieustannie czuł się jak jakieś dzikie zwierzę w ZOO. Strelkina nie spuszczała z niego ciekawskich oczu. Miała przy tym taki wyraz twarzy, jakby w każdej chwili miało zacząć się dochodzenie w temacie jakiegoś skomplikowanego przestępstwa.

Poza tym mieli same głupie sprawy i inspektorzy tylko z rzadka zaglądali do gabinetu komisarza z raportem o pojmaniu drobnego złodziejaszka, albo o kolejnym uprowadzeniu samochodu.

W ostatnich latach Debret przyzwyczyił się w takich momentach zastoju drzemać w fotelu, zaciskając w zębach wygasłą fajkę. Jednak w obecności postronnej osoby musiał symulować intensywną pracę, która zdecydowanie nie była wcale konieczna.

Zoja Nikiticzna paliła jednego papierosa za drugim ze swojego niewyczerpanego zapasu. Nieustanny zapach tytoniowego dymu zmusił Debreta do odrzucenia na bok wszystkich nakazów doktora Malindy. Teraz w pracy zawsze miał tytoń.

W domu sprawa była bardziej skomplikowana. Madame Debret z rzadką umiejętnością wykrywała wszystkie podejrzane zapachy. Jednak komisarz ostatecznie wpadł w pracy. Szedł korytarzem, puszczając kłęby dymu, kiedy nieoczekiwanie natknął się na doktora Malinę. Nastąpiło krótkie, acz burzliwe wyjaśnianie, rezultatem którego była ugoda, że lekarz nic nie powie żonie, a w zamian komisarz przejdzie kilka seansów sugestii hipnotycznej.

Hipnoza to wielka rzecz, ale jeśli paliliście ponad czterdzieści lat, to może ona tylko wyciszyć nałóg, ale w żaden sposób go nie zlikwiduje. Tym bardziej, jeśli pod waszym nosem nieustannie ktoś pali.

Nic dziwnego, że tego dnia Debret był w fatalnym nastroju.

Najbardziej drażniła go Strelkina. Ostatecznie każdy z nas w takim wypadku gotów jest uczynić winowajcą swoich nieszczęść kogokolwiek, tylko nie samego siebie.

Debretowi wydawało się, że gdyby chociaż na jeden dzień spławił gdzieś praktykantkę, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wreszcie, po przejrzeniu wszystkich możliwych wariantów, z przesadną uprzejmością zapytał:

– Może madame chciałyby odwiedzić Luwr?

– O, byłam w Luwrze kilka razy.

– Zatem, może wycieczka do Wersalu? Co prawda, o tej porze roku nie jest on tak piękny, jak latem, ale dla cudzoziemców...

– Byłam w Wersalu latem.

Debret zaczął zawzięcie ssać pustą fajkę. Był pewien, że jeszcze godzina spędzona sam na sam z obdarzoną stoickim spokojem kobietą, doprowadzi go do szaleństwa. Trzeba było coś zrobić. Powołać się na niedomaganie i iść do domu? Ale jak w takim razie wyjaśnić żonie przyczynę tak wczesnego powrotu? Modlił się do losu, żeby zesłał mu dzisiaj chociażby najgłupsze morderstwo. Wtedy mógłby wreszcie zademonstrować swoją znamienitą metodę, a Strelkina zadowoliliby się jednym przykładem i wróciła do swoich zajęć na Sorbonie.

Wreszcie Debret postanowił.

– Może madame zrobi mi zaszczyt i zje ze mną obiad? Tu niedaleko jest ulubiona knajpka różnej maści kryminalistów. Zaprawdę, ani w jednej detektywistycznej powieści nie znajdzie pani takiej kolekcji przestępczych typów.

– Bardzo chętnie, komisarzu! Tylko proszę nie nazywać mnie „madame”. Przecież się umówiliśmy.

Oczywiście, Debret trochę przesadził, kiedy mówił o kryminalistach.

Była to zwyczajna knajpka, chętnie odwiedzana przez prostytutki i sutenerów. Wszyscy znali komisarza osobiście i, kiedy ten, ze swoją towarzyszką, pojawił się w drzwiach, nastąpiła napięta cisza. Wszyscy z ciekawością przyglądali się Strelkinie.

Podszedł kelner i zaprowadził ich do wolnego stolika w kącie sali.

– Dzisiaj mamy doskonały gigot! – poufnie pochylił się ku Debretowi.

– Co pani sądzi o gigot, Zoju? – zapytał komisarz.

– No cóż, gigot jak gigot.

Komisarza również w pełni satysfakcjonowała baranina po porannej porcji kaszy owsianej.

– Czego się napijemy?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wódki za dnia nie piję, a wszystkie wasze wina, to potworne kwasy. Zresztą, proszę mi zamówić to, co sobie.

– Dobrze! Dwa kieliszki Pernod.

Kelner błyskawicznie zrealizował zamówienie.

– Za pana sukcesy, komisarzu!

Odrobinę upiła i ze zdziwieniem spojrziała na Debreta.

– Ma pan kaszel?

– Nie, dlaczego pani tak sądzi?

– U nas taki napój sprzedaje się w aptekach przeciw przeziębieniu.

– Hmm... – Debret wziął się za baraninę.

Kiedy podano kawę, Strelkina z przejściem zaczęła opowiadać treść jakiejś fantastyczno-naukowej powieści. Debret słuchał z roztargnieniem. Mało interesowała go fantastyka. W każdym razie o wiele mniej, niż para, siedząca w drugim kącie knajpki. Mężczyzna niczego szczególnego sobą nie przedstawiał. Zwyczajny typ, jakiego można spotkać wszędzie. Masywnej budowy, ubrany w aksamitne spodnie i zamszową kurtkę z dużą ilością zapieć. Gęste, czarne włosy, krzaczaste brwi, mięsisty nos, pod którym mizdrzyły się starannie przystrzyżone wąsy. Ni to komiwojażer, ni to alfons, a może i jedno i drugie. Kobieta wyraźnie należała do wyższej klasy społecznej, chociaż ubrana była demonstracyjnie skromnie; najwidoczniej dlatego, żeby nie przyciągać zbędnej uwagi. Doświadczona

oko komisarza Debreta odnotowało złotą papierośnicę z brylantowym monogramem, który kobieta niedbale kręciła w palcach, i nienaganny krój błękitnego kostiumu. Piękno jej wypiełgnowanej twarzy wzmagały ogromne, rozszerzone źrenice narkomanki. Takie oczy ma zazwyczaj człowiek, który przyjął sporą dawkę morfiny. To właśnie te oczy zmusiły komisarza do wyłączenia pamięci. Gdzieś już takie widział.

W końcu przypomniał sobie. To było nocą w rezydencji Kostagenów, kiedy szukał ukrytej tam bomby. Oczywiście! To była kobieta, która przeszła obok niego korytarzem w cieniutkim peniuarze, pozostawiając za sobą zapach drogich perfum.

Już wtedy zdziwił go dziwny wyraz jej oczu i niepewny chód.

– Prawda, że interesujące? – przerwała jego wspomnienia Strelkina. –
Opowiadać dalej?

– Tak, proszę!

Debret próbował z ruchu warg odczytać, o czym rozmawia ta para.

Kobieta poczuła jego wzrok, popatrzyła na Debreta, spochmurniała i coś powiedziała do swojego towarzysza. Podnieśli się, kobieta wyjęła z torebki naleźność, położyła na stoliku i skierowała się do wyjścia. Mężczyzna poszedł za nią.

– Proszę wybaczyć! – przerwał Debret Strelkinie. – Zostawię panią na kilka minut. Muszę wydać jedno polecenie Morransowi.

Podszedł do telefonu, skąd można było obserwować ulicę, pozostając samemu niezauważonym.

Na ukos od knajpki stał czerwony pontiac, sportowy model ostatniej serii. Mężczyzna w zamszowej kurtce otworzył drzwi, przepuścił przodem damę, po czym sam zasiadł za kierownicą.

Debret poczekał, póki nie odjechali i zapisał numery auta. Następnie zadzwonił do biura.

– Inspektor Morrans przy telefonie!

– Posłuchaj, chłopcze – cicho powiedział Debret. – Dowiedz się no szybciotko, do kogo należy pontiac. Numery zaraz ci podam. Zapisz!

– Słucham, komisarzu!

Debret podyktował mu numer samochodu.

– Gdzie panu przekazać informację?

– Będę za pół godziny.

Wrócił do stolika. Strelkina paliła kolejnego papierosa, chciwie przypatrując się kompanii podchmielonych chłopaków.

– Kryminaliści? – szeptem zapytała komisarza.

– Niewątpliwie! – odpowiedział Debret. Dobrze znał tych chłopaków – rzeźników z Centralnego Targowiska; ale nie można było rozczarować praktykantki.

Przecież sam obiecał jej szeroką kolekcję kryminalnych typów.

W gabinecie, na biurku, czekał już na niego raport Morransa. Czerwony pontiac dwa tygodnie temu został wypożyczony przez niejakiego Jeana Pebefa, zamieszkującego na ulicy Francois'a, dom numer 15, z zawodu komentatora sportowego. Zapłata za samochód została wniesiona miesiąc naprzód.

– Dziwne! – powiedział Debret. – Bardzo dziwne!

– Co dziwne? – zainteresowała się Strelkina.

– Dziwne, że po seansie hipnozy chce mi się palić jeszcze bardziej, a palić nie wolno – wymijająco odpowiedział komisarz.

4. SREBRNY CZEKAN

Całą niedzielę Debret chodził zdenerwowany. Było ku temu kilka przyczyn. Przygnębiała go ostra dieta, ustanowiona przez żonę i rozdrażniała niemijająca ochota na palenie. Oprócz tego komisarz nieustannie myślał o Jeanie Pebefie. Jaki związek mógł mieć ten wulgarny typ z arystokratycznym domem Kostagenów? Czy to nie on aby był zamieszany w ten głupi żart z bombą? Ale, jeśli rzeczywiście to on poinformował o bombie, to jakimi względami w związku z tym się kierował?

Wreszcie, późnym wieczorem, kiedy madame Debret włączyła telewizor, komisarz oznajmił, że pójdzie na spacer.

W kiosku na rogu kupił małą paczkę tytoniu i z rozkoszą zapalił. Pierwsze zaciągnięcie trochę go uspokoiło. Pykając z fajki, Debret skierował się ku willi Kostagenów.

Wiatr, jak przedtem, gnał chmury i tylko chwilami, w prześwitach między nimi, pokazywała się tarcza księżyca. Debret wybrał sobie punkt obserwacyjny na skwerku.

To zacienione miejsce czyniło go niewidocznym z ulicy.

Oczywiście w willi już wszyscy spali. Tylko w jednym oknie, na drugim piętrze, przez szczelinę w gęstej zasłonie pobłyskiwało światło, ale i ono wkrótce zgasło.

Cały wygląd starego budynku z łuszczącymi się kolumnami, z jakiegoś powodu wywołał w komisarzu Debret uczucie trwogi. W żaden sposób nie mógł pozbyć się myśli, że jakaś tajemnicza groza zawisła nad mieszkańcami tego domu...

Kiedy komisarz wrócił do domu, madame Debret już spała.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała przez sen.

– Spacerowałem – burknął Debret i zgasił światło w sypialni.

Zasnął od razu, ale całą noc męczyły go koszmary, a wszystkie w ten czy inny sposób związane były z rezydencją Kostagenów.

W pracy Debret pojawił się później niż zazwyczaj. Ledwie otworzył drzwi, na spotkanie rzuciła mu się wzburzona Strelkina.

– Ach, komisarzu! Już nie mogłam się pana doczekać! Leon Kostagen zabity. Morrans i Dukas już tam są, a ja postanowiłam poczekać na pana. Weźmie mnie pan ze sobą, prawda?

– Tak – powiedział Debret.

Na podjeździe willi stały trzy samochody. Dwóch policjantów z trudem utrzymywało w ryzach ciekawskich. Nieopodal stała grupa reporterów.

Widocznie nie pozwolono im wejść.

– Na drugim piętrze, komisarzu – uprzejmie powiedział policjant.

Debret wszedł po znanych mu już, marmurowych schodach. Za nim, prychnąwszy ze wzburzenia, szła Strelkina.

W drzwiach spotkali Morransa.

– Zabity we śnie uderzeniem czekana w skroń – zaraportował ten. – Póki co, niczego nie dotykaliśmy. Widocznie przestępca przedostał się przez drzwi piwniczki na węgiel. Są ślady węgla na podłodze. Wszedł tą samą drogą. Szedł w skarpetkach, buty założył już na ulicy. Dalej ślad się zaciera, pies nie bierze tropu. Zabójstwo nie zostało dokonane w celu rabunku: portfel, w którym znajdowała się spora suma, leży na nocnym stoliku. Zaraz przybędzie lekarz z sąsiedniego okręgu.

– Dlaczego nie ma Malindy?

Morrans uśmiechnął się.

– Malinda wykręcił numer! W sobotę wyjechał z żoną do Compiègne. Wczoraj wieczorem w Saint-Denis pod samym komisariatem zgniótł błotnik samochodu policyjnego. Kiedy wystawiali protokół, nazwał inspektora bydlakiem i odmówił okazania dokumentów. Zatrzymali go do rana. Dzisiaj zadzwonili i potwierdziłem, że jest naszym pracownikiem. Obiecali go wypuścić.

– Dobrze!

Debret podszedł do łóżka. Fotograf robił zdjęcia. Zabity leżał na boku. Wyglądał na trzydzieści pięć lat. Pomijając zgruchotaną skroń, miał błogi wyraz twarzy, jaki spotyka się u ludzi zabitych we śnie.

– To wszystko, komisarzu! – powiedział fotograf. – Dwanaście zdjęć.

– Dobrze.

Debret uniósł kołdrę. Zabity był zupełnie nagi. Wyćwiczone, opalone ciało sportmena, wszystkie mięśnie zwiotczały. Śmierć nastąpiła błyskawicznie, nawet się nie obudził.

– Tak... – Debret znowu narzucił na niego kołdrę. – Kto znalazł trupa?

– Augustin. Lokaj.

– Kiedy?

– O dziewiątej rano. Zawsze o tej porze przynosi kawę.

– Kto zawiadomił policję?

– Też on.

– Kiedy?

– O dziewiątej pięć.

– Uderzenie zostało zadane tym przedmiotem?

– Dokładnie tak! Póki co, nie ruszaliśmy go, mogą być odciski palców.

– Wątpliwe. Człowiek, który idąc dokonać zbrodni, zdejmuje buty, rzadko zapomina założyć rękawiczki. Wszystko trzeba jednak sprawdzić.

Dukas spryskał narzędzie zbrodni utrwalaczem i podniósł, trzymając za ostrze, ręką owiniętą w chustkę.

– Pokaż no to – Debret podszedł bliżej i spojrział na srebrną tabliczkę, zdobiącą rękojeść. – Co to takiego?

– Srebrzysty czekan – odpowiedział Dukas. – Ważna nagroda Stowarzyszenia Alpinistów. Przyznana zabitemu dwa lata temu.

– Zawołaj Augustina – zwrócił się Debret do Morransa.

Debret pamiętał Augustina jeszcze z tamtej nocy. To on oprowadzał komisarza po rezydencji. Teraz lokaj był bardzo wystraszony. Debret

zapropował mu, żeby usiadł. Dukas, Morrans i Strelkina odeszli do okna.

– Kiedy przybył pan do tego domu? – zadał pytanie Debret.

– Piętnaście lat temu. Wtedy żyli jeszcze starzy gospodarze, a monsieur Leon i monsieur Pierre uczyli się.

– Kim jest monsieur Pierre?

– Brat.. nieboszczyka... monsieur Leona – lokaj spojrział na łóżko i znowu opuścił oczy.

– Monsieur Pierre tu mieszka?

– Tak.

– Kto jeszcze mieszka w domu?

– Madame. Kobieta... monsieur Leona.

– Kto jeszcze?

– Camilla, pokojówka madame Kostagen.

– A pozostała służba?

– Szofer, kucharka i jeszcze jedna pokojówka, ale oni są dochodzący.

– Kto ze służby ma klucze do drzwi wejściowych?

– Tylko ja i Camilla.

– Kto zamyka drzwi na noc?

– Ja.

– Ile par drzwi?

– Trzy.

– A drzwi od piwnicy na węgiel?

– One nigdy nie są zamykane.

– Dlaczego?

– Postronny człowiek nie może dostać się z piwnicy do domu. Przejść tamtędy można tylko przez ukryte wejście.

– To ten korytarz, który mi pan pokazywał, kiedy szukałem bomby?

– Ten sam.

– O której godzinie monsieur Leon wrócił wczoraj do domu?

– Wczoraj w ogóle nie wychodził z domu.

– A monsieur Pierre?

– Również.

– Kiedy zamknęliście drzwi?

– O dziesiątej.

– Madame Kostagen też była w domu?

– Nie. Ona wróciła około jedenastej.

- Sama otworzyła sobie drzwi?
- Klucz był włożony od wewnątrz. Zadzwoniła. Otworzyłem jej.
- Kiedy położył się pan spać?
- Zaraz potem.
- W nocy nic pan nie słyszał?
- Nie.
- Gdzie jest pana pokój?
- Na pierwszym piętrze.
- A pokój Camilli?
- Obok mojego.
- O której pan dzisiaj wstał?
- O ósmej. O tej godzinie zazwyczaj przychodzi służba.
- Przez jakie drzwi wchodzi?
- Przez te, które prowadzą od podwórza.
- Czy były rano zamknięte?
- Tak.
- A pozostałe drzwi?
- Również.
- Czy służba wie o istnieniu ukrytego wejścia z piwnicy na węgiel?
- Nie, nie wie.
- Zatem, wpuścił pan służbę. Co pan zrobił później?
- Zaparzyłem monsieur Leonowi kawę.
- Dlaczego nie kucharka?
- Zawsze robię to sam.
- Kiedy zaniósł pan kawę na górę?
- O dziewiątej. O tej porze zazwyczaj budzę monsieur Leona. Zastukałem do drzwi, ale nie odpowiedział. Wtedy wszedłem i zobaczyłem...

Lokaj wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przyłożył do oczu.

Debret odczekał, aż ten nieco się uspokoi i zadał kolejne pytanie.

- Co pan zrobił po tym, jak zobaczył ciało?
- Pobiegłem powiedzieć madame Kostagen.
- Gdzie znajduje się jej pokój?
- Obok.
- Te drzwi do niego prowadzą?
- Tak.

– Zatem pan nie pobiegł, ale po prostu przeszedł przez te drzwi?
– Nie, te drzwi są zawsze zamknięte.
– Jak to? Od dawna?
– Ponad rok.
– Jak zareagowała madame Kostagen na wiadomość o śmierci męża?
– Ona... Nie od razu udało mi się ją obudzić... Często bierze leki nasenne i... Stwierdziłem, że lepiej od razu powiadomię policję, a potem już...

– Monsieur Leon zawsze spał bez piżamy?
– Tak, od dziecka.
– Zna pan tę rzecz? – Debret wskazał na czekan.
– Tak, to nagroda, jaką otrzymał monsieur Leon.
– Gdzie ona się zazwyczaj znajdowała?
– Kto?
– Ta nagroda.
– O tam, nad kominkiem, na półce.

Debret podszedł do kominka, nad którym przyciągało wzrok kilka pucharów.

Wszystkie, jak wynikało z wygrawerowanych na nich napisów, Leon Kostagen otrzymał za rozliczne sportowe osiągnięcia.

W tym momencie do pokoju wszedł niski, gruby człowiek z aktówką w ręce.

– Komisarz Debret? Doktor Jeaneve. Rzecz w tym, że proszono mnie, żebym zastąpił doktora Malinę.

– Proszę, oto trup.

Doktor Jeaneve zajął się nieboszczykiem.

– Cóż, chłopaki – zwrócił się Debret do inspektorów. – Przesłuchajcie dochodzącą służbę. Pozostałymi zajmę się osobiście. A pan, Augustynie, jest wolny.

– Mogę zostać z panem? – zapytała Strelkina.

– No cóż, niech pani zostanie.

Tymczasem lekarz zakończył oględziny i wytarł ręce papierową serwetką, którą wyciągnął z aktówki.

– Kiedy nastąpiła śmierć? – zapytał Debret.

– Dziesięć, dwanaście godzin temu. Dokładnie będzie można to powiedzieć po sekcji.

Debret spojrział na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści rano.
Zatem zabójstwo miało miejsce wczoraj wieczorem.

5. LUIZA KOSTAGEN

Debret musiał pukać dwa razy, zanim za drzwiami pokoju madame Kostagen rozległ się słaby głos zapraszający do wejścia.

Tak, to była ona, ponownie w tym samym peniuarze. Wpółleżała w głębokim fotelu.

– Komisarz Debret, madame – pokazał swoją plakietkę. – A to moja pomocnica, madame... e-e-e... Zoja.

Strelkina ukłoniła się.

Gospodyni skrzywiła się i niedbałym gestem zaproponowała im, żeby usiedli.

– Będę zmuszony zadać pani kilka pytań.

Nawet nie zaszczyciła go odpowiedzią. Tylko wzruszyła ramionami.

– Czy moja obecność nie będzie przeszkadzać? – rozległ się nieoczekiwane głos.

Debret obejrzał się i mimowolnie drgnął. W starym wolterowskim fotelu przy kominku siedział zabity Leon Kostagen. Nie było mowy o pomyłce. To była ta sama silna twarz z tłoczonym profilem i gęstymi kasztanowymi włosami, opadającymi na czoło.

Sobowtór zabitego podniósł się z trudem i wtedy Debret zobaczył, że jego głowa spoczywa na tułowiu garbatego karła.

– Monsieur Pierre?

– Dokładnie, komisarzu – w jego głosie zabrzmiała gorzka ironia. – Pierre Kostagen, brat Leona.

– Wolałbym porozmawiać z panem osobno – powiedział Debret. – A póki co...

– Rozumiem. Wybacz, Luizo, ale będę musiał cię opuścić na pewien czas...

Debretowi znowu wydało się, że słyszy w jego głosie drwinę. Odczekał, aż za Pierre'em zamknęły się drzwi i dopiero wtedy zwrócił się do Luizy.

– Rozumiem, madame, pani żal, ale w interesie śledztwa...

– Nie można obejść się bez wstępu?

– Jak pani sobie życzy.

Debret spojrział na toaletkę, gdzie pośród wielu słoiczków i flakonów leżała lekarska strzykawka.

– Zatem, pierwsze pytanie: od jakiego czasu używa pani narkotyków?

Luiza wstała i schowała strzykawkę do szuflady.

– To nie pańska sprawa, komisarzu i nie ma żadnego znaczenia dla śledztwa.

– Przypuśćmy – zgodził się Debret. – Teraz nie będę naciskał na odpowiedź. W takim razie drugie pytanie: o której wróciła pani wczoraj do domu?

Kobieta znowu wzruszyła ramionami.

– Dokładnie nie pamiętam. Zdaje się, że około dziesiątej.

– Widziała się pani z mężem wczoraj wieczorem?

– Nie.

– Poszła pani od razu do siebie do pokoju?

– Tak.

– I położyła się pani spać?

– Tak.

– Mocno pani śpi?

– Tak.

– Morfina?

– Tabletki nasenne.

Luiza, nie wstając, wzięła ze stolika pudełko i rzuciła na kolana Debreta.

– Czyli w nocy nic pani nie słyszała?

– Nie.

– Gdzie pani spędziła wieczór?

– To nie powinno pana obchodzić.

– A jednak?...

– Jadłam kolację w restauracji.

– Z kim?

– To nie ma znaczenia. No, choćby i z kochankiem.

– Czym przyjechała pani do domu?

– Taksówką.

– A dlaczego nie podwiózł pani swoim pontiakiem Jean Pebef?

Luiza pobladła i zagryzła wargi.

– Ach, więc i to pan wie?! Cóż, niczego innego po policyjnych szpiclach spodziewać się nie można! Tak więc, panie komisarzu, nie zamierzam odpowiadać na to pytanie i na żadne inne. Proszę mnie zostawić w spokoju.

– A jednak jestem zmuszony zadać pani jeszcze jedno pytanie: kto prowadzi sprawy finansowe rodziny?

– Mer Seval. To wszystko?

– Póki co, to wszystko, madame – Debret wstał, grzecznie się uklonił, przepuścił przodem Stelkinę i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

– Teraz weźmie się pan za Pierre’a? – zapytała Stelkina.

– Chyba jeszcze na to za wcześnie. Teraz bardziej interesuje mnie Camilla, pokojówka madame Kostagen.

6. PONOWNIE CZERWONY PONTIAC

Trudno było sobie wyobrazić, że taka kobieta, jak Luiza Kostagen, wybierze sobie na pokojówkę wiejską staruchę, do tego o wielce nieprzyjemnym wyglądzie

Małeńkie, złośliwe oczka Camilli kolejno świdrowały Debreta i Stelkinę.

– Czego pan ode mnie chce?

– Jakie pełni pani obowiązki w tym domu?

– Sprzątam w pokoju gospodyni.

– I, mam nadzieję, darzy ona panią pełnym zaufaniem?

Starucha parsknęła.

– Zaufanie?! A jak pan myśli, skoro mieszkam w tym domu już trzydzieści pięć lat? No nie, panie komisarzu, proszę zadawać rozsądniejsze pytania.

– Zatem, mieszka pani tutaj trzydzieści pięć lat. To oznacza, że przybyła pani tutaj jeszcze przed narodzeniem obecnego gospodarza?

– Byłam mamką Pierre’a i Leona.

– To bliźniaki?

– Bliźniaki.

– A kiedy Pierre stał się kaleką?

– Pięć miesięcy po urodzeniu.

– W jakich okolicznościach?

Camilla wyciągnęła z kieszeni fartucha kraciatą chustkę i głośno się wysmarkała.

– Dużo chce pan wiedzieć, komisarzy.

– Ma pani obowiązek odpowiadać na moje pytania.

– Patrzcie go, jaki pewny! Wy, młodzi, nie będziecie mnie straszyć!

Debret uśmiechnął się. Jakże względne jest nasze pojęcie o wieku. Tej oto staruszce on, sześćdziesięcioletni policjant, zdaje się być młodzieńcem.

Zresztą, okoliczności okaleczenia Pierre'a były dla niego jasne. Sądząc po wszystkim, mimowolną winowajczynią była sama Camilla. Nietrudno o to, żeby pięciomiesięczne dziecko wysliznęło się z rąk karmicielki. To naturalne, że nie chce o tym mówić. To jasne, że wyrzuty sumienia nie dają jej spokoju.

– Dobrze – pokojowo powiedział Debret. – Nie będziemy wracać do tego, co minęło.

– No, tak już lepiej.

– Jakie były stosunki między braćmi? Czy nigdy się nie kłócili?

– Kłócili?! Co za głupie pytanie! Toż oni życie by oddali jeden za drugiego, Pierre i Leon! Całe życie, od samych narodzin.

– Tak... – Debret machinalnie wyjął z kieszeni fajkę.

– U nas się nie pali! – z rozdrażnieniem powiedziała Camilla. – Jeśli nie może pan wytrzymać, proszę wyjść na dwór.

Debret pokręcił fajkę w rękach i schował ją do kieszeni.

– Nie zauważyła pani, żeby między madame Kostagen i jej mężem były jakieś spory?

– Nie wkładam nosa do cudzych spraw.

– Czy madame Kostagen przyjmowała tutaj, w domu, swoich znajomych?

– Nie.

– A sama często wyjeżdżała?

– Kiedy potrzebowała, wtedy wyjeżdżała.

– Każdego dnia?

– Nie wiem.

– O której położyła się pani wczoraj spać?

– Wieczorem, a o której dokładnie, nie pamiętam.
– Mocno pani śpi?
– Zależy kiedy.
– Dzisiejszej nocy nic pani nie słyszała?
– Słyszałam.
– Co dokładnie?
– Jak chrapie Augustin. To stara pieprzniczka...
– Dobrze – Debret wstał. – Widzę, że jest pani oddaną pokojówką. No cóż, może jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać.
– Z tej staruchy niewiele da się wyciągnąć – powiedziała Strelkina, kiedy ponownie weszli na drugie piętro.
– Myli się pani – burknął Debret. – Uważam, że powiedziała nam ona o bardzo ważnych szczegółach.
– Jakich?
Debret nie odpowiedział.
Trupa już zabrano na sekcję. W pokoju zabitego był tylko Morrans.
– No i jak? – zapytał Debret.
– Cała dochodząca służba została przesłuchana. Podobno każdy ma wystarczająco przekonujące alibi. Teraz Dukas to wszystko sprawdza.
– Doskonale! Jedziemy na policję.
– Jak?! Czy nie będzie pan przesłuchiwał Pierre’a Kostagena? – zdziwiła się Strelkina.
– Wezwać taksówkę? – zapytał Morrans.
Debret skrzywił się. Bardzo rzadko korzystał ze służbowego samochodu; tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy za kierownicą siedział któryś z inspektorów. Sam jakoś nigdy nie zrobił prawa jazdy. Co zaś tyczy się wydatków na taksówkę, to każdy z nas wraz z postępującymi latami staje się trochę skąpy, nieprawdaż? Dlatego, przyzwyczajony do dziwactw szefa, Morrans nie zdziwił się, kiedy komisarz z rozdrażnieniem oznajmił, że pojedą autobusem.
Jednak dzisiaj los przygotował im jeszcze inny rodzaj transportu. Przeszli w siąpiącym deszczu jakieś pół kwartału, kiedy Debret zauważył na rogu skuloną postać Pierre’a Kostagena. Garbus na kogoś czekał i wyraźnie się denerwował. Co chwilę spoglądał na zegarek, z rozdrażnieniem tupiąc nogą.
Debret w milczeniu wciągnął swoich towarzyszy do najbliższej bramy.

– Coś się stało, komisarzu? – zapytał Morrans.

– Nie, ale zaraz się stanie.

Wkrótce na końcu ulicy pokazał się czerwony pontiac, jadący z dużą prędkością. Zrównał się z Pierre'em Kostagenem i ostro zahamował.

Człowiek za kierownicą opuścił szybę. Pierre rzucił się do samochodu.

– Idziemy! – powiedział Debret.

Pierre był na tyle pochłonięty rozmową z człowiekiem za kierownicą, że drgnął, kiedy Debret powiedział:

– Okropna pogoda na spacer, monsieur Kostagen, nieprawdaż?

Pierre wykrzywił twarz w grymasie złości, znacząco spojrzął na kierowcę pontiaka i, nie mówiąc ani słowa, poszedł w kierunku domu.

Debret otworzył drzwi auta.

– Monsieur Jean Pebef, jeśli się nie mylę?

– Do pana usług.

– Proszę usiąść za kierownicą – zwrócił się Debret do Morransa. – A my usiądziemy z tyłu.

– Co to za żarty?! – zapytał zaskoczony Pebef.

Debret pokazał mu swoją policyjną odznakę.

– Jest pan aresztowany!

– Za co?!

– A o tym, to już porozmawiamy z panem na policji.

7. DEBRET UDAJE SIĘ NA ŚNIADANIE

– Zaprowadź go do aresztu, chłopcze, i dokładnie przeszukaj samochód, a ja na razie zajmę się innymi sprawami.

Debret wszedł do gabinetu, powiesił przemokłe palto na haczyku i zapalił.

Strelkina usiadła za swoim stolikiem. Z jakimś nabożnym lękiem patrzyła na komisarza otulonego kłębamii dymu. Wreszcie pojawił się prawdziwy detektyw w duchu Simenona. Minęło dziesięć minut, zanim zdecydowała się odezwać do komisarza.

– Podejrzewa pan tego Pebefa o zabójstwo?

Debret zmarszczył brwi. Nie mógł znieść, kiedy ktoś przerywał bieg jego myśli.

– Co pani powiedziała? – zapytał. – Podejrzewam go o zabójstwo?

– Tak.

– O zabójstwo Leona Kostagena?

– Oczywiście, a kogo by innego?

– Co za bzdura! Żadnego związku z zabójstwem Leona Kostagena ten człowiek nie ma. To przecież absolutnie jasne!

– Ale dlaczego?

– Człowiek, który dostaje się do cudzego domu, żeby dokonać zabójstwa, zawsze przynosi broń ze sobą, a nie korzysta w tym celu z pierwszego lepszego przedmiotu, jaki wpadnie mu w rękę w pokoju zabitego.

– Dlaczego zatem aresztował pan Pebefa?

– Żeby otrzymać uzupełniające dane.

Debret wziął książkę telefoniczną i zaczął kartkować, manifestując tym samym, że lekcja z podstaw kryminalistyki została na dzisiaj zakończona.

Do gabinetu wszedł Morrans. Debret uniósł głowę.

– No i co, chłopcze?

– Facet jest widocznie przestraszony, ale zachowuje się wyzywająco. Mówi, że wniesie zażalenie na bezprawne aresztowanie. A oto, co znalazłem w samochodzie pod siedzeniem – Morrans wyciągnął w stronę komisarza futerał z krokodylej skóry.

– Tak... – Debret obejrzał zawartość futerału i schował go do biurka.

– Jeszcze jakieś wieści?

– Laboratorium nie znalazło odcisków palców na czekanie. Oczywiście, przestępca musiał działać w rękawiczkach.

– To jasne. Co wykazała sekcja?

– Zabójstwo miało miejsce między dziesiątą a jedenastą wieczorem. W żołądku zabitego znaleziono dużą ilość koniaku.

– Jak to? – Debret zamyślił się. – O ile pamiętam, w pokoju nie było nic przypominającego spirytus.

– Ma pan całkowitą rację, komisarzu.

– Gdzie jest teraz trup?

– Został wydany rodzinie, na pogrzeb.

– Dobrze, możesz na razie odejść.

– Będzie pan przesłuchiwał Pebefa?

– Potem. W swoim czasie.

Kilka minut Debret w milczeniu spoglądał na Strelkinę, zastanawiając się nad czymś.

Potem przysunął do siebie telefon wewnętrznych połączeń.

– Z doktorem Malindą!

– Słucham! – rozległ się w słuchawce niski baryton.

– Mówi Debret. Proszę do mnie zajrzeć!

Doktor Malinda miał czterdzieści lat. Posiadał wesoły charakter, świetny wygląd i autorytatywny ton głosu. Jak wiadomo, to wszystko pociąga kobiety. Nie na darmo madame Debret uważała go za nieomylny autorytet w dziedzinie medycyny. I nie tylko medycyny. Wszystkie opinie młodego lekarza zawsze wyróżniały się klarownością i optymizmem. Wszedł do gabinetu Debreta z lekko zakłopotanym uśmiechem.

– Dzień dobry, komisarzu! Proszę wybaczyć mi tę głupią historię. Zna pan lepiej ode mnie tych policyjnych urzędników. Musi pan przyznać, że razem z żoną przyszło nam spędzić noc w niezbyt komfortowych warunkach. A wszystko przez jakiś wgnieciony błotnik policyjnego samochodu. Wie pan, że rzadko tracę opanowanie, ale ten idiota inspektor całkowicie wyprowadził mnie z równowagi. Zresztą, nie ma tego złego. Prawdę mówiąc, jestem nawet rad, że nie wziąłem udziału w pana sprawie.

– Dlaczego?

Malinda zmieszkał się.

– To długa historia. Właściwie, moja żona... to daleka krewna Kostagenów. Po ślubie nie spotykała się z nimi i moje pojawienie się w ich domów w takiej sytuacji...

– Rozumiem – powiedział Debret. – Chciałbym pana prosić o coś innego – wyciągnął z biurka krokodyłowy futerał. – Nie mógłby pan ustalić składu tych ampułek?

– Spróbuję. – Malinda dokładnie obejrzał futerał z zewnątrz i od wewnątrz. – To również jest związane z zabójstwem Leona?

– Mam nadzieję, że tak. Widać, ampułki miały być przekazane któremuś z Kostagenów.

– Doskonale! Zajrzę do pana, jak tylko coś ustalę.

Debret znowu wziął książkę telefoniczną. Znalazł numer mera Sevala i poprosił telefonistkę o połączenie.

Przez długi czas nikt nie odbierał. Potem jednak w słuchawce burknął niezadowolony głos:

- No, co tam?
- Mówi Debret – komisarz kryminalnej policji.
- Z kim pan chce rozmawiać?
- Mer Seval.
- To ja. Proszę mówić, o co chodzi?
- Wie pan o zabójstwie Leona Kostagena?
- Wie o tym cały Paryż. W każdym razie każdy, kto czyta gazety.
- Nieboszczyk był pana klientem?
- Tak.
- Mógłby mi pan wyjawiać wielkość jego majątku?
- Nie.
- Dlaczego?
- Podobne informacje wydaje się tylko na podstawie decyzji organów sądowych. Powinien pan o tym wiedzieć, komisarzu.
- Nie proszę pana o podanie dokładnej sumy.
- Zatem, o co?
- Proszę tylko powiedzieć, czy to duży majątek?
- Co do tego może pan nie mieć wątpliwości.
- Kto po nim dziedziczy?
- Wedle kontraktu ślubnego: żona.
- A brat?
- Ma pan na myśli monsieur Pierre'a?
- Tak.
- On nie jest spadkobiercą. Majątek rodziców zgodnie z testamentem został już podzielony między dwoma braćmi.
- A w przypadku śmierci Luizy Kostagen, kto powinien dziedziczyć jej kapitał?
- Nie wiem. Takie sprawy rozstrzyga sąd.
- Jeśli nie ma testamentu?
- Dokładnie.
- Dziękuję panu, merze Seval! – Debret odłożył słuchawkę.
- Proszę poprosić Dukasa, żeby do mnie zajrzał – zwrócił się do Strelkiny.

Raport Dukasa nie wniósł niczego nowego. Cała dochodząca służba miała dokładnie sprawdzone alibi.

– Co pan zamierza zrobić dalej, komisarzu? – zapytała Strelkina.

– Zjeść parę kanapek i wypić filiżankę kawy.

– Z przyjemnością będę panu towarzyszyć.

Debret zaklął w duchu i z galanterią podał jej palto.

8. JEAN PEBEF

Debret już dawno osiągnął wiek, w którym po każdym posiłku człowiek kładzie się spać. Inspektorzy dobrze o tym wiedzieli i zazwyczaj dawali komisarzowi zdrzemnąć się godzinę w fotelu. Jednak w obecności praktykantki musiał kombinować. Tak było i teraz – przymknąwszy oczy, udawał głębokie zamyślenie. Obudził go doktor Malinda, poklepując go po ramieniu.

Rozbudzony człowiek zawsze ma głupi wyraz twarzy, zupełnie nie taki, jaki przystoi rozślawionemu kryminologowi, ale i lekarz, i praktykantka przejawili wystarczająco dużo taktu, udając, że niczego nie zauważyli.

– Proszę wybaczyć, że przerwałem pana rozmyślenia – powiedział Malinda. – Analiza zakończona. W ampułkach jest morfina w dawkach, jaką zazwyczaj stosują silnie uzależnieni narkomani. Obawiam się, komisarzu, że ten futerał był przeznaczony dla Luizy. Nie wiem, czy pan wie, że ona...

– Wiem – przerwał mu Debret. Wziął futerał i schował do biurka.

Czuł się bardzo niezręcznie. Była czwarta dwadzieścia; co oznaczało, że przespał nie mniej niż dwie godziny.

– Wiem o tym – powtórzył, zapalając wygasłą fajkę. – Dlatego właśnie poprosiłem pana...

– Komisarzu!! – W głosie Malindy było tyle wyrzutu, że Debret drgnął. – A nasza umowa?! Proszę zrozumieć, że dla pana wrzodów tytoń jest istną trucizną. No nie, widać znowu przyjdzie mi uciec się do pomocy madame Debret.

– Nie trzeba – komisarz schował fajkę do biurka. – Nie trzeba bez potrzeby denerwować madame. Już lepiej niech mnie pan podda jeszcze

jednemu seansowi.

– Żadne seanse nie pomogą, jeśli sam pan nie będzie walczył z tym nawykiem. Tym bardziej, że jutro rano wyjeżdżam na urlop i nie będzie komu pana pilnować. Nie, nie, moim obowiązkiem...

– Bardzo proszę! – Debret błagalnie spojrzał na lekarza. – Przecież obiecuję...

– No i co z panem zrobić! – westchnął Malinda. – Chodźmy!

Z gabinetu Malindy Debret wrócił w całkowicie paskudnym nastroju.

Wciągnął nozdrzami powietrze i demonstracyjnie otworzył lufcik. Zmieszana Strelkina zgasła papierosa.

– Przyrowadź no tu tego młodzieńca, Morrans! – krzyknął Debret, uchylając drzwi do pokoju inspektorów.

Jean Pebef wyglądał równocześnie na bezczelnego i przestraszonego.

– Oczekuję wyjaśnień, komisarzu!

– Wyjaśnień?! – Debret uśmiechnął się, co zazwyczaj nie wróżyło dla aresztowanych niczego dobrego. – Wyjaśnień, powiadasz?

– Tak – już mniej pewnym siebie tonem powiedział Pebef.

– Dobrze. Tak więc, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa męża pana kochanki.

– Której? – prostodusznie zapytał Pebef.

Strelkina roześmiała się.

– Luizy Kostagen – Debret z dezaprobatą spojrzał na praktykantkę. – Chodzi o morderstwo Leona Kostagena, męża Luizy. Czy coś panu mówi to imię?

– Czyżby mąż Luizy został zabity?

– Tak, wczoraj wieczorem.

– Wielka szkoda – w zamyśleniu odezwał się Pebef. – Biedaczka jest zapewne bardzo zdenerwowana? Wydaje mi się, że go kochała.

– Możliwe. Ale nie przeszkodziło jej to zostać pana kochanką.

Pebef uśmiechnął się i sięgnął po papierośnicę.

– Pozwoli pan?

– Nie pozwolę – Debret rzeczywiście czuł wstręt do tytoniowego dymu. – Kiedy Luiza została pana kochanką?

– Cóż, panie komisarzu! Nigdy nie była moją kochanką. Prawdę mówiąc, taka kobieta w ogóle nie jest w moim guście. Zbyt chuda, jak na

mój gust. – Tu spojrzął na Strelkinę i mrugnął do niej. – Preferuję takie kształty, jak u madame.

Debret spochmurniał.

– Niech pan posłucha, Pebef. Powiedziałem panu, że chodzi o zabójstwo. Potrzebne mi są rzetelne dane. W tym wypadku gotów jestem nie zwracać uwagi na niektóre okoliczności, których policja zazwyczaj nie lekceważy. W szczególności, obiecuję nie pytać, skąd pod siedzeniem pana samochodu pojawiła się ta drobnostka – Debret wyciągnął z biurka futerał z krokodylowej skóry. – Zatem, niech pan wybiera: albo całkowita szczerść, albo adres, gdzie pan zdobywa narkotyki.

Pebef pobladł. Po jego poprzedniej pewności siebie nie zostało ani śladu.

- Komisarzu, porozmawiajmy zatem szczerze.
- Jak długo zna pan Luizę Kostagen?
- Dwa lata.
- Była pana kochanką?
- Już powiedziałem, że nie, może mi pan wierzyć.
- Czy zaopatrywał ją pan w morfinę?
- Jak to panu powiedzieć?... Tak, zaopatrywałem.
- Kiedy widział ją pan ostatni raz?
- W sobotę.
- Gdzie?
- W knajpce „Głowa dzika”.
- Wyznaczyła panu spotkanie?
- Tak.
- Przywiózł jej pan morfinę?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie miałem jej. Nie dostałem.
- Umówiliście się na drugie spotkanie?
- Nie, powiedziała, że już nie potrzebuje morfiny.
- Wyjaśniła, dlaczego?
- Postanowiła rzucić.
- Czym była spowodowana ta decyzja?
- Nie wiem, nie powiedziała mi.
- Odwiózł ją pan do domu?

- Tak.
- Widział się pan z nią w niedzielę?
- Nie.
- Gdzie pan był w niedzielę wieczorem?
- O której godzinie?
- Między dziesiątą a jedenastą.
- W radiostacji. Prowadziłem audycję, sportowy przegląd tygodnia.
- Kiedy zaczęła się audycja?
- Punktualnie o dziesiątej.
- O której się skończyła?
- Około jedenastej.
- Co pan robił potem?
- Czekałem na zakończenie audycji.
- Po co?
- No, aż będzie wolna moja koleżanka, spikerka.
- Jak się nazywa?
- Misha. Emma Misha.
- Nocował pan u niej?
- Tak.
- O której wrócił pan do domu?
- Około dziewiątej rano. Emma o ósmej poszła do pracy.
- Kiedy zadzwonił do pana Kostagen?
- Wkrótce potem.
- Co panu powiedział?
- Powiedział, że Luiza jest bardzo roztrzęsiona i, że...
- Potrzebuje morfiny?
- Tak.
- I wyznaczył panu spotkanie na rogu?
- Tak.
- Spotykał się pan z nim wcześniej?
- Nie.
- Skąd miał pana numer telefonu i skąd wiedział, że zaopatruje pan Luizę w morfinę?
- Nie wiem. Może powiedziała mu o tym Luiza.
Debret odchylił się na oparcie fotela.

– Prawdopodobnie pan nie kłamie, Pebef. Zresztą sprawdzimy wszystko, co pan powiedział. Pozostaje wyjaśnić jedno: w sobotę wieczorem nie miał pan morfiny, a w poniedziałek rano już tak. Skąd pan ją wziął?

– Komisarzu! – Pebef rozłożył ręce. – Obiecał pan! I jak tu po czymś takim dać wiarę...

– Dobrze – Debret wstał. – Zawsze dotrzymuję słowa, ale uprzedzam, jeśli jeszcze raz podpadnie pan...

– Ja również dotrzymuję słowa. Proszę mi wierzyć, że skończyłem z tym raz na zawsze. Przecież chciałem tylko pomóc damie.

Debret uśmiechnął się.

– Miejmy nadzieję, Pebef, że tak jest.

– Wypuście mnie?

– Nie przed wieczorem. Musimy jeszcze sprawdzić pana alibi w sprawie zabójstwa.

– Parszywy typ! – wykrzyknęła Strelkina, kiedy Morrans odprowadził aresztowanego.

– Jeszcze nie najbardziej parszywy w całej tej historii – z zamyśleniem powiedział Debret.

Założył palto i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki futerał z morfiną.

– Wyjeżdża pan? – zapytała Strelkina.

– Tak. Teraz najwyższy czas przesłuchać Pierre'a Kostagena. Tylko myślę, że lepiej, jeśli zrobię to sam, bez pani towarzystwa. A pani w tym czasie niech poprosi Morransa, żeby sprawdził wszystko, co się tyczy alibi Pebefa.

9. POWÓD DO ROZMYŚLAŃ

Debret musiał długo dzwonić, zanim uchyliły się okute miedzią dębowe drzwi i starczy głos zapytał:

– Kto tam?

– Policja.

– Ach, to pan, komisarzu! Zaraz, chwileczkę, zdejmę łańcuch.

Drzwi przymknęły się ponownie. Rozległ się dźwięk zdejmowanego łańcucha, a potem w drzwiach pojawiła się zgarbiona postać Augustina.

– Proszę wybaczyć, komisarzu, ale teraz zamykam na wszystkie zamki, tym bardziej, że poza mną, w domu nikogo nie ma.

– A gdzie pana gospodarze?

– Pojechali do Pontoise, do swojej posiadłości. Tam znajduje się rodzinny grobowiec Kostagenów. Madame zażyczyła sobie, żeby monsieur Leon został tam przewieziony.

– Kiedy będzie pogrzeb?

– Jutro.

– I madame z monsieur Pierre'em wrócą do Paryża?

– Tak, jutro wieczorem.

Debret zastanowił się. Nie miał ochoty odkładać przesłuchania Pierre'a Kostagena. Kto wie, co może wydarzyć się w ciągu doby? Policjant prowadzący śledztwo, zawsze wybiera najodpowiedniejszy psychologiczny moment na przesłuchanie. W tym jego największa przewaga. Poza tym komisarza Debreta interesowały niektóre szczegóły, od których zależał cały dalszy przebieg śledztwa.

Zresztą, to można było wyjaśnić nawet pod nieobecność gospodarzy.

– Muszę jeszcze raz obejrzeć pokój zamordowanego.

– Proszę, komisarzu – lokaj odsunął się, robiąc Debretowi przejście.

W sypialni Leona Kostagena wszystko pozostało nietknięte. Nawet poduszka z zakrzepłą krwią zachowała ślad głowy zabitego.

– Pana inspektor kazał niczego stąd nie zabierać – wyjaśnił lokaj.

„Zuch Morrans!” – pomyślał Debret. – „Z tego chłopaka wyjdzie z czasem rozgarnięty kryminolog”.

– Dobrze – Debret usiadł w fotelu przy biurku. – Przeprowadzę rewizję. Zawołam pana w razie potrzeby.

– Jak pan sobie życzy. Tutaj jest dzwonek.

Jeszcze jakiś czas po odejściu lokaja Debret siedział w fotelu, zbierając myśli. Zatem, pierwszy szczegół: w żołądku zamordowanego wykryto alkohol. Sądząc po tym, że we krwi było go niewiele, Leon pił niedługo przed śmiercią. Gdzieś tutaj powinna być butelka i kieliszek. Albo chociaż butelka, jeśli założyć, że pił prosto z niej.

Debret starannie ostukał ściany w poszukiwaniu zamaskowanego barku, ale niczego nie znalazł. Szczegółowe sprawdzenie kominka również nie

przyniosło rezultatów.

Widać Leon nie pił w swoim pokoju. W takim razie pojawia się pytanie – gdzie?

Z domu tego dnia nie wychodził. Zatem są trzy możliwości: albo w jadalni lub bibliotece, albo u brata, albo u żony. Pierwszy wariant łatwo sprawdzić, trzeba tylko podpytać Augustina. Ale dziwne by było, gdyby sportowiec, poświęcający tyle uwagi treningom, zaczął ni z tego, ni z owego pić koniak szklankami. Oznaczałoby to, że były ku temu jakieś przyczyny.

Może silne zdenerwowanie, wywołane rozmową z bratem, albo żoną.

Jednak, jeżeli wierzyć Luizie, wieczorem nie widziała się z mężem. Hmm... jeśli wierzyć.

Debret podszedł do zamkniętych drzwi, prowadzących do sypialni madame Kostagen.

Człowiekowi, który czterdzieści lat przepracował w policji, nie tak trudno otworzyć prosty drzwiowy zamek.

Żadnego alkoholu w pokoju Luizy nie znalazł. Zresztą, butelkę mogli już zabrać. Debret otworzył szufladę toaletki, w której Luiza schowała rano strzykawkę. Ta wciąż jeszcze tam leżała, a obok niej – dokładnie taki sam futerał z krokodylowej skóry, jak ten, który Pebef miał zamiar przekazać Pierre'owi Kostagenowi.

Debret porównał zawartość obu futerałów. Nie było wątpliwości, ampułki tego samego rozmiaru, tylko w futerale Luizy pozostała tylko jedna, a ten, który skonfiskowali Pierre'owi, zawierał dwanaście sztuk.

Debret odłożył futerał Luizy na miejsce, wrócił do pokoju Leona i zamknął za sobą drzwi.

„No, cóż” – pomyślał Debret. – „Przejdźmy do sprawdzenia kolejnych wariantów”.

– Augustynie – powiedział, kiedy na dźwięk dzwonka lokaj pojawił się w drzwiach. – Gdzie macie w domu bar?

– Jeden w bibliotece, drugi w jadalni.

– Muszę je obejrzeć.

– Proszę bardzo, komisarzy.

Zawartości obu barków mógłby pozazdrościć najwytrawniejszy znawca alkoholi, jednak, ku zdziwieniu Debreta, ani jedna butelka nie była odkorkowana.

– Nikt tutaj nie pije?

Augustin wzruszył ramionami.

– Monsieur Leon nie pił, madame także, a goście u nas nie bywają.

– Jak to? No, a monsieur Pierre?

– Monsieur Pierre ma swój własny barek.

Debret mimo woli spał się. Zawsze tak się działo, kiedy wreszcie pojawiał się właściwy ślad.

– Proszę mnie zaprowadzić do pokoju monsieur Pierre’a – powiedział tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Wieloletnia praktyka nauczyła Debreta już po jednym spojrzeniu określić po wyglądzie pokoju charakter właściciela. Tym razem zatrzymał się w zdumieniu. Całe umeblowanie przypominało prędzej buduar kokoty, niż siedzibę kawalera.

Staroświeckie dwuosobowe łóże w głębokiej alkwie, oświetlonej cudacznym świecznikiem, duża liczba luster, toaletka obstawiona wszelkimi możliwymi przyborami, niedbale rzucony na oparciu fotela japoński szlafrok, sufit wymalowany we frywolne obrazy – wszystko to zupełnie nie harmonizowało z wyglądem żalosnego garbusa, jakim pozostał Pierre w pamięci komisarza.

– Oto bar – powiedział Augustin. – Tylko że wydaje mi się, że jest zawsze zamknięty.

Debret podszedł do niewielkiej szafy z czarnego drewna, ozdobionej figurkami z kości słoniowej. Podłubał przy drzwiach i szafa otworzyła się.

Pośród wielu napoczętych butelek była też opróżniona butelka starego koniaku i dwa kieliszki, z których, sądząc po wszystkim, niedawno pito.

Debret już chciał zatrzaskać drzwiczki, kiedy jego palce namacały na wewnętrznej stronie dziwną wypustkę. Nacisnął na nią.

Cieniutka ścianka zsunęła się w dół, odsłaniając fotografię nagiej Luizy Kostagen.

10. NIEOCZEKIWANY ZWROT WYDARZEŃ

Człowiekowi, który przeprowadza śledztwo w sprawie przestępstwa, często przychodzi szukać wewnętrznego powiązania między faktami, zdawałoby się, z zewnątrz nieporównywalnymi. Debret w takich przypadkach zestawiał dane grupami, w których w pierwszej kolejności należałoby wykluczyć sprzeczności. Tak więc i teraz wziął arkusz papieru i zanotował wszystko, co podlegało analizie:

Dane kryminalne:

1. Telefoniczne uprzedzenie o planowanym zamachu.
2. Zabójca wchodzi przez piwnicę na węgiel.
3. Zabójca zna tajemne przejście.
4. Zabójca nie przynosi broni ze sobą, tylko wykorzystuje czekan, zabrany z pokoju Leona.
5. Potwierdzenie alibi Pebefa.
6. Potwierdzenie alibi służby dochodzącej.
7. Zabójca nie wziął portfela Leona.
8. Potwierdzone laboratoryjnie, że odciski palców na jednym z pucharów w barze Pierre'a, należą do Leona.

Dane o rodzinie Kostagenów:

1. Zamknięte drzwi sypialni małżonków (w ciągu roku).
2. Pebef dostarcza Luizie morfinę.
3. Luiza postanawia nie korzystać więcej z usług Pebefa.
4. Pierre zamawia u Pebefa morfinę dla Luizy.
5. Pebef uważa, że Luiza kochała męża.
6. Fotografia Luizy u Pierre'a.
7. Camilla zapewnia, że bracia bardzo się przyjaźnili.
8. Leon przed śmiercią pije koniak z Pierre'em.
9. Pierre nie dziedziczy majątku Leona.
10. Luiza przyjmuje na pokojówkę Camillę, winowajczynię okaleczenia Pierre'a.
11. Pierre bardzo dba o swój wygląd (kosmetyka).

Każdy policyjny inspektor skoncentrowałby swoją uwagę na lewej kolumnie, gdzie znajdowało się wszystko, co bezpośrednio odnosiło się do

zabójstwa.

Jednak Debreta bardziej interesowała prawa. Tam znajdowały się pewne psychologiczne sprzeczności, a komisarza w pierwszej kolejności interesowało zagadkowe życie mieszkańców staroświeckiej willi. W stosunkach pomiędzy nimi dawało się wyczuć jakąś ukrytą tragedię, która, być może, była kluczem do rozwiązania zagadki zbrodni.

Ponad dwie godziny, pod pełnym podziwem wzrokiem Strelkiny, studiował obie kolumny. Potem wsunął zapisaną kartkę do kieszeni i w milczeniu założył palto.

– Jedzie pan do domu? – zapytała praktykantka.

– Tak – odburknął Debret i skierował się do drzwi. Na bulwarze zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Usadowiwszy się w kącie samochodu, próbował wyobrazić sobie zagadkowe relacje łączące te trzy osoby. Przystojny Leon, sportowiec i zapewne bożyszczce wielu kobiet; narkomanka Luiza; żaloszny kaleka Pierre. Zbierają się na obiad w jadalni, zastawionej starymi, dębowymi meblami. O czym rozmawiają w czasie obiadu? Czy w ogóle rozmawiają? Może w milczeniu odbywają ten przykry obowiązek, dopóki służy im Augustin, tak samo stary, jak cała willa, a potem rozchodzą się do swoich pokoi?

Jak spędzają wieczór? W domu nie ma ani radia, ani telewizora. Książki w bibliotece wyglądają tak, jakby od dawna nikt ich nie dotykał. Luiza często wyjeżdża z jakimś znajomym, Leon zaś do klubu sportowego. Zostaje Pierre, sam na sam ze swoim barem i tajemną szufladą z fotografią nagiej Luizy. Á propos, jak ona do niego trafiła? Podobne pamiątki dają sobie tylko kochankowie, a trudno sobie wprost wyobrazić, żeby taka kobieta...

– Dojechaliśmy, komisarzu!

Debret zmarszczył brwi. Bardzo trudno jest pracować, kiedy każdy taksówkarz zna cię osobiście.

O dziewiątej wieczorem Debret zajął punkt obserwacyjny na skwerze naprzeciwko willi Kostagenów.

Nie musiał długo czekać. Wkrótce pod dom podjechał czarny panhard, z którego wysiedli Pierre i Luiza w towarzystwie Camilli. Weszli do domu, a szofer odprowadził samochód do garażu.

W rezydencji zapaliło się kilka okien, ale natychmiast gęste zasłony ukryły przed Debretem wszystko, co się za nimi działo.

Mżył deszcz, ale Debret nie porzucił swojego stanowiska, próbując odgadnąć, co też dzieje się teraz w domu. Podświadomie czuł niepokój. Miał przeczucie, że śmierć nie zebrała jeszcze całego swojego żniwa...

Wrócił do domu mokry i przemarznięty.

Madame Debret już spała.

Debret zrzucił z siebie przemoknięte ubranie, napełnił wannę i z rozkoszą zanurzył się w gorącej wodzie.

Zanim położył się do łóżka, długo oglądał kartkę z danymi śledztwa. Ostatnia notatka, która zrobił, zanim zgasił światło, brzmiała:

Sporządzić nakaz aresztowania Pierre'a Kostagena!

Madame Debret nie darmo była żoną komisarza policji kryminalnej.

Wstawszy rano, żeby przygotować mężowi dietetyczne śniadanie, szybko wyciągnęła wnioski z wczorajszego wieczoru. Brudna bielizna na podłodze w łazience i nietknięta kolacja świadczyły o ciężkim dniu, jaki stał się udziałem komisarza.

Dlatego postanowiła, że pozwoli mu się wyspać i wyłączyła dzwonek budzika.

Mimo to Debretowi nie udało się wyspać. Około dziewiątej nad uchem zadzwonił mu telefon. Zdenerwowany głos Morransa oznajmił, że Pierre Kostagen został zabity. Samochód z Dukasem został już wysłany po komisarza. Wszyscy pozostali są już na miejscu przestępstwa.

Debret zaklął i zaczął ubierać się szybko. Po kilku minutach zakładał jeszcze wilgotne od wczoraj, palto i kapelusz.

Dukas w samochodzie już czekał przed bramą. Debret usiadł obok niego.

– No, chłopcze, pędź ile sił w motorze!

W pokoju zamordowanego było dużo ludzi. Pierre Kostagen siedział w fotelu, spoglądając szklanymi oczami na fotografię Luizy. Spuchnięty język wystawał mu z ust, co wywoływało wrażenie, że nieboszczyk drażni swoją prześliczną bratową. Jego szyję oplatał jedwabny szal, skręcony na podobieństwo sznura. U nóg zamordowanego lkała Camilla. Fotograf ustawiał trójnogi aparat, wybierając najwygodniejszy punkt widzenia. W kącie, na biurku, siedział oszalały z żalu Augustin.

Morrans przerwał rozmowę z młodym człowiekiem w eleganckim szarym garniturze i podszedł do Debreta.

– Niczego nie ruszaliśmy do pana przyjazdu.

– A to kto?

– Doktor Goyard. Od wczoraj zastępuję Malinę.

Młody człowiek w szarym garniturze uklonił się grzecznie. W tym momencie ktoś z tyłu trącił łokieć komisarza.

– Co za potworność, komisarzu! – po policzkach Strelkiny toczyły się łzy. – Nie oszczędzili nawet kaleki!

– A, i pani tutaj – powiedział Debret bez szczególnego entuzjazmu.

– A jak inaczej? – Strelkina z obrazą wyduła wargi. – Przecież się umówiliśmy...

– Dobrze! – Debret nie mógł ścierpieć kobiecych fochów i łez. – Niech pani zostanie, jeśli pani chce. Doktorze, proszę zacząć.

Lekarz zdjął z szyi zabitego jedwabny sznur i uważnie obejrzał siniec, potem przez lupę zbadał oczy i zwrócił się do komisarza:

– Uduszony wczoraj wieczorem.

Debret wziął do ręki szarfę, z której unosił się słaby zapach perfum.

– Do kogo należy ta rzecz, Camillo?

– Do kogo? – starucha podniosła na Debreta pełen nienawiści wzrok. – Do kogo może należeć, jak nie do tej żmii – tu wskazała koślawym palcem na fotografię Luizy. – Tej wilczycy, tej... – Głośny wybuch płaczu przerwał jej tyradę.

– Gdzie jest teraz madame Kostagen?

– W swojej sypialni – odpowiedział lokaj. – Poinformowałem ją o wszystkim, ale madame odmówiła wyjścia ze swojego pokoju, powiedziała... – Augustin podniósł chusteczkę do oczu. – Pomyśleć tylko, co teraz z nami będzie!

– Co powiedziała, Augustynie?

– Powiedziała, że... że w tym domu jest zbyt wiele nieboszczyków... że teraz zabierze rzeczy i odejdzie stąd tam, gdzie nigdy więcej nie usłyszy o przeklętej rodzinie Kostagenów.

– Powiedziała, gdzie zamierza wyjechać?

– Nie.

– Dobrze! Chodźmy, Morrans – Debret skierował się do drzwi.

Strelkina poszła za nimi. Debret musiał dwa razy zastukać do drzwi, zanim zabrzmiał za nimi rozmarzony, a może senny głos Luizy:

– Kto tam?

– Komisarz Debret.

– O, Boże! Zostawcie mnie kiedyś w spokoju?! Proszę poczekać, komisarzu, jestem nieubrana.

Debret odczekał kilka minut i ponownie zapukał do drzwi.

Odpowiedzi nie było. Wtedy otworzył drzwi.

Luiza leżała na łóżku. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, co się stało.

– Doktora! – ryknął Debret. Strelkina rzuciła się wypełnić jego rozkaz.

Doktor Goyard wyciągnął strzykawkę z ręki Luizy, spojrzał w jej źrenice i powąchał ampułkę, którą wciąż jeszcze zaciskała w lewej ręce.

– Cyjanek potasu. Już za późno na działanie.

Debret wziął ze stołu futerał z krokodylej skóry. Był pusty.

Komisarz zdjął czapkę.

– Idziemy, Morrans. Policja nie ma tu już nic do roboty. Sprawiedliwość dokonała się!

– Jaka sprawiedliwość? – zapytała Strelkina.

– Istnieje Wyższy Sędzia. Prowadzi on spis naszych postępów i karze bezlitośnie.

– Wiara w boga świadczy o prymitywności myślenia – powiedziała Strelkina, surowo spoglądając zza grubych szkielec. – Nigdy jeszcze nikomu, na podstawie idealistycznych koncepcji, nie udało się...

Debret nie dosłuchał jej do końca. Pożegnał lekarza gestem dłoni i skierował się do drzwi.

11. RÓŻNE SYSTEMY, RÓŻNE PUNKTY WIDZENIA

Następnego ranka Debret był tak pogrążony w swoich myślach, że nawet nie zauważył nieobecności Strelkiny. Doświadczał uczucia szczęścia, jakie zapewne znane jest tylko muzykowi wirtuozowi po udanym koncercie. Tak... tam, gdzie wymagana była głęboka analiza ludzkich namiętności, komisarz Debret nie miał sobie równych. Martwiło go tylko to, że w

suchym raporcie o rozwiązaniu sprawy Kostagenów trzeba będzie powstrzymać się od wyrafinowanego języka, opisującego zawilosci ludzkich namiętności. Dowództwo takich rzeczy nie pochwała, a szkoda... Debret miał wielką ochotę podzielić się z kimś rezultatem napiętej pracy myśli, która doprowadziła go do sukcesu. Wyciągnął z szuflady biurka fajkę i nabił ją po brzegi swoim ulubionym tytoniem „Cherry Blend”. Do diabła z wszystkimi poradami lekarzy! Doktor Malinda polował na antylopy gdzieś w Afryce, a inspektorzy – niezawodne chłopaki, na pewno nie doniosą na niego żonie.

– Dzień dobry, komisarzy!

Debret uniósł głowę. W drzwiach stała zarumieniona od szybkiego chodu Strelkina.

– Dzień dobry.

– Wie pan, co za nieprzyjemne zdarzenie?! – Strelkina zdjęła palto i usiadła za swoim stolikiem. – Otrzymałam telegram. Mój ojciec zachorował i będę musiała wrócić do domu. Za trzy godziny mam samolot. Już kupiłam bilet.

– Bardzo mi przykro! – uprzejmie odpowiedział Debret. – Mam nadzieję, że choroba pani ojca, to nic poważnego?

– Trudno powiedzieć, ma chore serce.

Debret ponownie nabił fajkę.

– O, znowu pan pali?! – uśmiechnęła się Strelkina. – Bardzo mnie to cieszy.

– Jak to? Dlaczego, właściwie, cieszy to panią?

– Po pierwsze, oznacza to, że nie męczą już pana bóle żołądka, a po drugie... – Strelkina zawahała się. – A po drugie, chciałam zostawić panu mały prezent. Na pamiątkę wspólnej pracy. A gdyby zakaz doktora Malindy cały czas był w mocy, taki podarek byłby, co najmniej, nietaktowny. A teraz... – wyciągnęła z torebki fajkę. – A teraz, jest w sam raz.

– Jestem bardzo poruszony pani atencją – Debret wziął fajkę. – Nie znam tej firmy. Co oznaczają trzy litery ‘F’?

– To robota Fedorowa, znamienitego leningradzkiego mistrza. Nawet Simenon pali jego fajki.

– Jeszcze raz bardzo pani dziękuję – Debret był ekspertem od fajek. Od pierwszego zaciągnięcia poczuł, że ta przeznaczona jest dla najbardziej wymagających palaczy. – Doskonały smak!

– Cieszę się, że się panu spodobała. Szkoda, że wszystko tak się nieszczęśliwie składa i jestem zmuszona wyjechać, zanim to koszarne przestępstwo zostanie wyjaśnione.

– Myli się pani – dobrodusznie uśmiechnął się Debret. – Już zostało wyjaśnione.

– Naprawdę?! – Strelkina aż poderwała się z miejsca przejęta. – Błagam, komisarzu, niech mi pan opowie o wszystkim ze szczegółami; to ma ogromne znaczenie dla mojej dysertacji!

– No cóż – Debret odchylił się na oparcie fotela, próbując odtworzyć cały przebieg rozumowania. – Zatem musimy zacząć od bardzo odległych czasów, kiedy to w rodzinie Kostagenów pojawili się na świecie dwaj czarujący bliźniacy, Pierre i Leon. Zdawało się, że los zrobił wszystko, żeby byli szczęśliwi. Ale oto do domu wkrada się pierwsze nieszczęście. Pięciomiesięczny Pierre wyslizguje się z rąk mamki i na zawsze zostaje kaleką. Pierre i Leon są nierozłączni; razem się bawią, uczą, osiągają wiek męski. I przez cały ten czas Pierre ma przed oczami brata – przystojnego, mającego szczęście we wszystkim, kochanego przez dziewczęta.

Co chwilę Pierre porównuje się z Leonem. Co przedstawia sobą on, żałosny, garbaty karzełek, obok pogromcy serc, sportowca, młodego lwa salonowego? Nic dziwnego, że jego dusza popada w czarną otchłań zawiści, która przenosi się na brata.

Nikom nie mówi o swoich odczuciach. Przeciwnie, na wszystkich wokół stara się sprawiać wrażenie, że duszę by oddał za Leona. I oto Leon żeni się z Luizą; piękną, czarującą, ale bardzo lekkomyślną dziewczyną. Wszyscy troje mieszkają pod jednym dachem i w bracie Leona budzi się namiętność do jego żony. Tymczasem między małżonkami dochodzi do sprzeczki. Luiza uzależniła się od narkotyków.

Leon, człowiek o spartańskich zasadach, nie pijący nawet wina, nie może pogodzić się z uzależnieniem żony. Ta zaś nie jest w stanie odciąć się od zgubnego przyzwyczajenia. Sprawa faktycznie doprowadza do rozłamu. Drzwi pomiędzy sypialniami małżonków zostają zamknięte i każde z nich żyje własnym życiem. Odchodzący od zmysłów z namiętności Pierre postanawia wykorzystać tę sytuację. Jedynym człowiekiem, który wie o jego uczuciach jest Camilla. Pierre'owi udaje się uczynić z niej pokojówkę Luizy. To ona zdobywa dla niego intymną fotografię swojej pani. Rozumie pani zatem podstawę konfliktu?

– Oh, oczywiście! Proszę, niech pan kontynuuje! – Strelkina błagalnie złożyła ręce jak do modlitwy. – To takie interesujące!

– Dobrze – Debret jeszcze raz nabił fajkę i zapalił. – Mniej więcej w tym czasie w umyśle Pierre’a lęgnie się zamiar zabicia brata. Wszystko przygotowuje z iście diabelską dokładnością. Na początek dzwoni na policję i informuje, że ktoś ma zamiar podłożyć bombę w rezydencji.

– A to po co? – zdziwiła się Strelkina.

– Z powodów czysto psychologicznych. W ten sposób tworzy pozory zagrożenia, wiszącego nad domem z zewnątrz. Oczywiście jest, że po morderstwie Leona policja powiąże ten fakt z bezpodstawnym wybuchem i nie będzie szukać zabójcy wśród mieszkańców domu, którzy sami przypadkowo uniknęli niebezpieczeństwa. Nikt przecież sam sobie bomby nie podłoży, prawda?

– Oczywiście! – z pewnością w głosie potwierdziła Strelkina. – Przecież, jeśli bomba rzeczywiście zostałaby podłożona...

– W tym właśnie rzecz. Potem przywołuje Leona do swojego pokoju i oznajmia mu, że Luiza ma kochanka; to handlarz narkotykami, Jean Pebef. Ta wiadomość działa na Leona paraliżująco. Doświadcza skomplikowanych uczuć. Pojawia się i stara miłość do żony, i gorycz z powodu jej narkomanii, i pogarda dla przeciwnika. Pierre doskonale wyczuwa stan jego ducha i proponuje bratu, by coś wypić. Leon, nie przywykły do alkoholu, szybko się upija. Pierre odprowadza Leona do jego pokoju, pomaga położyć się do łóżka, czeka, aż ten zaśnie i ciosem czekana rozbija mu głowę. I tutaj wszystko zostało przewidziane, aż do rękawiczek, żeby nie zostawić odcisków palców. Potem ściąga buty, przechodzi w samych skarpetkach piwnicę na węgiel, wraca z powrotem, pozostawia zauważalne ślady na podłodze, zakłada buty i idzie do siebie.

– A to dopiero gadzina! – wykrzyknęła Strelkina.

– Mało powiedziane – gadzina; to najokrutniejszy i najbardziej opanowany ze wszystkich przestępców, z jakimi miałem do czynienia. Kiedy zabójstwo zostało ujawnione, Pierre kontynuuje intrygę. Oszołomiona śmiercią męża Luiza w porywie szczerości opowiada mu, że poprzedniego dnia podjęła decyzję odstawienia morfiny, żeby znowu zdobyć miłość męża. Pebef powiedział prawdę: Luiza rzeczywiście zrezygnowała z jego usług. Pierre rozumie, że wstrząs, jaki przeżyła Luiza

znowu popchnie ją do morfiny. W czasie, gdy przesłuchiwaaliśmy madame Kostagen, Pierre zadzwonił do Pebefa i zamówił u niego ampułki.

Z ich pomocą miał nadzieję pomanipulować wolą nieszczęsnej kobiety. Wieczorem wybierają się do Pontoise na pogrzeb Leona. Mogiła brata jeszcze nie została zasypana, a Pierre już przyznaje się Luizie do swojej namiętności. Kobiecie zdaje się to bluźnierstwem.

Z oburzeniem młoda wdowa odrzuciła nikczemne roszczenia garbatego rozpustnika. Wtedy w głowie Pierre'a pojawia się nowy, diabelski plan. Jeśli Luiza nie może należeć do niego, powinna umrzeć. Po powrocie do Paryża, podmienia jedyną ampułę w futerale z krokodyłowej skóry na ampułę z cyjankiem potasu. Wyrachowanie jest bardzo wytrawne. Wieczorem oznajmia jej, że zabił Leona, przewidując, że wstrząśnięta tą informacją Luiza, niezwłocznie zapragnie wziąć dawkę morfiny i wstrzyknie sobie śmiertelną dawkę trucizny. W tym wypadku fakt samobójstwa nie wywoła wątpliwości nawet u najbardziej doświadczonego śledczego.

Jednak przeliczył się. Rozsierdzona Luiza najpierw udusiła własnym szalem zabójcę męża, a dopiero potem chwyciła za strzykawkę, chcąc ukoić nerwy przed przesłuchaniem, na którym bez tej nieszczęsnej ampuły zapewne otwarcie by o wszystkim powiedziała. Ot i wszystko! Jak pani widzi, psychologiczna metoda ujawnienia zbrodni, jeszcze raz potwierdziła swoją słuszność.

Strelkina klasnęła.

– Zdumiewające! Jaki dokładny psychologiczny zarys! Przecież mamy tu gotową powieść detektywistyczną, napisaną zgodnie z najlepszymi tradycjami gatunku!

– A jakże! – z zadowoleniem uśmiechnął się Debret. Zaczął już odczuwać sympatię do tej praktykantki, takiej skromnej i równocześnie pełnej entuzjazmu. – Sądzę, że gdy tylko dane ze śledztwa zostaną ogłoszone, wielu pisarzy weźmie się za ten temat. A pani mówi: fantastyka! Cóż w tej sprawie mógłby dodać fantasta?

– Bardzo dużo – uśmiechnęła się Strelkina. – Przede wszystkim inne rozwiązanie fabuły. Mówiłam już panu, że cechą fantastyki jest rozumowanie oparte na paradoksie.

– A jaki tu może być paradoks?

– Zaraz wyjaśnię – kobieta wyjęła z torebki kilka fototelegramów, zapisanych gęstym pismem. – Tutaj mamy gotową fabułę tejże historii. Dzisiaj dostałam ją z Leningradu.

– Jak to?! – roześmiał się Debret. – Szybko pracują pisarze w naszych czasach! Boi się pani, żeby nie przechwycili tematu? Może już sprzedali za zaliczkę nową powieść jakiemuś wydawnictwu? Kim jest pani współautor?

– Nie, komisarzu. Nie mam zamiaru pisać powieści. Tylko materiał do dysertacji. Co zaś się tyczy współautora, to... komputer.

– Tak... – Debret pytająco popatrzył na Strelkinę. – Zatem wprowadziła mnie pani w błąd, twierdząc, że nie ma pani nic wspólnego z kryminalistyką. Uwierzyłem pani, a tymczasem...

– O nie! Przysięgam, że wszystko to czysta prawda. Maszyna nie przeprowadziła analizy kryminalistycznej, a literacką, na styku fantastyki i kryminału. Widzi pan, napisane jest tutaj: „Rozwiązanie według uogólnionego algorytmu”.

– Nie rozumiem.

– Wszystko jest bardzo proste. Każdy pisarz ma swoją metodę twórczą. I to właśnie dzięki niej nigdy nie pomyli pan, powiedzmy dzieła Simeona i Agaty Christie. Prawda?

– Przypuśćmy, że tak. No i co z tego?

– Jednak na równi z tymi różnicami istnieją i niejaki podobne sposoby, charakterystyczne dla całego tego gatunku literatury. Udało mi się wyodrębnić podstawowe metody rozwiązywania fabularnych zadań w kryminałach. To samo wykonałam w przypadku dzieł fantastycznych. Metody te, zwane algorytmami, wprowadzono do pamięci operacyjnej komputera i teraz może on przekształcać wszelkie wyjściowe sytuacje albo w fabułę kryminalną, albo w fantastyczną. Co zaś tyczy się sprawy Kostagenów, to fabularne rozwiązanie zostało znalezione równocześnie według obu tych algorytmów. Potrójne zabójstwo, leżące u podstaw kryminału, z rozwiązaniem zbudowanym na paradoksie, czyli metodzie najczęściej stosowanej w fantastyce. Wczoraj przez telefon przekazałam do uniwersyteckiego centrum wyliczeniowego faktyczne dane, a dzisiaj otrzymałam gotową fabułę. Powtarzam, to nie jest kryminalistyczna rozprawa, dlatego niech nie dziwi pana, że rozwiązanie, zaproponowane przez komputer, nieco różni się od błyskotliwie przeprowadzonego przez

pana śledztwa. Jakkolwiek by było, pana metoda, to czysty Simenon, a to tutaj, to jakaś hybryda.

Debret nie najlepiej zrozumiał ten literaturoznawczy wykład, jednak zapewnienia Strelkiny, że nikt nie próbował przeprowadzić kryminalistycznej analizy na komputerze i tym samym podać w wątpliwość jego psychologicznych metod, uspokoiły go.

– Jakie jest rozwiązanie w pani fabule? – zapytał, raczej z uprzejmości, niż z ciekawości. Strelkina zmieszana się.

– Nie trzeba chyba udowadniać, że na zbiegu tych dwóch tendencji, maszyna wygenerowała wielce uproszczony schemat fabuły. Rzecz w tym, że ona... krótko mówiąc, zaproponowany został taki wariant, w którym komisarz prowadzi dochodzenie w sprawie trzech zabójstw, których sam dokonał.

– Co?! – szyja komisarza Debreta przybrała pąsowy odcień karmazynu, a oczy gotowe były niemal wyskoczyć z orbit. – Co pani powiedziała?! Jak pani mogła pozwolić sobie na coś takiego?!

– Proszę się uspokoić, komisarzu! – Strelkina lekko dotknęła palcem jego rękawa. – Przecież rozmawiamy tu o czysto literackich wariantach tematu, które w żaden sposób nie mogą rzucić cienia na pana nieposzlakowaną reputację. Jeśli pan woli, postawimy na pana miejscu literackiego bohatera, chociażby... komisarza Maigreta.

– No, to inna sprawa – z ulgą odetchnął Debret. – A ja już, prawdę mówiąc, myślałem, że pani...

– W żadnym wypadku nie ośmieliłabym się podać w wątpliwość rezultatów śledztwa – przerwała mu Strelkina. – Przecież chodzi tylko o to, co można zrobić z tej historii.

– Niech pani mówi – Debret odchylił się na oparcie fotela i nabił fajkę. – Ciekawe, co tam jeszcze można wymyślić.

– Wspaniale! Zatem, przede wszystkim wyjdziemy od psychologicznych portretów, tak mistrzowsko przez pana wyrysowanych. Doskonale odzwierciedlają one moralny rozkład wierzchołka burżuazyjnego społeczeństwa.

Debret chciał coś powiedzieć, ale Strelkina powstrzymała go gestem.

– O, rozumiem, że służba w policji do czegoś zobowiązuje... Zresztą, nie o to chodzi. Wydaje mi się, że w analizie postępów Pierre'a daje się odczuć przesadne zauroczenie freudyzmem. Kompleks

niedowartościowania, libido i tym podobne. Niekoniecznie musi służyć to motywom przestępstwa.

– Cóż zatem?

– Drapieżne bodźce, właściwe dla kapitalistycznego świata.

– Bzdura! – z przekonaniem powiedział Debret. – Pierre nie mógł dziedziczyć kapitału Leona.

– Tak, ale mogła go dziedziczyć żona doktora Malindy, jedyna krewna Kostagenów.

– No i co z tego?

– Z tego wynika nowe fabularne rozwiązanie, a wygląda ono tak. Pewnego dnia doktor... będziemy nazywać go Lolindą, spotyka się w bufecie z komisarzem... Maigretem i niezauważalnie dosypuje mu do kawy niewielką dawkę trucizny wystarczającą tylko do tego, żeby po kilku godzinach wywołać ból żołądka. Komisarz wraca do swojego biura, a Lolinda wyrusza na Montmartre i pod postacią nieznanego informuje o przygotowywanym zamachu na willę Kostagenów. Ważne było dla niego, żeby komisarz bardzo dokładnie przejrzał wszystkie zakątki willi. Naturalnie Maigret niczego tam nie znajduje, ponieważ żadnej bomby nie ma. Nocą trucizna zaczyna działać i przerażona żona komisarza wzywa do niego doktora Lolindę – rodzinnego lekarza Maigreta.

Lolinda wie, że komisarz jest namiętym palaczem. Zabrania mu palić, mając całkowitą pewność, że komisarz tego nałogu rzucić nie zdoła. Następnego dnia zastaje komisarza z fajką w zębach i namawia go do poddania się hipnozie. W czasie hipnotycznego seansu, wmawia Maigretowi plan zabójstwa Leona. Leon, to tylko pierwsza ofiara w całym tym łańcuchu przestępstw, który wymyślił Lolinda. Dlatego trzeba odsunąć wszelkie podejrzenia od mieszkańców willi. Przecież, jeśli ich aresztują, o wiele trudniej będzie zrealizować cały plan. W związku z tym, komisarz musi bezwzględnie przejść przez piwnicę na węgiel w samych skarpetkach i pozostawić ślady, świadczące o tym, że przestępca przyszedł z zewnątrz. Przestępstwa dokonano zgodnie z planem Lolindy, ale komisarz niczego nie pamięta, ponieważ działał w stanie hipnotycznego transu. Tej nocy Lolinda zabezpiecza sobie alibi, zgniatając błotnik policyjnego samochodu. Razem z żoną, w momencie przestępstwa, znajduje się w rejonie policyjnego posterunku. Trzeba przyznać, że Lolinda ma szczęście. Jeszcze nie

wymyślił ostatecznego planu zabójstwa Pierre'a i Luizy, ale sprzyjające okoliczności same pchają mu się do rąk.

Maigret przekazuje mu do analizy futerał z ampułkami, które Pierre zamówił u Pebefa dla Luizy. Lekarz przestępca podmienia jedną ampułkę na drugą inną; z cyjankiem potasu. Tego dnia Maigret poddaje się nowemu hipnotycznemu seansowi. Wmawia mu, żeby dostał się do pokoju Luizy i podmienił ampuły, a równocześnie, żeby zdobył szal Luizy. Tym szalem zadusi potem Pierre'a. Maigret posłusznie wyrusza do willi Kostagenów, kiedy nie ma tam nikogo, oprócz Augustina...

– Skąd pani wie?... Hmm... Dlaczego pani maszyna zakłada, że Maigret postąpił właśnie tak? – zapytał Debret schrypniętym głosem.

– Można się tego domyślić chociażby po tym, że wychodząc z gabinetu, zabrał ze sobą futerał z ampułkami, znajdującymi się w rękach Lolindy. Zatem ampuła została podmieniona, a szal wykradzony. Późnym wieczorem, idąc za namową Lolindy, Maigret znowu dostaje się do willi przez piwnicę na węgiel. Tym razem ważne jest, żeby nie zostawić żadnych śladów. Dlatego znowu przechodzi przez piwnicę w skarpetkach, ale zakłada buty w przedsionku tajemnych drzwi. Zresztą, teraz policja nie będzie szukała śladów, ponieważ są wyraźne poszlaki przeciwko Luizie – jej szal.

Pierre uduszony. Maigret znowu zdejmuje buty przed wejściem do piwnicy i zakłada je po wyjściu na ulicę. To wszystko. Komisarz nic nie wie i nie pamięta, po prostu kazano mu o wszystkim zapomnieć, dlatego z właściwą mu błyskotliwością buduje całkowicie fałszywą, ale w pełni prawdopodobną hipotezę. Tymczasem Lolinda ma znowu niepodważalne alibi. Razem z żoną od dwóch dni jest już w Afryce. Podoba się panu taki wariant?

– Bzdura! – powiedział Debret. – Pani wariant przeczy podstawom kryminalistyki. Nigdy w stanie hipnozy człowiek nie może dokonać przestępstwa, jeśli jest to sprzeczne z jego moralnymi filarami. Napisano na ten temat wiele artykułów.

– Słusznie! – potwierdziła Strelkina. – Jednak jest jeden wyjątek.

– Jaki?

– Kiedy człowiek ten jest policyjnym komisarzem, zwolennikiem psychologicznej metody wyjaśniania przestępstw. Przecież tak często musi w myślach stawiać siebie na miejscu przestępcy. Och! – spojrzała na

zegarek. – Chyba spóźnię się na samolot! Wszystkiego dobrego, komisarzu, dziękuję za wszystko!

– Nie ma za co – odpowiedział Debret. Począł aż zamknęły się za nią drzwi, przysunął do siebie telefon i wybrał numer.

– Halo!

– Mer Seval?

– Tak, to ja.

– Mówi komisarz Debret. Może mi pan powiedzieć, kto jest teraz ewentualnym spadkobiercą majątku Kostagenów?

– Myślę, że mogę. Prawdopodobnie, jedna z dalszych krewnych, madame Malinda. Innych spadkobierców raczej nie ma.

Debret odłożył słuchawkę i zamyślił się.

EPILOG

Po dwóch tygodniach madame Debret skarżyła się sąsiadce:

– Nie mogę zrozumieć, co się dzieje z moim mężem. Od chwili, kiedy przeszedł na emeryturę, słowa z niego nie wydusisz. Siedzi cały dzień i nad czymś rozmyśla; pali jedną fajkę za drugą, zaczął mówić we śnie. Wczoraj nad ranem, jak nie wrzaśnie: „To po kiego diabła on pił z Pierre'em?!”. Rozbudziłam go, pytam, co mu się śniło; nie odpowiada. Dobrze chociaż, że brzuch już go nie boli.

Sąsiadka współczująco pokiwała głową.

– Tak to z nimi bywa. Mój też, kiedy odszedł na emeryturę, miejsca sobie nie mógł znaleźć, a teraz nic, przyzwyczał się.

– Może i przywyknie – powiedziała zamyślona madame Debret. – Przecież chcieliśmy kupić domek nad brzegiem Loary. A teraz boję się nawet o tym wspomnieć. Przepracował się w tej swojej policji, w końcu służba nie należała do lekkich. Nie uwierzy pani, niedawno dwa razy wrócił z pracy w takim stanie, że nawet skarpetki miał upačkane węglem gorzej niż kominiarz, słowo honoru!

Przełożyła Iwona Czapla

POWIEŚĆ BEZ BOHATERA

PROLOG

Padający nad ranem deszcz zmienił się do wieczora w ciężkie płaty śniegu, które topniały w locie. Ostre porywy wiatru strącały z okien wielkie krople, pozostawiające zacieki na szkle. Masywne fotele w płóciennych pokrowcach, okrągły stół przykryty pluszowym obrusem z frędzlami, pomarańczowy parkiet, dwie donice z fikusami – w pochmurnym świetle zmroku cała ta prosta przytulność szpitalnego salonu zdawała się jeszcze bardziej przygnębiająca.

Starsza siostra w wykrochmalonym białym fartuchu ostrożnie uchyliła drzwi, ale ujrawszy drzemiącego w fotelu Dyrantowicza, zatrzymała się na progu.

Akademik siedział w niewygodnej pozycji, z głową odrzuconą na twarde oparcie, posapując we śnie. Wciąż był jeszcze bardzo przystojny, pomimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat. Grube, może trochę zbyt regularne, rysy twarzy, siwe, krótko ostrzyżone na języka włosy i niedbała elegancja detali czyniła go podobnym bardziej do znanego aktora, niż do uczonego.

Przedstawiciel Komitetu, Fetiukow, zamknął książkę w barwnej, lakierowanej okładce i zwrócił się do siostry.

– Jakież wieści?

– Nie wiem. Stąd jeszcze nikt nie wychodził.

Fetiukow zmarszczył brwi.

– Proszę zapalić światło!

Siostra niezdecydowanie spojrzała na Dyrantowicza, pstryknęła włącznikiem i wyszła. Dyrantowicz otworzył oczy.

– Która godzina? – zapytał.

– Za kwadrans szósta – odpowiedział Fetiukow.

Siedzący za biurkiem Smaryga skończył notatkę w kratkowanym zeszytcie i podniósł głowę.

– Pora podjąć decyzję!

Nikt nie odpowiedział. Smaryga wzruszył ramionami i znowu wbił wzrok w swoje notatki.

Pojawiła się siostra z tacą, na której stał poobijany aluminiowy czajnik, puszka kawy rozpuszczalnej, trzy porcelanowe filiżanki, szklanka z cukrem i paczka herbatników.

– Może napije się pan kawki?

– Z przyjemnością! – Dyrantowicz przysiadł się do stołu.

Fetiukow wziął dzbanek z kawą, spojrzął na etykietkę i z wyrazem obrzydzenia odstawił na miejsce.

– Gdzie znajdę tutaj miejski telefon? – zapytał siostry.

– W pokoju lekarskim. Mogę pana zaprowadzić.

– Nie trzeba, sam znajdę. Pójdę, zamelduję szefowi.

– A co tu niby raportować? – powiedział Dyrantowicz. – Nie ma czego raportować.

– Zatem przekażę, że nie ma czego raportować.

Smaryga znowu oderwał wzrok od zeszytu i zlustrował Fetiukowa, zaczynając od jasnożółtych butów na niezdzieralnej podeszwie, dalej przejechał wzrokiem po niemnących się spodniach z drogiej importowanej tkaniny, marynarce o długich połach, zapiętej tylko na górny guzik i skończył na różowej, pełnej twarzy z maleńkimi oczkami ukrytymi za okularami w złotej oprawie.

– Niech melduje. Pod tym względem panuje u nich surowa dyscyplina – dodał z drwiącym uśmiechem.

Fetiukow najwyraźniej chciał odpowiedzieć coś bardzo złośliwego, ale odpuścił i wyszedł.

– Biurokrata! – powiedział Smaryga. – Od dziecka nienawidzę takich paniczków. Przydzielony do nauki, a sam ni w ząb niczego nie pojmuje.

– Niech pan przestanie! – zmęczonym głosem powiedział Dyrantowicz.

– Jakie to ma znaczenie? Nie on, to kto inny. Ten jest przynajmniej obowiązkowy.

– Pewnie! Dla niego pan jest nieosiągalnym szczytem, akademikiem i tak dalej, a z naszym bratem, to i po chamsku można.

– Dla pana mocniejszą? – zapytała siostra.

– Dwie łyżki.

– Dla mnie również – powiedział Smaryga

– Proszę bardzo! Cukru dodajcie sobie, ile chcecie. Pijcie, na zdrowie!

– Dziękuję! – Dyrantowicz z zadowoleniem łyknął z porcelanowej filiżanki i wziął zostawioną przez Fetiukowa książkę. – Agata Christie! A jednak nasz paniczek czyta po angielsku, a pan mówi, że ni w ząb.

– Wszyscy oni mają zamiłowanie do importowanego. Żeby chociaż było to coś sensownego, a to tylko drugorzędne kryminały.

– No, nie mówcie! Christie jest mistrzynią tego gatunku. Naprawdę się panu nie podoba?

– Szczerze mówiąc, jest mi obojętna.

– Niesłusznie! Przecież praca uczonego to również swego rodzaju kryminał i umiejętność rozwiązywania zawiłych zagadek...

– Cóż, zatem według pana należy wprowadzić kryminały do programu uniwersyteckiego?

– Po co wprowadzać? I tak wszyscy je czytają.

Wrócił Fetiukow.

– Z Londynu dzwonił przedstawiciel Towarzystwa Królewskiego. Pytał, czy mogą nam w czymś pomóc.

– Doskonale! – ucieszył się Dyrantowicz. – Może potrzebujemy jakiegoś lekarstwa albo konsultacji. Trzeba to niezwłocznie ustalić.

– Nie wiem... – zmieszał się Fetiukow. – Nie tak łatwo odpowiedzieć na takie pytania.

– Co to znaczy „nie tak łatwo”? Umiera taki uczonec, a pan... Zaraz, ja sam...

Dyrantowicz wstał i ciężkim krokiem skierował się do drzwi z tabliczką „Nie wchodzić”.

– Tam nie można – powiedziała siostra. – Niech pan poczeka, zawołam dyżurnego lekarza.

– Formalizmy! – powiedział Dyrantowicz i ponownie usiadł w fotelu.

Po kilku minutach sezamowe drzwi otworzyły się i wszedł lekarz w towarzystwie siostry.

– No co tam? – zapytał Dyrantowicz.

Lekarz odsunął połę fartucha, wyciągnął z kieszeni spodni zmiętą paczkę papierosów i zapalił. Fetiukow podszedł do okna i uchylił je.

– Proszę zamknąć! – powiedział Dyrantowicz. – Wieje.

– Jesteśmy jednak w szpitalu, a nie... – burknął Fetiukow, ale okno zamknął.

– Słyszę pana doskonale – powiedział Dyrantowicz.

Lekarz kilka razy pod rząd zaciągnął się chciwie, poślinił palec, zgasił papierosa i wsunął go z powrotem do paczki.

– Niczego pocieszającego nie mogę wam oznajmić. Udaje nam się podtrzymywać pracę serca i oddychanie, ale obawiam się, że w komórkach mózgowych zaszły już nieodwracalne zmiany, które...

– Anglicy proponują pomoc. Co im odpowiedzieć?

– Że w niczym już pomóc nie mogą.

– Ale jeszcze żyje?

– Formalnie tak.

– A w istocie rzeczy jak jest?

– Istotnie to już nie.

– Wybaczcie – wmieszał się Fetiukow. – Co to w ogóle za dialektyka?! Formalnie tak, istotnie nie. Nalegam na niezwłoczne konsylium w obecności największych autorytetów wśród specjalistów.

– Konsylium już było. Dzisiaj w nocy. Walczymy o ludzkie życie i robimy, co możemy.

– Czyli uważa pan, że możliwości zostały wyczerpane? – zapytał Smaryga.

– Tak. Normalnie w takich przypadkach wyłączamy aparaturę, ale tu mamy szczególną sytuację. Upredzono mnie o przygotowywanym eksperymencie i trzeba wyjaśnić... O ile dobrze rozumiem, potrzebujecie żywych tkanek?

– To byłoby wskazane – odpowiedział Smaryga. – Jeśli Komisja wreszcie zdecyduje... – tu błagalnie zerknął na Dyrantowicza.

– Proszę zaczekać! – nachmurzył się Fetiukow. – Macie zamiar przeprowadzić doświadczenia na żywym człowieku? Weźcie pod uwagę, że Komitet nigdy nie wyda takiej decyzji.

– Proszę posłuchać, panie Fetiukow – głos Smarygi rwał się od źle powstrzymanej wściekłości. – Rozumiem, że ani na podstawie swojej wiedzy, ani na podstawie oficjalnego stanowiska, nie jest pan w stanie wnikać w sedno naukowych problemów. Jednak mógłby pan zadać sobie chociażby trochę trudu i zapoznać się z moim raportem, sporządzonym w wystarczająco przystępnej formie. Wtedy nie zadawałby pan takich pytań. Nikt nie ma zamiaru przeprowadzać na nim doświadczeń. Wystarczy mi zwykły wymaz ze śluzówki.

– Proszę się uspokoić, Nikanorze Pawłowiczu – pojednawczo odezwał się Dyrantowicz. – Ostatecznie jest pan tutaj jedynym specjalistą w swojej dziedzinie i każdy członek Komisji, zanim podejmie decyzję, ma prawo zadawać panu wszelkiego rodzaju pytania. Tym bardziej – tu spojrzął na lekarza – że znajduje się tutaj przedstawiciel szpitala, bez pomocy którego, o ile dobrze rozumiem, obejść się pan nie może. Prawda?

Smaryga kiwnął głową.

– Zatem, proszę nas oświecić. Proszę zapomnieć na chwilę o naszych pełnomocnictwach i dyplomach, i potraktować nas jak swoich uczniów. A wszelkie tam raporty i cała reszta, to, że tak powiem, proforma.

– Dobrze! Ostatnimi czasy zajmuję się tylko pracą oświatową. Zatem – tu demonstracyjnie zwrócił się do Fetiukowa – czy wie pan, że w każdej komórce ludzkiego ciała znajduje się czterdzieści sześć chromosomów?

– Wiem – odpowiedział ten. – Teraz każdy to wie. Geny.

– Nie geny, a chromosomy. Genów jest o wiele więcej. To już o wiele delikatniejsza struktura. Połowę swoich chromosomów odziedziczył pan po swojej matce, a połowę po ojcu. I w tych czterdziestu sześciu chromosomach zawarte jest sedno tego, co nazywamy przedstawicielem Komitetu Naukowego, Jurijem Pietrowiczem Fetiukowem. Prawda, że interesujące?

Fetiukow nie odpowiedział.

– Tak! Jednak wszyscy jesteśmy śmiertelni, nawet pracownicy Komitetów.

– Co również dotyczy profesora – odpowiedział Fetiukow.

– Złote słowa! Takie jest nieubłagane prawo przyrody. Naturze jest wszystko jedno. Przeżyłeś określoną liczbę lat i wystarczy, trzeba zwolnić miejsce innym. Teraz przypuśćmy, że wspomniany Jurij Pietrowicz postanowił przekazać swoje wybitne cechy potomstwu. Zdawałoby się, nic prostszego!

Fetiukow poczerwieniał nawet na szyi, ściśniętej oślepiająco białym kołnierzykiem. Podniósł się, trzymając podłokietnika, od czego pod napiętą tkaniną rękawów odznaczyły się wspaniale ukształtowane mięśnie. Przy tym cały podobny był do rozwścieczonego kota, którego nieoczekiwanie ktoś szarpnął za wąs.

– Arsenie Nikołajewiczu! Proszę uchronić mnie przed błazeńskimi wybrykami profesora Smarygi. W przeciwnym razie...

– Niech panowie przestaną się spierać! – powiedział Dyrantowicz. – W ten sposób nigdy do niczego nie dojdziemy. A pana, Nikanorze Pawłowiczu, proszę o prowadzenie wykładu, że tak powiem, na jej... bardziej rygorystycznym poziomie.

– Nie mogę. Mówią, że kiedyś akademik Kryłow poprosił o pieniądze na przeprowadzenie ważnych doświadczeń. Jakaś wielka figura z Resortu Morskiego zainteresowała się, dlaczego te doświadczenia tak dużo kosztują, na co Kryłow odpowiedział: „Gdyby wasza ekscelencja był profesorem Żukowskim, napisałbym dwie całki i to by wystarczyło. Ale żeby przekonać waszą ekscelencję, trzeba wydać sporo pieniędzy”.

– Bardzo sprytnie! – odgryzł się Fetiukow. – Szkoda tylko, że nie jest pan akademikiem Kryłowem.

– Szkoda – zgodził się Smaryga. – Jednocześnie, do pana wiadomości: Kryłow był wtedy tylko profesorem. Jednak Arsen Nikołajewicz ma rację, nie będę tracił czasu na marne. Zatem ktoś, będę go nazywał panem Zet, został szczęśliwym ojcem. I tutaj wkraczają do naszej opowieści zdradliwe prawa genetyki. Okazuje się, że tylko połowa zdumiewających cech tatusia odtworzona została w nowym członku społeczeństwa. Drugą połowę otrzymuje on w spadku po mamie, tak, jak w połowie komórek każdego z rodziców zawarty jest dwadzieścia trzy chromosomy. W rezultacie część zdolności, nawet tak istotnych, jak umiejętność eleganckiego podawania papierów do podpisu, może zginąć na próżno ze stratą dla przyszłych pokoleń.

– Nikanorze Pawłowiczu! – rozsierdzony Dyrantowicz walnął dłonią w stół. – Przecież pana prosiłem!

– Dobrze, już nie będę! Po prostu chciałem zwrócić panów uwagę na to, że przyroda sama siebie chroni przed powtórzeniem tego, co było; w każdym razie tam, gdzie chodzi o gatunki biologiczne, dynamicznie postępujące w rozwoju. Teraz przejdziemy do najważniejszego. Semen Ilicz Pralnikow to genialny uczony. Jego prace przez wielu uważane są za rewolucyjne we współczesnym przyrodoznawstwie. Czyż nie?

– Niewątpliwie! – potwierdził Dyrantowicz.

– Jednak, o ile mi wiadomo, daleko jeszcze do postawienia finalnych wniosków. Co więcej, niektórzy wybitni fizycy całkowicie kwestionują teorię Pralnikowa. Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić.

– Tak jest. Dopóki nie ma eksperymentalnych danych...

– Rozumiem. Teraz proszę powiedzieć, czy znajdzie się dzisiaj uczonego, który po śmierci Pralnikowa przejmie po nim pałeczkę?

Dyrantowicz rozłożył ręce.

– Zadaje pan dziwne pytanie. W nauce nigdy nic nie przepada. Wcześniej czy później znajdzie się człowiek, który weźmie pod uwagę prace Pralnikowa...

– Nie o to chodzi! Czy ma pan pewność, że choćby w następnym pokoleniu pojawi się człowiek, który będzie posiadał dokładnie taki umysł jak Pralnikow z jego paradoksalnym spojrzeniem na świat, z jego miażdżącą ironią, i wreszcie, z jego nieznośnym charakterem? Krótko mówiąc; absolutna kopia Semena Ilicza.

– Takiej pewności nie ma. Sam pan powiedział, że przyroda zabezpiecza się przed powtórzeniami.

– Przyroda jest ślepa, ponieważ działa metodą prób i błędów. A my możemy próbować, nie myląc się, jeśli damy drugie życie Pralnikowowi...

– Nie wiem... – w zamyśleniu powiedział Dyrantowicz. – Nie wiem, czy Semenowi Pralnikowowi starczy nawet drugiego życia.

– Uważa pan, że jego prace nie mają dalszych perspektyw? – zainteresował się Fetiukow.

– Nie. Chyba raczej... uważam je za nazbyt perspektywiczne. Zresztą... w danym przypadku moje zdanie nie jest tak znowu istotne. Proszę mi wierzyć, Nikanorze Pawłowiczu, że bardziej przeraża mnie technologia pańskiego eksperymentu, niż równania Pralnikowa.

– Tym może się pan nie martwić. Moja technologia jest wystarczająco dobrze dopracowana.

– O tym właśnie należałoby porozmawiać – gorzko zauważył Fetiukow.
– O technologii eksperymentu, a nie o jakichś tam chromosomach.

– Bez chromosomów nie da rady – odpowiedział Smaryga. – Całe sedno sprawy w chromosomach. Jednak zgadzam się uwzględnić wniesione tu uwagi i kontynuować, jak wyraził się Arsen Nikołajewicz, na bardziej rygorystycznym poziomie. W końcu lat sześćdziesiątych doktor Gordon, pracujący na Uniwersytecie w Oxfordzie, przeprowadził godny uwagi eksperyment. Wziął niezapłodnione jajeczko samicy żaby i zabił w nim jądro z matczynym genetycznym dziedzictwem. Potem wyciągnął jajeczko z komórki nabłonka jelitowego drugiej żaby i wprowadził je do cytoplazmy jajeczka pozbawionego jądra. W rezultacie rozwinął się nowy osobnik,

który odziedziczył wszystkie genetyczne cechy żaby, od której została pobrana komórka jelita. Można powiedzieć, że ta sama żaba zaczęła nowe życie. Czy to rozumiałe?

– Tak – odpowiedział Dyrantowicz. – Ale to była żaba, rozmnażająca się w prymitywny sposób, podczas gdy...

– Rozumiem pana wątpliwości. Korzystając w zasadzie z tej metodyki, przeprowadziłem kilkadziesiąt doświadczeń na ssakach, za każdym razem z niezmiennym sukcesem.

– Ale tutaj chodzi o człowieka! – krzyknął Fetiukow. – Jest różnica między utworami fantastów a...

– Nie piszę powieści fantastycznych, jak również ich nie czytam. Wszystko przedstawia się o wiele prościej. Zapłodnione takim sposobem jajeczko, powinno zostać przeszczepione do organizmu kobiety i przejść wszystkie stadia normalnego wewnątrzmacicznego rozwoju.

– Niech się pan zmiłuje! – powiedział Dyrantowicz. – Kto, według pana, zgodzi się...

– Zostać żoną i matką akademika Pralnikowa?

– Dokładnie!

– Na to pytanie jest już odpowiedź. – Smaryga wskazał na siedzącą w kącie siostrę. – Nina Fiedorowna Ziemcow. Już wyraziła zgodę.

– Pani?!

Siostra zarumieniała się, ze zmieszaniem poprawiła fałdy fartucha i kiwnęła głową.

– Jest pani zamężna?

– Nie... Kiedyś byłam.

– Ma pani dzieci?

– Nie.

– Rozumie pani dokładnie, na co wyraziła zgodę?

– Tak.

– W takim razie, proszę pozwolić nam dowiedzieć się, co skłoniło panią do podjęcia takiej decyzji.

– Ja... Nie chciałabym o tym mówić.

Dyrantowicz odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi. Fetiukow wyciągnął z kieszeni spodni scyzoryk w zamszowym futerale. Wypróbował kilka wymyślnych ostrzy, wreszcie znalazł potrzebne i zajął się manikiurem. Lekarz zapalił, chowając papierosa w pięści i

wypuszczając dym pod stół. Smaryga jakoś przygasł. Po poprzednim zapale nie zostało śladu. Teraz w jego oczach, skierowanych na Dyrantowicza, było nawet coś żalnego.

– Tak... – Dyrantowicz zwrócił się do Smarygi. – Będzie pan, oczywiście, musiał odpowiedzieć na wiele pytań, ale pierwsze z nich jest zasadnicze. Do tej pory nie przeprowadzano takich doświadczeń na ludziach, prawda?

– Nie.

– Proszę zatem powiedzieć, czy pana eksperyment stanowi jakieś zagrożenie dla zdrowia Niny...

– Fiedorowny.

– Proszę wybaczyć, Niny Fiedorowny.

– Nie, nie stanowi.

– A pan, jak myśli? – Dyrantowicz zwrócił się do lekarza.

– Widzi pan, jestem tylko terapeutą, ale sędzę...

– Dziękuję panu! Zatem proszę przedstawić orzeczenie wykwalifikowanego specjalisty.

– Już je mamy – odpowiedział Smaryga. – Profesor Czeremszynow. Będzie asystował przy operacji i prowadził dalszy nadzór nad przebiegiem doświadczenia.

– Przypuśćmy. Teraz drugie pytanie innego rodzaju. O ile dobrze rozumiem, pełna genetyczna identyczność, o której pan mówił, ma miejsce również w przypadku jednojajowych bliźniąt?

– Dokładnie tak!

– Znane są jednak przypadki, kiedy bliźniaki, będące do siebie podobne w dzieciństwie jak dwie krople wody, w rezultacie rozmaitych warunków wychowania, nabywają wyraźnych różnic w charakterze, zamiłowaniach, przyzwyczajeniach; słowem we wszystkim, co dotyczy indywidualności człowieka.

– Zgadza się.

– Zatem, jaką mamy gwarancję, że duplikat Semena Ilicza Pralnikowa będzie rzeczywiście identyczny z oryginałem przez całe swoje życie? Nie może pan przecież powtórzyć dokładnie wszystkich warunków, w których rósł, wychowywał się i żył prototyp.

– Czekałem na to pytanie – uśmiechnął się Smaryga.

– I co pan na to?

– A to, że wchodzimy tutaj na obszary spornych i niemożliwych do udowodnienia przypuszczeń. Dziedziczność i środowisko.

– Aha! – powiedział Fetiukow. – Spornych i nie do udowodnienia. Proszę pana, Arsenie Nikołajewiczu, żeby pan zwrócił uwagę na...

– Tak – potwierdził Smaryga. – Spornych i nie do udowodnienia. Weźmy, na przykład, taki charakter. To coś, co dane nam jest przy narodzinach. Indywidualne cechy charakteru pojawiają się już u niemowlaka. Ten charakter można zdławić, złamać, może on ulec pewnej zmianie w rezultacie choroby. Ale kto może powiedzieć, z pełną odpowiedzialnością, że udało mu się kiedykolwiek wykształcić inny charakter w człowieku?

– Zapewne nie czytał pan ksiązek Makarenki – wtrącił się Fetiukow. – Gdyby pan czytał...

– Czytałem. Ale obaj mówimy, niestety, o różnych rzeczach. Można wykształcić w człowieku określone pojęcia moralne, przyzwyczajenia; trudniej wykształcić gust, a już zupełnie niemożliwe jest wmusić w niego zdolności, temperament, czy talent; to wszystko, co przyjęto nazywać „iskrą bożą”.

– No nareszcie, dogadaliśmy się! – powiedział zgryźliwie Fetiukow. – Iskra boża!

– Niech pan poczeka! – z niezadowoleniem zmarszczył brwi Dyrantowicz. – Proszę nie czepiać się słów. Niech pan kontynuuje, Nikanorze Pawłowiczu.

– Dziękuję! Teraz jestem gotowy odpowiedzieć na pytanie o bliźniaki. Przeciętność jest przede wszystkim podatna na wpływ środowiska. Cała osobowość przeciętnego człowieka składa się z jego postępów, a one najbardziej wynikają, czy może lepiej powiedzieć, są kształtowane, przez zmienne warunki środowiska. Załóżmy, że jeden z bliźniaków pracuje na budowie, a drugi pozostał w armii. Oczywiście, po upływie jakiegoś czasu ich charaktery mogą zatracić wszelkie podobieństwo. I przyczyna kryje się tutaj nie w jakichś cudownych właściwościach środowiska, a w pierwotnej prymitywności tych charakterów.

– No tak – Dyrantowicz podrapał się po głowie. – Teoria! Oto, dokąd pan zmierza! Według pana, gdyby Szekspir miał jednojajowego bliźniaka, to ten obowiązkowo byłby również geniuszem?

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Pod warunkiem, że jego zdolności zostałyby w porę ujawnione. Kto wie, ilu nieodkrytych Szekspirów spotykamy na naszej drodze życia? W przypadku Pralnikowa wszystko wygląda inaczej. Wiemy, że jest on genialnym uczonym. Znamy dziedzinę, w której się wykazał. A co za tym idzie, od pierwszych lat jego wychowania możemy ukierunkować jego duplikat na już przetartą ścieżkę. Co więcej, możemy ustrzec go przed tymi pomyłkami, które popełnił Semen Pralnikow w poszukiwaniu samego siebie. Żadnych szkół, indywidualna, ukierunkowana edukacja w obecności najlepszych specjalistów. To oczywiście będzie kosztowało, jednak...

– Jednak proszę nie liczyć na to, że Komitet będzie finansował pana pomysł – przerwał mu Fetiukow.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że takie wydatki w perspektywnym planie prac badawczych nie istnieją.

– Plany wykonywane są przez ludzi.

– I zatwierdzone przez Komitet.

– Poczekajcie! – wmieszał się Dyrantowicz. – Ten problem możemy rozwiązać inaczej. Jeśli akademik Pralnikow będzie kontynuował swoje istnienie, chociażby i w... innej postaci, to nie ma żadnych podstaw ku temu, żeby nie wypłacać mu akademickiego uposażenia. Czyż nie?

– Oczywiście! – powiedział Smaryga.

– Sądzę, że uda mi się otrzymać na ten cel sankcję prezydium. Co zaś dotyczy się pozostałych spraw; mieszkania, książek i wszelkiej własności osobistej, to Komitet powinien zatroszczyć się, żeby wszystko to pozostało na razie pod opieką Niny Fiedorowny, która występuje tutaj w roli opiekunki. Zgadzacie się panowie?

– Proszę wybaczyć, Arsenie Nikołajewiczu – zmieszał się Fetiukow. – Czy pan uważa już propozycję profesora Smarygi za zaakceptowaną?

– Z mojej strony – tak. A pan?

– Właściwie nie mam uprawnień do sankcjonowania takich decyzji. One powinny być podejmowane, że tak powiem, na wyższym poziomie.

– Hmm, wie pan co! – powiedział Smaryga. – To po co pan tutaj jeszcze siedzi?

– Złożę raport kierownictwu – westchnął Fetiukow. – Pójdę zadzwonić.

Dyrantowicz podszedł do okna.

- Ale pogoda! Kiedyś, w taki wieczór i ja, zapewne...
 - Proszę się nie martwić na zapas – powiedział Smaryga. – Statystyki pokazują, że ludzie w pana wieku zazwyczaj umierają nad ranem, kiedy smutek przyrody z tego powodu jest mało odczuwalny.
 - A pan myśli czasami o śmierci?
 - Gdybym nie myślał, nie siedzielibyśmy tutaj razem.
 - Miałem co innego na myśli. O swojej śmierci.
 - O własnej śmierci nie mam czasu myśleć. A i na nic by się to zdało.
 - Czyżby nie kochał pan życia?
 - Jak by to panu powiedzieć? Życie mnie nie rozpieszczało. Kocham moją pracę, bo przecież wszystko, co robimy, w jakiś sposób po nas zostaje.
 - To niezupełnie tak. A oto i towarzysz Fetiukow. No, jak tam, dodzwonił się pan?
 - Dodzwoniłem – oznajmił Fetiukow. – Jeśli Akademia Nauk bierze odpowiedzialność za powodzenie całego eksperymentu, to Komitet nie widzi podstaw do sprzeciwu. Oczywiście na tych warunkach, o których mówił Arsen Nikołajewicz.
 - Doskonale!
 - Poza tym, musimy sporządzić dokument, w którym...
 - Sporządzajcie! – przerwał mu Dyrantowicz. – Sporządźcie dokument, a ja go podpiszę. A teraz – ukłonił się grzecznie – proszę wybaczyć, praca czeka. Życzę powodzenia!
 - Mogę pana podwieźć – zaproponował Fetiukow.
 - Nie trzeba. Czeka już na mnie samochód.
- Fetiukow wyszedł za nim, bez pożegnania.
- Po ich wyjściu, Smaryga przez kilka minut w milczeniu spoglądał spod krzaczastych brwi na Ziemcową.
- No, Nino Fiedorowno – powiedział wreszcie. – A pani się nie rozmyśliła?
 - Jestem gotowa – spokojnie odpowiedziała siostra.

JURIJ PIETROWICZ FETIUKOW

Obrzydliwy typ z tego Smarygi. Gdyby dali mi władzę, nigdy bym nie pozwolił na ten idiotyczny eksperyment. Nie przypuszczałem, że Dyrantowicz tak szybko połknie haczyk. Wspaniały widok: jakiś konował daje wykłady akademikowi. Mnie by nie przeciągnął na swoją stronę. Jakby nie było również mam wyższe wykształcenie i dyplom z wyróżnieniem. Swobodnie władam trzema językami. Prawda, że z wykształcenia jestem metalurgiem, ale to, można powiedzieć, pomyłka młodości. Właściwie to moim powołaniem jest kariera dyplomaty i gdyby nie ta historia sprzed dziesięciu lat...

Zresztą, jak to się mówi, nie będziemy wdawać się w szczegóły. Osobnicy w rodzaju Smarygi zawsze wywoływali we mnie obrzydzenie. Obszarpane spodnie, brudne buty, łupież na marynarce, a pewności siebie co niemiara. Byłem w tym jego tak zwanym laboratorium – diabli wiedzą, co to było! Jakaś szopa. Co innego Dyrantowicz. Wchodzisz do jego instytutu i dech ci zapiera. Nowoczesny budynek, wszędzie szkło, bezgłośne windy, importowana aparatura, gabinet jak u ministra i taka sekretarka, że pół życia byś oddał! Staruszek wie, o co chodzi.

Ale to, co mnie całkowicie zniewala w Arsenie Nikołajewiczu, to jego sposób bycia. Taka uprzejma, życzliwa nonszalancja. Nic udawanego, wszystko całkowicie naturalne. Oto co znaczy prawdziwe wychowanie!

Przyznam się, że kiedyś zainteresowałem się jego pochodzeniem. Szlacheckie koligacje. Ojciec przed rewolucją piastował wysokie stanowisko. Teraz, oczywiście, na takie rzeczy patrzą przez palce, ale w swoim czasie, zapewne, doświadczał niejakich trudności.

Jego stosunki z Pralnikowem zawsze, zdaje się, były napięte. Ten w ogóle był jakiś nienormalny. Często towarzyszę zagranicznym uczonym. Obsługuję fizyków. Dla każdej delegacji mamy wcześniej opracowany program, w zależności od rangi uczestników, oczywiście. Dla tych najwyższych rangą rezerwujemy rozmowę z szefem i odwiedzinę w Instytucie Dyrantowicza, a potem „Jezioro łabędzie”, a w antraktach: kawior, wódka, łosoś; potem wycieczka do Zagorska i takie tam. Na pożegnanie pamiątki. Niech znają rosyjską gościnność! Tak więc, ostatnimi czasy wszyscy stracili rozum. Dajcie im jeszcze Pralnikowa! Nie do końca orientuję się w jego pracach. Kiedyś dostałem kopię artykułu i niczego nie rozumiałem. Przyznam, że zupełnie zapomniałem wyższą matematykę. On zaliczał się do geniuszy. Przywozić do niego cudzoziemców było istną

katorgą. Wyjdzie do gości w starym, wytartym swetrze, kieszenie spodni wypchane tytoniem, w zębach wiecznie tkwi cuchnąca fajka. Nigdy nie zapyta dam, czy może zapalić.

Pamiętam, jak w trakcie posiedzenia Komitetu było mnóstwo zaproszonych delegatów. Wszystko odbywało się na wyższym stopniu, tylko jeden Pralnikow nieustannie kopał z cybucha. Wypalone zapałki składał na stole. Wreszcie szef nie wytrzymał i powiedział: „Semenie Iliczu, mamy tutaj klimatyzowane pomieszczenie, może doczeka pan do końca posiedzenia i wtedy zapali?”. A Pralnikow podniósł się i mówi: „Po co czekać? Lepiej pojedę do instytutu, tam mam powietrze w swoim guście”. Zebrał zapałki do kieszeni i wyszedł.

Tak więc, przywieziesz do niego delegację i zaczynają się spory. Angielska wymowa Pralnikowa, jak u uczniaka, francuska jeszcze gorsza. A jak się zapali do tematu, to ni słowa nie pojmiesz, chwytła rozmówców za rękę, smaruje im marynarki kredą. W jego gabinecie wisi duża tablica, w czasie rozmów zawsze coś na niej rysuje.

Ustaliła się taka zasada: przyjechali goście z zagranicy to zaszerwuj choćby herbatę. A Pralnikow nigdy nic. Raz mu o tym napomknąłem, to niemal wystawił mnie za drzwi. „U mnie nie jadłodajnia – powiedział. – Przychodzą po coś innego!”.

No i macie, że tak powiem, swój prototyp. Teraz o samym pomysle. Oczywiście, to wszystko, to psu na budę. Nie jestem uczonym, nie aspiruję do bycia geniuszem, ale mam wytyczoną jasną drogę życiową. Człowiek ma tylko jedno życie. Rzecz w tym, jak je przeżyje. Do tego, żeby cokolwiek zdobyć, potrzebne jest przede wszystkim wychowanie.

Jeśli dążysz do sukcesu, powinieneś nieustannie nad sobą pracować. Nie ma co tutaj liczyć na chromosomy i geny. Trzeba wypracować w sobie umiejętność rozmawiania z ludźmi, kulturę zachowania, a nawet swoją postawę. Tak, tak, postawę. W sferach, w których mam nadzieję zająć stosowną pozycję, postawa również ma niebagatelne znaczenie. Wystarczy spojrzeć na jakiegoś działacza, który po raz pierwszy zasiada we własnym gabinecie i śmiech cię ogarnia. Prze brzuchem naprzód, siada za biurkiem, jak kokoszka na jajkach, na adwersarza oczu nie podnosi, wypowiada się, używając prostackiego zwrotu „ty” do rozmówcy, w rozmowie dwóch sensownych zdań sklecić nie potrafi. Wszystko to tandeta!

Zdolność swobodnego wejścia do łoża teatru, albo do poczekalni, czy recepcji, umiejętność podtrzymania rozmowy ze zwykłymi znajomymi, znajomość języków i współczesnej literatury; dobrze uszyty garnitur, eleganckie obuwie, nadają człowiekowi o wiele więcej splendoru, niż pewne siebie, administracyjne chamstwo. Obecnie nie jest ono już w modzie.

Osobiście bardzo się pilnuję. Nie piję, nie palę, rano gimnastyka, zimny prysznic, dwa razy na tydzień chodzę pływać na basen. Dużo czytam. Rodzimej literatury, prawdę mówiąc, nie lubię. Klasykę obrzydzi mi już w szkole, a to, co drukują w czasopiśmie, to tylko, z rzadkimi wyjątkami, towar konsumpcyjny. Oczywiście rozumiem, że trzeba kształcić masy. Socjalistyczny realizm i tym podobne. Ale nie będziemy przecież rozmawiać z obcokrajowcami o podobnych wyrobach rzemieślniczych. Ja, na szczęście, wszystko mogę przeczytać w oryginale. Joyce, Salinger, Camus, Céline. Céline szczególnie mi się podoba.

Według mnie, „Podróż do kresu nocy” to wybitne dzieło. Lubię takie rzeczy, gdzie człowiek pokazany jest nagusieńki, ze wszystkimi swoimi ułomnościami i namiętnościami. Niemców, za wyjątkiem Remarque’a, nie lubię.

Próbowałem czytać Tomasza Manna, nie wytrzymałem. Nudy!

Kobiety nie odgrywają w moim życiu większej roli, chociaż „jestem człowiekiem i nic, co ludzkie nie jest mi obce”. Wolę zadawać się z mężatkami. Mam ładne mieszkanie i przyzwoity samochód, co sprzyja podbojom. Unikam długotrwałych związków. Na szczęście w obecnych czasach nikt już nie dręczy się z powodu nieodwzajemnionej miłości. Ożenię się nie wcześniej, niż po czterdziestce. Po co dobrowolnie w młodości ograniczać swoją swobodę?

Piszę to nie po to, żeby pochwalić się, jaki to jestem wyjątkowy. Wręcz przeciwnie, chcę pokazać, że wszystko, co osiągnąłem i niewątpliwie osiągnę w przyszłości, nie ma żadnego związku z dziedzicznością. Moi rodzice nie posiadali żadnych wybitnych cech. Ojciec przez całe życie był dentystą i dłubał w zgniłych zębach, a matka pracowała, jako planistka. Oto i wasze chromosomy! Co się zaś tyczy charakteru, to sam go w sobie wypracowałem. Wyraźnie postawiony cel w życiu, upór i samodyscyplina potrafią z każdego zrobić nawet Napoleona.

A że Smaryga rozhisteryzował się aż do ataku serca, to sam jest sobie winien. Co ja mam z tym wspólnego?

ARSEN NIKOŁAJEWICZ DYRANTOWICZ

Semen Pralnikow był ode mnie młodszy o dziesięć lat, ale zawsze wydawało mi się, że jesteśmy przedstawicielami różnych pokoleń. Trudno powiedzieć, od czego zaczęło się to wyobcowanie. Może za impuls posłużyły wybory w Akademii, kiedy z dwóch kandydatów wybrany został on, a nie ja. Ale, jak sądzę, sedno naszej wzajemnej antypatii tkwiło gdzieś indziej i wywołana ona została o wiele bardziej poważnymi przyczynami. Jesteśmy zupełnie innymi ludźmi; i w nauce, i w życiu. Jestem eksperymentatorem, on – teoretykiem. Dla mnie nauka to wytrwały, codzienny trud; dla niego zaś, olśnienie. Jeśli użyć porównania, to ja wypłukuję złocisty piasek i po odrobinie wybieram drogocenny metal, a on zawsze szukał tylko samorodków i to koniecznie dużych.

Moje doświadczenia są nienagannie dokładne. Przed publikacją sprawdzam rezultaty dziesiątki razy, dopóki nie zdobędę absolutnej pewności, co do możliwości ich odtworzenia.

Pralnikow zawsze się śpieszył. Może czuł, że ostatecznie nie starczy mu czasu. Jestem z tych, których prace od razu trafiają do podręczników, doskonale wpasowują się w klasyczne teorie. Pralnikow zaś, z natury, jest burzycielem, dążącym do tego, żeby obalić to, co zbudowali inni. Życie takich ludzi, to droga na Golgotę. Najczęściej, jak Lubaczewski, umierają, odtrąceni przez oficjalną naukę i wygwizdani przez nauczycieli gimnazjum. Jeśli nawet przychodzi do nich sława, to pośmiertna. Pralnikowowi udało się jedno: urodził się w epoce, w której ekstrawaganckie teorie szybko przecierają sobie szlaki.

Moja niechęć do Pralnikowa jest dosyć szeroko znana i ta okoliczność nakładała na mnie niejaki ograniczenia podczas podejmowania decyzji o losie eksperymentu Smarygi. Nie chciałem, żeby odmowa była opacznie zinterpretowana.

Mogło powstać wrażenie, że umyślnie przeszkadzam Pralnikowowi po jego śmierci. Wystarczy, że już gadają za moimi plecami. To wszystko

kłamstwo, nigdy nie organizowałem żadnej nagonki. Po prostu jakiś dziennikarz, jeden z tych niespełnionych fizyków, nierzetelnie wykorzystał moje krytyczne uwagi co do jednej z drugorzędnych prac Pralnikowa, w celu rozpętania brukowej kampanii, która zresztą nie osiągnęła zamierzonego efektu. Á propos, byłem pierwszym, który nie bał się wtedy podnieść głosu w jego obronie.

Smaryga wywołał u mnie uczucie sympatii, pomimo jego przerażającego braku taktu.

Lubię upartych, stanowczych ludzi. Fetiukow to miernota, o której nawet nie warto mówić, ale co zrobić? Wszyscy musimy jakoś współistnieć na tym świecie, w przeciwnym razie nie uchronisz się przed zawałem. Spierać się z głupcami, to zajęcie nie tylko bezowocne, ale i szkodliwe dla zdrowia.

Nie wierzę w eksperyment Smarygi. Ludzka osobowość jest niepowtarzalna. Wewnętrzny świat każdego z nas chroniony jest swoistą niewidzialną powłoką. Nie można doświadczyć cudzego bólu, cudzej radości, cudzej rozkoszy. Wszyscy jesteśmy kroplami rozumu z bardzo wysokim napięciem powierzchniowym, które przeszkadza im zlać się w jedną ciecz.

Genetyczna identyczność również niczego tutaj nie zmieni.

Semena Pralnikowa ani grzeje ani ziębi w mogile, czy po świecie będzie chodzić jego dokładna kopia. Rzecz w tym, że Semen Pralnikow jest martwy, a jego prochom niedostępne są już żadne uczucia. Ten drugi Pralnikow będzie nowym człowiekiem w swojej własnej ochronnej powłoce. Czy możliwa jest jakaś szczególna więź między nim a jego prototypem? Czy to, co przeżył dany człowiek może stać się częścią pamięci genetycznej? Wątpię. Młodość zawsze odkrywa dla siebie świat od nowa. Przecież nawet Faust jest tylko drugorzędnym bohaterem obok mądrego Mefistofelesa; nosicielem rozczarowania, tej wyższej formy ludzkiego doświadczenia.

Każdy z nas w ciągu swojego życia zmienia się. Pamiętacie? „Tylko węże zrzucają skórę, by ciało starzało się i rosło; my nie jesteśmy podobni do węży, zmieniamy dusze nie ciała”. Niestety sprawa wygląda jeszcze gorzej. Ciało również się zmienia. Nadchodzi moment, kiedy ze smutkiem przekonujemy się o tym. Każdy człowiek zbudował sobie jakieś

wyobrażenie o sobie; można powiedzieć, taki uśredniony rezultat wielu lat samoanalizy.

Poobserwujcie człowieka, kiedy patrzy w lustro. W tym momencie zmienia się wszystko: wyraz twarzy, chód, gesty. Podświadomie człowiek próbuje dopasować swój wygląd do tej psychologicznej fikcji. Obronny kamuflaż przed niemiłosierną rzeczywistością.

Niedawno aspiranci postanowili zrobić mi prezent. Zaprezentowali film o akademiku Dyrantowiczu, nakręcony, jak to się teraz nazywa, ukrytą kamerą. Przytaszczyli projektor i moja osoba stała przede mną w pełnej krasie. Wielki Boże! Nie mam ochoty wdawać się w szczegóły, co za gadatliwość nad gadatliwością – kolejny rezultat rozpadu osobowości pod wpływem chwilowych czynników, typowe starcze przyzwyczajenie.

Zatem doszedłem do wniosku, że eksperyment Smarygi skazany jest nieuchronnie na niepowodzenie.

O wiele lepiej od wielu innych ludzi, wiem, że negatywny rezultat w badaniach naukowych niekiedy ważniejszy jest od pozytywnego. W tym wypadku dla mnie miał on szczególne znaczenie. Sam chciałem przekonać się, że nic z tego nie wyjdzie i raz na zawsze wybić innym z głów ochotę na przeprowadzanie podobnych eksperymentów w przyszłości. Przerażają mnie niektóre tendencje we współczesnej genetyce. Powinny istnieć moralne zakazy dotyczące jakichkolwiek prób wtrącania się w biologiczną istotę człowieka. To zakazany obszar. Idee Smarygi kryją w sobie ogromne potencjalne niebezpieczeństwo. Wyobraźcie sobie, że kiedyś zostanie ustanowiony optymalny typ uczonego, malarza, aktora, urzędnika państwowego i zacznie się matrycowanie ludzi według wcześniej wytyczonego wzorca. Nie, cokolwiek, tylko nie to!

Można mnie posądzić o brak konsekwencji: z jednej strony nie wierzę, z drugiej boję się. Niestety tak jest. Nie wierzę, ponieważ się boję; boję się, ponieważ nie do końca jestem pewien swojej niewiary.

Nie wiadomo, czy dożyję rezultatów eksperymentu... Smaryga pierwszy, a kto po nim?

Po śmierci Smarygi cała odpowiedzialność spadła na mnie, ale jeszcze za jego życia co nieco trzeba było zrewidować. Uważałem, że nie należy całej sprawy nagłaśniać. Szczególnie przed młodym Pralnikowem należało ukryć prawdę. W przeciwnym razie mogłoby to mieć wpływ na jego psychikę i cały eksperyment stałby się, jak to się mówi, niewystarczająco

czysty. Dlatego nie można było duplikatowi Semena Ilicza nadać imienia i nazwiska prototypu. Smaryga przejawiał w tym zakresie zadziwiający upór. Trzeba było podjąć decyzję, jak wyraził się Fetiukow, „w administracyjnym porządku”. Przy tym wzięli pod uwagę życzenie matki, żeby nazwać syna Andrzej.

Andrzej Semenowicz Pralnikow, nieślubny syn akademika, otrzymał akademicką rentę, która miała być wypłacana do momentu uzyskania dyplomu wyższej szkoły. W samo sedno eksperymentu byli wtajemniczeni nieliczni, tylko ci, których w jakiejś mierze on dotyczył, w tym kandydat nauk fizyczno-matematycznych Michaił Iwanowicz Łukomski, któremu została wyznaczona rola mentora przyszłego geniusza.

Mówiąc obrazowo, rzuciliśmy kamień w wodę. Pytanie, jak szeroko rozejdą się kręgi od niego?

Zresztą, nie jestem z tych, którzy od razu zaglądną na koniec powieści kryminalnej. Rozwiązanie jest zapewne zawczasu wymyślone przez autora, ale powinno ono wynikać z logicznego ciągu wydarzeń, chociaż osobiście najbardziej pociągają mnie nieoczekiwane zakończenia.

MICHAŁ IWANOWICZ ŁUKOMSKI

Miałem trzydzieści lat, kiedy umarł Semen Ilicz Pralnikow. Ten człowiek zawsze wywoływał we mnie podziw. Często bywałem u niego, w instytucie, na seminariach i za każdym razem było to dla mnie święto. Trudno opisać jego manierę wypowiedzania się. Wyszlifowany, subtelny monolog, spór z samym sobą.

Zawsze w ruchu, z fajką w zębach, z zadziwiającą łatwością uzasadniał każdą hipotezę i nagle, kiedy już wszystko zdawało się zupełnie jasne, nieoczekiwanie stawał po stronie punktu widzenia wyobrazonego oponenta i rozbijał własne konstrukcje w proch. Zazwyczaj graliśmy wtedy rolę statystów, podrzucając mu pytania, których zawsze wysłuchiwał z ogromną uwagą. Nie było w nim żadnej wyższości, ale w sporach nikogo nie oszczędzał. Najbardziej lubił zagmatwane zadania. Dla nas, młodzieży, był bożyszczem. Jak zawsze, znajdowali się i sceptycy, którzy uważali, że zabrał się za przerastający go temat; ponad siły, że jego teoria, zrodzona „na

końcówce pióra”, jeszcze wiele lat będzie czekała na potwierdzające ją fakty, i że próby dokonywania tak szerokich uogólnień są przedwczesne. Możliwe, że mieli trochę racji.

Jedno jest pewne, śmierć Semena Ilicza przyniosła ogromną stratę nauce.

Byłem niewypowiedzianie zdumiony i ucieszony, kiedy Dyrantowicz powiedział, że dokładna kopia Pralnikowa wkrótce znowu pojawi się na świecie, i że to ja mam zatroszczyć się o jego wykształcenie. Takiej pracy nie żał poświęcić całego swojego życia!

Musiałem pomyśleć o wielu sprawach. Szkoła, z jej rozwlekłym programem i ograniczoną twórczą samodzielnością uczących się, wyraźnie tu nie pasowała.

Swoje zadanie widziałem w tym, żeby od niemowlęcych lat zaszczepić Andrzejowi matematyczne myślenie, wywołać zainteresowanie czysto spekulatywnymi zagadnieniami, dać podstawowe, fizyczno-matematyczne przygotowanie i szerokie horyzonty w naukach przyrodniczych. Według mnie, to najważniejsze, co powinien posiadać przyszły teoretyk.

Co nieco udało mi się osiągnąć. Zanim jeszcze Andrzej nauczył się czytać, już całkiem swobodnie operował abstrakcyjnymi pojęciami i potrafił znajdować ogólne rozwiązania zadań ułamkowych; wszystko to oczywiście w ich prymitywnej formie, ale nie miałem wątpliwości co do jego dalszych sukcesów. Zdolności przejawiał wybitne.

Do dwunastego roku życia przeszliśmy z nim cały kurs średniej szkoły z zakresu matematyki, fizyki i chemii. Teraz trzeba było zatroszczyć się nie tyle o poszerzenie jego wiedzy, co o jej pogłębianie.

Niestety, inaczej miała się sprawa z innymi przedmiotami. Sprowadziłem najlepszych wykładowców, ale wszyscy oni jednomyślnie narzekali na jego niezdolność do zapamiętywania chronologicznie dat, nazw geograficznych, a nawet przyswajania zasad ortografii i interpunkcji.

Ponadto Andrzej zaczął czytać wszystko, bez wyboru. Próbowałem chociaż w małym stopniu kontrolować wybór książek dla niego, ale tu spotkałem się z rzadko spotykanym uporem. Zakomunikował mi wprost, że to nie moja sprawa.

Pewnego dnia zastałem go na czytaniu książek o mechanice kwantowej. Zabrałem mu książkę i powiedziałem:

– Nie zaprzętaj sobie głowy rzeczami, których nie możesz zrozumieć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mechanika kwantowa operuje takimi matematycznymi pojęciami i metodami, które są ci jeszcze nieznane.

Spojrzał na mnie z wyraźną drwiną i odpowiedział:

– A ja próbuję zrozumieć, co tutaj napisano słowami.

– No i co?

– Prawie niczego nie zrozumiałem.

Roześmiałem się.

– No widzisz? Po co na darmo tracić czas? Wytrzymaj trochę. Niedługo to wszystko stanie się twoją rzeczywistością. Opanujesz współczesny matematyczny aparat pojęciowy i otworzy się przed tobą nowy, zdumiewający świat w całej jego niepowtarzalnej złożoności.

Na te słowa jakoś smutnie pokiwał głową.

– Nie, nie chcę takiego świata, którego nie można wyjaśnić słowami. Świat... przecież on jest dla wszystkich, a nie tylko dla tych, którzy opanują ten aparat.

Jak mogłem, starałem się wyjaśnić mu osobliwości procesu poznania we współczesnej fizyce. Mówiąc mu o zasadzie nieokreśloności, wspomniałem prace Semena Ilicza. Zainteresował się i zapytał:

– Czy mój ojciec naprawdę był genialnym uczonym?

– Oczywiście!

– A mógłbym przeczytać jego prace?

– Na razie nie, za małą jeszcze masz wiedzę, ale o nim samym mogę coś dla ciebie znaleźć.

Następnego dnia przyniosłem mu książkę o Semenie Pralnikowie. Przeczytał ją jednym tchem. I przez kilka dni był potem bardzo roztargniony.

– O czym myślisz?! – zwróciłem mu uwagę, kiedy po raz kolejny zapytał o warunki zadania.

– O swoim ojcu.

Tymczasem skargi innych nauczycieli na Andrzeja stawały się coraz bardziej natarczywe, postanowiłem więc poradzić się psychiatry.

Zarekomendowano mi przedstawiciela jakiejś nowej szkoły.

Przywiozłem go na dachę w Kratowie i pod stosownym pretekstem zostawiłem w ogrodzie sam na sam z Andrzejem. Uprzednio powiedziałem

mu, że to mój wychowanek, prawdopodobnie, w perspektywie wybitny matematyk, i wyjaśniłem, co mnie w nim niepokoi.

Rozmawiali ponad godzinę.

W drodze na stację mój nowy znajomy uparcie milczał. Wreszcie nie wytrzymałem i zapytałem, co myśli o Andrzeju. Jego odpowiedź trochę zbiła mnie z tropu.

– Zapewne to, czego nie chciałby pan usłyszeć.

– Na przykład?

Odpowiedział pytaniem.

– Uważa go pan za naprawdę utalentowanego chłopca, prawda?

– Niewątpliwie!

– No dobrze. Wszyscy utalentowani ludzie, podobnie jak biegacze, dzielą się na długodystansowców i sprinterów. Jedni są w stanie skrupulatnie obliczyć swoje siły na maratońskich dystansach, drudzy zaś mogą dać z siebie wszystko, do czego są zdolni, tylko w krótkim zrywku. Pierwsi zawsze wierzą w zdrowy rozsądek, drudzy w niemożliwe. Pana wychowanek, to typowy sprinter. Z takich nigdy nie wyrosną eksperymentatorzy. Są na to zbyt niecierpliwi i niezrównoważeni. Narzeka pan na to, że nie może on niczego wykuć. Dla ludzi jego typu to bardzo charakterystyczne. Wątpliwe, czy wychowanie może tu cokolwiek pomóc. Różnice, o których mówiłem, uwarunkowane są typami systemu nerwowego.

– A zatem?

– A zatem, mogę panu tylko współczuć. Jest pan w skomplikowanej sytuacji. Czy uda się panu przygotować nowego rekordzistę, czy też wszystkie nadzieje prysną jak bańka mydlana, to nie zależy od pana, a od niego.

– Jak mam to rozumieć?

– Już powiedziałem: wiara w niemożliwe. Jasne jest tylko jedno; im bardziej będzie pan na niego naciskał, tym mniejsza szansa, że taka wiara się w nim pojawi. Niestety, nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

Wcale nie zrobiło mi się przez to lżej.

WIKTOR BORYSOWICZ KASZUTIN

Historię Andrzeja Pralnikowa znałem jeszcze przed jego wstąpieniem na uniwersytet.

Michał Iwanowicz Łukomski przyszedł do mnie do dziekanatu z polecenia Dyrantowicza.

Wtajemniczył mnie we wszystkie szczegóły i poprosił o przyjęcie Pralnikowa bez egzaminów na pierwszy rok fakultetu fizyki. Wiązało się to z niejakimi trudnościami. Pralnikow zdał eksternistycznie egzaminy maturalne z przeciętnymi ocenami z przedmiotów humanistycznych. Poza tym, miał zaledwie piętnaście lat.

Dla zachowania jakichkolwiek formalności postanowiliśmy zorganizować rozmowę kwalifikacyjną z przedmiotów profilowych i na podstawie niewątpliwie wybitnych zdolności kandydata podjąć stosowną decyzję. Łukomski prosił mnie o zachowanie największej tajemnicy o przeprowadzanym eksperymencie i obiecał, że w przypadku jakichkolwiek sprzeciwów ze strony rektora, Dyrantowicz wszystko załagodzi.

Rozmowa kwalifikacyjna odbyła się u mnie w domu.

Szczerze mówiąc, denerwowałem się wiedząc, kogo przyjdzie mi egzaminować. W każdym razie postarałem się o to, żeby nasze spotkanie odbyło się w jak najbardziej swobodnych warunkach.

Olga Nikołajewna, jak zawsze, stanęła na wysokości zadania. Wytworna kolacja na zimno, butelka lekkiego włoskiego wina, a do herbaty jej słynny tort. Dla Łukomskiego – kawa z koniakiem. Znam jego słabość.

Przyszli razem. Łukomski wyraźnie był trochę zaniepokojony; Pralnikow zaś zdawał się być wręcz przestraszony.

Olga Nikołajewna poczuła zaistniałe napięcie i zaczęła częstować gości. Z matczyną troskliwością nakładała Pralnikowowi na talerzyk co smaczniejsze kawałki i własnoręcznie nalała mu kieliszek wina, który ten osuszył jednym haustem.

Już postanowiłem przystąpić do zadawania pytań, kiedy to Pralnikow zapytał pierwszy:

- Niech mi pan powie, co to tam jest w tej pękatej butelce?
- Koniak.
- Można spróbować?

Popatrzyłem na Łukomskiego. Ten wzruszył ramionami. Olga Nikołajewna i tu wykazała się właściwym taktem. Wyciągnęła z kredensu

najmniejszy kieliszek. Ja zaś, jako gospodarz, wstałem z kieliszkiem w ręce.

Mówiłem o sławnej grupie fizyków, idących drogą poznania świata, o tym, że my wszyscy jesteśmy spadkobiercami Newtona, Maxwella, Einsteina, Plancka...

– Ptolemeusza – nieoczekiwanie przerwał mi Pralnikow. W jakiś sposób już zdążył opróżnić swój kieliszek.

– Jeśli pan chce, to i Ptolemeusza, i Lukrecjusza Carusa, i wielu innych, którzy...

Znowu nie dał mi dokończyć.

– Carusa niech pan zostawi w spokoju! On jednak rozumiał, wręcz czuł, harmonię przyrody. Newton chyba też. A wy wszyscy jesteście oczywistymi spadkobiercami Ptolemeusza.

– A z jakiej strony?

– Z każdej. Ptolemeusz stworzył fałszywe wyobrażenie o wszechświecie, ale na pomoc przyszła mu matematyka. Okazało się, że i w tym świecie, ograniczonym wyobraźnią tępaka, można w zadowalający sposób przewidywać położenie planet. Taka metoda stała się dominująca we współczesnej fizyce. Wyjaśniamie wszystko, uciekając się do matematycznych abstrakcji, zawczasu rezygnując z możliwości przyswajania elementarnych pojęć.

Tu wtrącił się Łukomski.

– Nie zapominaj, Andrzeju, że przy przejściu na poziom mikroświata, nasze codzienne wyobrażenia tracą wszelki sens, ale zastępujące je matematyczne abstrakcje, cały czas dają możliwość zrealizowania jądrowych reakcji, które...

Pralnikow roześmiał się.

– Zabawne! Też znalazł pan przykład! Tak, od niepamiętnych czasów ludzie produkują sobie podobnych, chociaż do tej pory nikt nie rozumie ani sensu, ani pochodzenia życia. Jakie to ma znaczenie dla poznania prawdy?

Tutaj nie wytrzymała Olga Nikołajewna. Jest biologiem i nigdy nie pozwala profanom wkraczać bezpardonowo na święty dla niej teren.

– Widzę, że nie ma pan kompletnie wyobrażenia na temat pochodzenia życia – powiedziała lodowatym tonem. – Co się zaś tyczy uczonych, to nie jest to dla nich powód do wątpliwości.

– Koacerwat?

– A choćby i tak.

– Tak... – powiedział, wycierając dłonią usta. – Zatem, koacerwat. Na poziomie wiedzy minionego wieku, to wcale nie tak źle. Najpierw koacerwat, potem błona, cytoplazma, jądro. Proste i przekonywujące. Ale jak być teraz uczonym, kiedy – bardzo umiejętnie przedrzeźniał intonację Olgi Nikołajewny – kiedy uczonym znana jest, i to nie do końca, fenomenalna złożoność struktur i energetycznych procesów komórki; procesów, których nawet nie potrafimy odtworzyć. Cóż, tak łatwo pod wpływem przypadkowych czynników pojawiły się one w waszym koacerwacie?

Widziałem, jak trudno było powstrzymać się Oldze Nikołajewnie i przyszedłem jej na pomoc, wykorzystując, może i nie w pełni taktowny, chwyt.

– A pan co, wierzy w Boga?

Zwrócił się do mnie z niejaką irytacją.

– Szukam wiedzy, a nie wiary. Wszystko jedno, w co się wierzy; choćby w stworzenie świata, choćby w pana koacerwaty. Między absurdem a nonsensem nie ma zbyt wielkiej różnicy.

Łukomski jeszcze raz spróbował ratować sytuację.

– Powstanie życia – powiedział – to antyentropijny proces, gdzie zwyczajne, wiarygodne prawa mogą wcale nie mieć miejsca. Zbyt mało jeszcze wiemy o takich procesach, żeby...

– Żeby pleść wszystko, co przyjdzie nam do głowy. Nieprawdaż?

– Absolutnie nie!

– Też znaleźliście wyjaśnienie powstania symfonii z szumu. Antyentropijny proces! I co dalej? A pani – tu wskazał palcem w kierunku Olgi Nikołajewny. – Umie pani liczyć?

– Myślę, że umiem.

– Nie w tym sensie, ile warta jest ta ryba, uwzględniając jej cenę i wagę; a w tym, ile lat trzeba, żeby pojawiła się ona we wspólnym procesie biologicznego rozwoju.

– Nie muszę tego wyliczać. Istnieje paleontologia, która daje możliwość, chociażby w przybliżeniu ustalić...

– Że pomiędzy teorią zmienności, a selekcji naturalnej z jednej strony i elementarnymi obliczeniami prawdopodobieństwa przypadkowego wykształcenia złożonych racjonalnych struktur z drugiej, znajduje się

przepaść nie do pokonania. Tutaj już nie wykręcimy się antyentropijnymi procesami!

Zrozumiałem, że pora kończyć i mrugnąłem do Łukomskiego.

– No cóż – powiedział, wstając. – Kiedyś jeszcze dokończymy nasz spór, a teraz proszę pozwolić, że podziękuję. Pora na nas.

Sądząc po wszystkim, był ekstremalnie wzburzony.

– No i jak? – zapytałem Olgi Nikołajewny, kiedy zostaliśmy sami.

– Trudny dzieciak! – roześmiała się ona.

Myślę, że było to właściwe określenie. Na ile znałem Semena Ilicza Pralnikowa, ten do samej śmierci pozostał „trudnym dzieciakiem”.

Muszę jednak przyznać, że pierwsze spotkanie z Andrzejem Pralnikowem, wywarło na mnie nieprzyjemne wrażenie. Ten upór ignoranta, nadęty ton, mogły być tylko następstwem nabytej powierzchownie wiedzy i w żaden sposób nie świadczyły nie tylko o systematycznym wykształceniu, ale nawet i o elementarnym wychowaniu. Szkoda tylko, że i jednym i drugim zarządzał tak szanowany człowiek, jak Michaił Iwanowicz Łukomski. Gdyby to ode mnie zależało, Andrzej Pralnikow nie zobaczyłby murów uniwersytetu, tak jak nie widzi swoich uszu.

Jednak Łukomski z Dyrantowiczem przejawili taki upór i wywarli tak ogromny nacisk na wszystkie możliwe instancje, że ostatecznie Pralnikow został przyjęty w szeregi studentów.

Pralnikow uczył się dobrze, ale bez szczególnego blasku i jako student wybitnymi cechami się nie wyróżniał.

Załamanie nastąpiło na piątym roku, kiedy nagle oznajmił o swoim zamiarze przejścia na fakultet biologiczny.

LENA SABUROWA

Przyjaźniliśmy się z Andrzejem Pralnikowem. Niekiedy wydawało mi się nawet, że to coś więcej, niż przyjaźń. Widać, myliłam się.

Początkowo nie zwrócił mojej uwagi, może dlatego, że był najmłodszy na naszym roku. Taki rudy, piegowaty chłopaczek.

Trzymał się zawsze na uboczu, przyjaciół nie miał.

Mówiło się u nas, że to syn znanego naukowca, że w dzieciństwie odkryto w nim jakieś zadziwiające zdolności, wynajmowano nawet indywidualnych nauczycieli, ale jakoś nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Nasza prawdziwa znajomość zaczęła się na czwartym roku.

Któregoś dnia po zajęciach podszedł do mnie na korytarzu, bardzo zmieszany, mnąc w rękach jakiś papierek, powiedział, że zupełnie przypadkowo ma wolny bilet do kina i, że jeśli nie mam nic przeciwko...

Nie miałam nic przeciwko.

W kinie siedział nastroszony jak wróbel, ale pod koniec seansu wziął mnie za rękę, a odprowadziwszy do domu, nawet próbował pocałować. Powiedziałam, że nie jest wskazane wypełnić cały zamierzony plan od razu. Zadziwiająco pokornie zgodził się ze mną i odszedł.

Kilka dni później zapytał, czy nie wybieram się w niedzielę na narty za miasto. Wybierałam się.

Spędziliśmy ten dzień razem i od tamtej pory zaczęliśmy spotykać się bardzo często.

Któregoś dnia kupiłam dwa bilety na koncert organowy; jeden dla siebie, drugi dla niego. Kiedy mu o tym powiedziałam, skrzywił się i wycedził przez zęby:

– Dobrze, jeśli tobie to sprawi przyjemność.

Obraziłam się, nagadałam mu dużo niepotrzebnych rzeczy i omal się nie pokłóciliśmy.

Ale na koncert poszliśmy.

Dziesięć minut wiercił się w fotelu, smarkał, kaszlał; jednym słowem, przeszkadzał w słuchaniu nie tylko mnie, ale i wszystkim dookoła. Potem nagle poderwał się i skierował do wyjścia. Nie rozumiejąc, o co chodzi, pobiegłam za nim.

I tutaj, w foyer, pokłóciliśmy się po raz pierwszy.

Krzyczał tak, że aż przybiegła bileterka.

– Nie waż się więcej mnie tutaj przyciągać! To nie sztuka, to... to... diabli wiedzą, co!

Powiedziałam dosyć spokojnie, że aby zrozumieć muzykę klasyczną trzeba posiadać wysoką wewnętrzną kulturę, której nie można rozwinąć w sobie bez... i tak dalej. Ale gdzie tam!

– Kultura?! – krzyczał jeszcze głośniej. – Zobacz w kinie, jak dzikusy słuchają Bacha. A kobry? One też mają kulturę?

Cudza złość zawsze jest zaraźliwa. Wszelki krzyk zazwyczaj wyprowadza mnie z równowagi.

– Nie rozumiem, czego ty chcesz?! Co ci się nie podoba w muzyce?

– A to, że jest to prymitywne fizjologiczne oddziaływanie na emocje, omijające rozum.

– Tak, jeśli rozum znajduje się w stanie załazkowym!

– W jakim stanie by się nie znajdował! A jeśli ja nie życzę sobie postronnej ingerencji w moje emocje?! Rozumiesz?! Nie życzę sobie!

– No to siedź w domu! To bardziej w twoim stylu.

– Oczywiście! Lepsze już elektrody w mózgu niż opium. Tam możesz jakkolwiek sam generować swoje emocje.

Nazwałam go szczeniakiem, któremu wszystko jedno, na co szczeka i wróciłam do sali.

On zaś przyniósł mi numerek do palta i poszedł do domu.

Następnego dnia podszedł do mnie w przerwie między lekcjami i przeprosił. Miał bardzo trudny charakter, ale jednak nasze stosunki jakoś się układały. Często spacerowaliśmy, wiele rozmawialiśmy. Podobała mi się paradoksalność jego opinii, chociaż rozumiałam, że w wieku dziewiętnastu lat wielu chłopców zgrywa z siebie takich Bazarowów.

Latem nie widzieliśmy się. Wyjechałam do ciotki na południe, a on mieszkał gdzieś pod Moskwą.

Jesienią, przy naszym pierwszym, od dłuższego czasu, spotkaniu, poraziła mnie zmiana, która w nim zaszła. Był jakiś przygnębiony. Siedzieliśmy na maleńkim skwerku na Czystych Prudach. Milczeliśmy. Nagle zaczął mi czytać wiersze, powiedział, że sam je napisał. Wiersze były złe i powiedziałam mu o tym wprost.

Uśmiechnął się i zapalił.

– Dziwne! Byłem pewien, że od razu uznasz mnie za geniusza – powiedział.

Z jakiegoś powodu zachciało mi się nagle go podrażnić i powiedziałam, że takie wiersze może napisać nawet komputer. Na to on zaczął pleść kolejne androny, że w naszych czasach zostały wynalezione estetyczne i formalne algorytmy budowy wiersza, zatem dlaczego maszyna miałaby nie pisać wierszy, że w ogóle wiersze to całkowita bzdura, jedynie deklaracja

uczuc, że w opowiadaniu dobrego pisarza jest o wiele więcej myśli, niż w całym tomie wierszy, ale zaplątał się i nieoczekiwanie zapytał:

– A jak myślisz, jaka jest definicja geniusza?

Odpowiedziałam coś schematycznego na temat pięciu procent geniuszu i dziewięćdziesięciu pięciu procent pracowitości. Rozzłościł się.

– Pytam poważnie! Nie potrzebuję pedagogicznych wskazówek, a dokładnej formuły.

Zastanowiłam się i powiedziałam, że zapewne charakterystyczną cechą geniusza jest poczucie odpowiedzialności przed ludźmi i, co najważniejsze, przed samym sobą, za swój talent.

Ułamał patyk z krzaka i długo coś nim rysował na piasku. Potem uniósł głowę i uważnie popatrzył mi w oczy.

– Może masz rację. Á propos, chciałem ci powiedzieć, że wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Na pustynię. Rozmyślać o swojej duszy, o tym... jak mu tam? Poczuciu odpowiedzialności.

– Na długo?

– Nie wiem.

– A co z uniwersytetem?

– Poczekaj. Potem się tym zajmę. Chodźmy, odprowadzę cię do domu. Ostatni raz.

Rzeczywiście wyjechał. Na dwa tygodnie, bez pozwolenia dziekanatu, a kiedy wrócił, zaczęła się ta historia z przejściem na fakultet biologiczny. Oczywiście, na żadne przejście mu nie pozwolili, ale krzyku było wiele. Mówią, że sam Dyrantowicz zajmował się tą sprawą. Był dla niego kimś w rodzaju opiekuna.

Od tamtego wieczoru na Czystych Prudach w naszych stosunkach coś się zmieniło. Nie wiem, dlaczego, ale czuję, że ostatecznie.

NINA FIEDOROWNA ZIEMCOWA

Obawiam się, że nie potrafię sensownie wytłumaczyć, dlaczego się na to zdecydowałam.

Zawsze chciałam mieć dziecko, ale jestem bezpłodna. Nikanor Pawłowicz Smaryga i ten drugi profesor, wyjaśnili mi, że jedynym wyjściem jest dla mnie przeszczep. Powiedzieli, że to całkowicie bezpieczne.

Byłam starszą siostrą na oddziale, gdzie leżał Semen Ilicz Pralnikow. Sama robiłam mu zastrzyki dożylnie i doglądałam go. Był bardzo niecierpliwy, źle znosił ból i nie dopuszczał do siebie nikogo, oprócz mnie. Kiedyś trafiła mi się tępa igła i tak na mnie nakrzyczał, że aż miałam łzy w oczach. I wtedy nagle pocałował mnie w rękę i zapytał:

– Nino Fiedorowno, czy wie pani, o czym marzy każdy mężczyzna?

Powiedziałam, że zapewne każdy o czymś innym.

– Myli się pani. Każdy prawdziwy mężczyzna marzy o takiej żonie, jak pani.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że leczy pani nie tylko duszę, ale i ciało.

Rozpłakałam się jak mała dziewczynka. Już wtedy lekarze mówili, że nie ma dla niego nadziei. Schudł przeraźliwie, tylko skóra i kości, ale jego twarz w jakiś sposób była ciągle młoda. W życiu byś nie powiedziała, że ma pięćdziesiąt pięć lat i jest znanym uczonym.

Po prostu nieszczęsny chłopak, któremu potrzebne są wciąż matczyzna tkliwość i troska. Wtedy pomyślałam, że chciałabym mieć takiego rudego, rozczochranego synka. Tak więc, kiedy Smaryga powiedział mi o swojej propozycji, od razu się zgodziłam. Mówiono, że to wszystko ma wielkie znaczenie dla nauki, ale ja, tak naprawdę, nie zgodziłam się z tego powodu.

Ciążę i poród przeszłam bez większych problemów.

Bardzo się o nas troszczono, dano mieszkanie, dużą rentę. Starłam się wydawać jak najmniej, wiedziałam, że to pieniądze Andrzejka, może kiedyś mu się przydadzą.

Oczywiście chciałam, żeby Andrzej dorastał jak wszyscy; chodził do przedszkola, bawił się z innymi dziećmi, ale to nie zależało ode mnie. Niemal od pieluszek zaczęto go tresować jak pieska. Nie na rękę były mi te wszystkie klocki z formułami, ale Michaił Iwanowicz Łukomski mówił, że tak trzeba.

A tu jeszcze zaczął przychodzić ten Fetiukow. Przychodzi i od razu – „No, jak tam nasz geniusz?”.

Nawet nóg w przedpokoju nie wytarł, prosto do dziecięcego pokoju walił. Zawsze starał się czymś Andrzejka rozzłościć. Za każdym razem obowiązkowo doprowadzić do łez. Fetiukow od samego początku mi się nie podobał. Mówią, że to on doprowadził Smarygę do zawału.

Wiele razy prosiłam Michaiła Iwanowicza, żeby zabronił Fetiukowowi przychodzić do Andrzeja, ale ten tylko rozkładał ręce i mówił – „Niestety, on ma szczególne pełnomocnictwo”. Pełnomocnictwo, nie pełnomocnictwo, a do szkoły też nie pozwolili go oddać.

Zaczęli do domu przychodzić nauczyciele. Zupełnie Andrzejowi w głowie przewrócili. Bywało, że mówiłam mu: „Idź, pobaw się na dworze, odpocznij trochę”, a on na to: „Nie potrafię się bawić, lepiej posiedzę i poczytam”. Książek u nas, co niemiara, wszystkie po nieboszczyku Semenie Pralnikowie zostały.

Tak w ogóle, to Andrzej jest łagodnym chłopcem, kocha mnie, ale strasznie go tymi naukami nafaszerowali.

Latem zawsze wyjeżdżaliśmy do Kratowa, tam Semen Ilicz miał swoją daczę. Ale i na daczynie nie było odpoczynku. Co dzień, to Łukomski, to kto inny się pojawiał. I ciągle rozmowy, rozmowy. Tak mijał rok za rokiem.

Raz przychodzi do mnie Michaił Iwanowicz i mówi:

– Czas wysłać Andrzeja na uniwersytet.

Aż klasnęłam w ręce.

– Ale czy takiego głuptasa można?! On nie ma jeszcze nawet piętnastu lat.

A ten tylko się roześmiał.

– Wasz głuptas wie więcej niż jakikolwiek student trzeciego roku. Ma wybitne zdolności matematyczne, niech pani nie zapomina, kim jest. A co do jego piętnastu lat, to nie możemy tracić czasu. Ten problem już został rozwiązany.

Skoro tak, to tak. W takich sprawach nikt mnie nigdy o nic nie pytał.

Andrzej wstąpił na uniwersytet. Mówią, że przyjęli go bez egzaminów.

Zrobiło się bardziej normalnie. Chodził na zajęcia, odrabiał zadania domowe, mimo wszystko rozkład dnia był jakiś bardziej typowy dla młodego człowieka. Zaczął chodzić do kina, spacerować, zimą jeździć na nartach. Cztery lata postudiował, wszystko było dobrze.

I nagle, jak grom z jasnego nieba. Przychodzę do domu, Andrzeja nie ma. Na stole list.

Zachowałam go. Oto, co było tam napisane:

„Droga Mamo,

wybacz mi, że cię zmartwiłem, ale i mnie nie jest łatwo.

Rzecz w tym, że wszystko wiem. Nieważne, kto mi o tym powiedział, dałem słowo honoru, że nie wydam jego imienia.

Wyjeżdżam. Muszę pobyć sam i wiele przemyśleć. Zrozum mnie dobrze. W moim wyobrażeniu, ojciec zawsze był kimś niedosiężnym, genialnym uczonym, może nawet nie w pełni docenionym przez współczesnych, ale będący o głowę wyżej od tych wszystkich dyrantowiczów, łukomskich, kaszutinów i innych im podobnych. Jestem chłopcem, zdolnym tylko w większym lub mniejszym stopniu przyswajając cudze wykłady.

I nagle okazuje się, że ja, to on.

To jakaś tragiczna pomyłka. Nie czuję w sobie mocy tytana i całe życie będę męczył się ze świadomością, że oczekuje się ode mnie tego, czego dać nie mogę. Sądząc po wszystkim, wyjdzie ze mnie bardzo przeciętny fizyk i żyć, nieustannie oglądając się na własny cień, wzywający do osiągnięć w nauce to męka, której nie mogę znieść.

Gdzieś popełniono błąd i ja stałem się jego ofiarą.

Nie martw się, kochana, nic sobie nie zrobię. Po prostu muszę trochę pomyśleć.

O nic cię nie obwiniam i kocham cię, jak przedtem, tylko nie przeszkadzaj mi w podjęciu decyzji i nikomu nic nie mów.

Andrzej”

Byłam zdruzgotana Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, chciałam biec do Łukomskiego, ale bałam się, że Andrzejka by to rozzłościło. Początkowo łamałam sobie głowę, kto mógł zrobić coś tak podłego, a potem domyśliłam się. Nikt inny, jak tylko Fetiukow. Od samego początku z jakiegoś powodu czuł niechęć do nas obojga. W końcu, chwała Bogu, zupełnie przestał przychodzić. A tutaj, nie minęło nawet trzy dni, pojawił się i pyta, gdzie Andrzej.

Nie wpuściłam go za próg i powiedziałam, że Andrzejek wyjechał do Tuły, do mojego brata. „Po co?” – pyta ten. Ja na to: „W sprawach

rodzinnych”. A on z takim uśmieszkiem na to: „A co to za rodzinne sprawy pojawiły się tak nagle?”. Odpowiedziałam: „Pana to nie dotyczy” i wyrzuciłam go za drzwi.

Andrzej wrócił po dwóch tygodniach, zmieniony nie do poznania. Objęłam go, zapłakałam i mówię: „No, jak tam, synku? Co teraz zrobimy?”. „Nic” – on na to. – „Przezimujemy”.

Skoro przezimujemy, to przezimujmy. Więcej nic na ten temat nie powiedział. Nawet o tym, że miał zamiar gdzieś się przenieść, dowiedziałam się przypadkiem. Dobrze, że Łukomski mu to odradził. Jednak szkoda tych czterech lat nauki. A i on sam, widzę, trochę się uspokoił.

Kiedy Andrzejek skończył uniwersytet, uczciliśmy to. Do siebie do pracy wziął go sam Dyrantowicz. Przyjechał do nas, pocałował mnie w rękę.

„Proszę nie niepokoić się” – powiedział. – „Wszystko będzie dobrze, proszę szykować się do oblewania dysertacji”.

Tylko że po tej całej historii Andrzej stał się jakiś nieswój. Chodzi do pracy, wieczorem ogląda telewizję, albo czyta, ale nie ma w nim życia.

Apatyczny jest taki, czy co? Trudno powiedzieć.

Gdyby się chociaż ożenił, może stałby się weselszy.

FINAŁ

Oklasków nie było. Delegaci międzynarodowego kongresu opuszczali salę w milczeniu. Mimowolny wyraz szacunku, okazany pokonanemu towarzyszowi.

Andrzej Pralnikow stał przy tablicy, kurczowo zaciskając w ręce wskaźnik.

Teraz, kiedy już wszystko się skończyło, miejsce okrutnego zapалу zajęło tępe zmęczenie.

Dyrantowicz podniósł się z fotela prezesa i wyciągnął z ucha mikrofon aparatu słuchowego. Dwóch aspirantów usłużnie podchwyciło go pod ręce i poprowadziło do służbowego wyjścia. Po drodze zatrzymał się i jeszcze raz uważnie spojrzął na rozwieszony arkusz brystolu z dziwną siatką

równań. W foyer od razu go otoczono. Z tłumu ciekawskich, energicznie rozpychając się łokciami, przedarli się korespondent agencji międzynarodowej i Fetiukow. O, to był zupełnie inny Fetiukow! W miejscu dawnej, sportowej sprężystości, pojawiła się swobodna dostojność; ta sama dostojność, która pojawia się dopiero po wielu latach sukcesów. Solidna łysina nadała twarzy czysto sokratesową głębię. Ubrany był jak dawniej, elegancko, ale już bez wszelkich oznak złego smaku. Na palcu tkwiła cieniutka obrączka.

Dawało się odczuć, że wszystkie jego życiowe plany spełniają się z bezwzględną konsekwencją.

– Światowa sensacja! – zwrócił się korespondent do Dyrantowicza. – Syn przeciwko ojcu! Niczego nie oszczędził, kamienia na kamieniu nie zostawił. Mógłby pan skomentować to wydarzenie?

– A co tu komentować? Akademik Pralnikow był prawdziwym uczonym. Jestem pewien, że gdyby w tamtym czasie pojawił się w jego umyśle chociaż maleńki cień wątpliwości, postąpiłby dokładnie tak samo. Ale nie należy zapominać, że wykład, który przed chwilą usłyszeliśmy, zbudowany został na bardzo oryginalnej interpretacji najnowszych eksperymentalnych danych i potrzebny był tutaj wybitny talent Andrzeja Pralnikowa, żeby...

– Położyć samego siebie na łopatki – mruknął Łukomski.

Teraz korespondent zwrócił się do niego:

– Czy to oznacza, że słuchy, jakie chodziły swego czasu, mają jakieś podstawy?

– Jakie słuchy?

– Na temat kilku niezwykłych okoliczności pojawienia się na świecie Andrzeja Pralnikowa.

– Bzdura! – powiedział Dyrantowicz. – Żadnych podstaw te pańskie słuchy nie mają. Wszyscy pojawiają się na świecie... w bardzo trywialny sposób.

– Ale co mogło zmusić młodego Pralnikowa, żeby wziął się właśnie za tę pracę? Przecież, co by nie mówić, rola ojcobójcy... Dodatkowo, szczerze mówiąc, poraził mnie ostry, powiedziałbym nawet, wrogi, ton odczytu.

– Nie wiem. To problem czysto psychologiczny, a ja, jak wiadomo, jestem tylko fizykiem.

– A pan jak myśli?

- Wiara w niemożliwe – odpowiedział Łukomski.
 - Proszę wybaczyć, nie zrozumiałem.
 - Obawiam się, że nie potrafię wyjaśnić.
 - I nie ma czego wyjaśniać – autorytatywnie rzekł Fetiukow. – Niech pan poczyta Freuda. Kompleks Edypa.
- Dyrantowicz uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

EPILOG

List zasłużonego działacza naukowego, profesora W. F. Czeremszynowa, do wiceprezesa Akademii Nauk A. N. Dyrantowicza.

„Wielce Szanowny Arsenie Nikołajewiczu,
muszę wypełnić ostatnią wolę Nikanora Pawłowicza Smarygi i przedstawić panu kilka uzupełniających informacji o przeprowadzonym eksperymencie. Mam nadzieję, że zrozumie mnie pan dobrze i nie będzie miał pretensji o to, że w ciągu dwudziestu trzech lat musiałem, z określonych powodów, zachować milczenie.

Tego dnia, kiedy N. F. Ziemcowej trzeba było dokonać przeszczepu, laborantce, która jechała z laboratorium do szpitala, skradziono w tramwaju torebkę, w której znajdował się preparat z komórkami akademika Pralnikowa.

Semen Ilicz do tego czasu już został skremowany.

Trudno opisać rozpacz Nikanora Pawłowicza. Przecież ten eksperyment był uwieńczeniem pracy, której poświęcił całe swoje życie. Sam pan wie, z jakim trudem udało mu się zdobyć pozwolenie na przeprowadzenie takiego doświadczenia na człowieku. Smaryga doskonale rozumiał, że gdyby nie aureola otaczająca imię akademika Pralnikowa, jeszcze długo musiałby czekać na sprzyjający zbieg okoliczności.

Wspólnie podjęliśmy decyzję dokonania, jeśli chce pan to tak nazwać, naukowego fałszerstwa. Trudno mi wyznaczyć rzeczywiste granice tego terminu w danym przypadku.

Doświadczenie zostało wykonane, przy czym w charakterze dawcy wybrano stróża, pracującego w laboratorium Smarygi. Miał on tę samą

pigmentację włosów, co akademik Pralnikow.

Takim sposobem, w synu Ziemcowej zmaterializowany został nie, znany na całym świecie, uczonec Pralnikow, a Wasyl Kuźmicz Liagin, który zmarł dziesięć lat temu na zapalenie płuc.

Sądzę, że z powodu tej zmiany eksperyment Smarygi nie stracił ogromnego naukowo-poznawczego znaczenia, jakie według mnie niewątpliwie posiada. W istocie mieliśmy do rozwiązania takie samo zadanie: dziedziczność i środowisko, ale w jeszcze bardziej surowych wyjściowych warunkach. Daliśmy niczym niewyróżniającemu się człowiekowi możliwość ujawnienia talentów, które być może, ukryte są w każdym z nas. Dlatego postanowiliśmy utrzymać wszystko w tajemnicy do momentu osiągnięcia rezultatów eksperymentu.

Niestety, Nikanor Pawłowicz już nigdy nie dowie się, czym zakończyło się nasze doświadczenie. Co zaś się tyczy mojej osoby, to jestem w pełni usatysfakcjonowany.

Może pan osądzać mój postępek, jak pan chce, ale nie widzę żadnej winy po mojej stronie.

Pana pokorny sługa,
W. Czeremszynow”

Przełożyła Iwona Czapla

DROGI, KTÓRE WYBIERAMY

Tego dnia Illarion Pietrowicz Wozdwiżeński, kierownik Wydziału Niestandardowych Metod Myślenia Instytutu Projektowego im. Buridana, spóźnił się do pracy.

Mały Domowy Analizator wyliczył optymalne menu śniadania, szybko sprawił się z wyborem kompletu odzieży, wzięwszy pod uwagę wszystkie niuanse sprzecznej prognozy meteorologicznej, lecz kiedy rzecz doszła do nakreślenia trasy dojazdu do Instytutu, beznadziejnie się pogubił. W pięciu zaproponowanych wariantach poddał analizie wszystko: rytm ruchu różnych środków transportu, możliwe opóźnienia, kierunki strumieni pasażerów, a nawet prawdopodobieństwo wystąpienia po drodze nieszczęśliwych wypadków. Jednak każdy z pięciu wariantów okazał się być dokładnie tej samej wartości. Taka swoboda wolnego wyboru wychodziła daleko poza ramy kanonicznego zadania Buridana o ośle i dwóch naręczach siana, i gdyby nie wynaleziona przez Wozdwiżeńskiego metoda, przyszyłoby mu siedzieć w domu do samego wieczora, w oczekiwaniu na nastąpienie przypadkowego błędu w toku rozumowania analizatora, który to błąd umożliwiłby dokonanie wyboru trasy.

– Dziesiąta trzydzieści dwie – delikatnie zauważył elektronowy woźny w westybulu.

Wozdwiżeński skrzywił się i, westchnąwszy ciężko, zaczął wchodzić po schodach.

– Illarionie Pietrowiczu!

Nie, wyraźnie nie miał dziś szczęścia. Na jego drodze zamajaczyła monumentalna postać kierującej telepateką Lewiny.

– Dzień dobry, Ariadno Samojłowna! – Wozdwiżeński daremnie spróbował obejść przeszkodę z lewej.

– Jedną chwileczkę, Illarionie Pietrowiczu.

– Słucham.

– Wczoraj przywieźli dwunastokanałowy wzmacniacz, który zamówiłam dla telepatycznej.

– Cóż, gratuluję! – Wozdwiżeński łągał w żywe oczy. Lepiej niż ktokolwiek inny znał historię wzmacniacza. Wyglądało jednak na to, że przesadził. Uśmiezek Lewiny nie wróżył niczego dobrego.

– Pogratulować może pan Szenderowi. Wzmacniacz trafił do jego laboratorium, a wszystko dlatego, że...

– Ariadno Samojłowna! Wie pani przecież, że nie mam z tym nic wspólnego. – Wozdwiżeński skierował spojrzenie w bok. – Decyzję o przydziale wzmacniacza podjął Wielki Analizator.

– Ach tak? Widać zapomniał pan, że przewaga Szenderowa, jak wynika z analizy, nie przekroczyła błędu statystycznego, i problem został przekazany do ostatecznego rozstrzygnięcia do Wydziału Niestandardowego Myślenia, którego kierownikiem, przynajmniej na dzień dzisiejszy, pozostaje powszechnie szanowany Illarion Pietrowicz.

Jakże to zostało powiedziane!

– Ale rzecz w tym...

– Cała rzecz w tym, że kierownictwo Wydziału, jak by to nie było dziwne, wciąż nie docenia kolektywnych metod twórczości. W ostatnim numerze „Psychologii konstruowania”...

Wozdwiżeński podjął rozpaczliwą próbę przejęcia inicjatywy:

– Dobrze – powiedział szorstko – trzykanałowy wzmacniacz zupełnie wystarczy do tego, żeby dziewczyny z grupy Przechowywania Informacji mogły dzielić się przygodami miłosnymi.

– Illarionie Pietrowiczu! Wie pan przecież, że oprócz czołowych konstruktorów...

Plecy Lewiny wygięły się groźnie, oczy płonęły zielonym światłem, czarny puszek pod nosem nastroszył się dziwnie.

„Kot, słowo honoru, czarny kot, wszyscy święci” – pomyślał Wozdwiżeński.

– Dobrze – wymamrotał, machnąwszy ręką. – Rozpatrzę ponownie sprawę.

* * *

W Wydziale Maszyn Zbierających i Sprzątających był wielki dzień. Dziś kończył się otwarty konkurs na najlepszy projekt automatu do

wykrywania i zbierania zgubionych guzików.

Z dziesięciu przedstawionych wariantów do finału weszły dwa projekty: „Triumf” głównego konstruktora Myszkina i „Zwycięstwo” konstruktora pierwszej kategorii Pyszkina.

Obaj autorzy byli wyraźnie zdenerwowani.

Dwa arkusze ze szkicami ogólnych rzutów automatów w połowie naturalnej wielkości były przysunięte jak najbliżej do ikonoskopu Wielkiego Analizatora.

– I jak? – spytał ściśniętym głosem Myszkin.

– Jestem gotów! – Pyszkin machnął ręką, i w pełnej napięcia ciszy kierownik Wydziału ostentacyjnie niedbałym ruchem nacisnął guzik rozruchu.

Kibice, wstrzymawszy oddech, wpili wzrok w czarny panel, ozdobiony różnokolorowymi żaróweczkami.

– Piętnaście milionów analiz na minutę – powiedział z szacunkiem przyszczaty młodzieniec w okularach.

– Naprawdę tak dużo? – zduszonym szeptem spytała czarnooka dziewczyna. – Jak pan sądzi, jakie szanse ma „Triumf”?

– Szanse są mniej więcej równe – wyjaśnił młodzieniec. – Oba projekty były robione na maszynach tej samej klasy. A zatem wybór, ogólnie rzecz biorąc, jest ograniczony przez kanoniczne zadanie Buridana.

– Myślę... – powiedziała dziewczyna.

Jej myśli pozostały jednak nieujawnione. Rozległ się ostry dzwonek i zgromadzony wokół maszyny tłum zahuczał z przejęciem.

W rękach kierownika Wydziału znalazła się papierowa taśma.

– Wyniki analizy – rozpoczął, jawnie drwiąc ze zniecierpliwienia obecnych – świadczą na korzyść projektu, przedstawionego pod godłem... – niewielka pauza – „Zwycięstwo”, z przewagą... – wieloznaczna pauza – ...jedną stumilionową procenta.

– W ząbek czesane – powiedział młodzieniec w okularach.

– W ten sposób – ciągnął kierownik – uwzględniając fakt, że wynik jest porównywalny z marginesem błędu analizy, wybór najlepszego wariantu w kanonicznej postaci nie jest możliwy. Projekty zostają zwrócone autorom dla dopracowania.

– Pomyśleć tylko, co to się wyrabia! – westchnęła czarnooka dziewczyna.

* * *

– Posłuchaj, Jura! – Głos Myszkina brzmiał przymilnie i delikatnie. – W ten sposób za diabła nic nam się nie uda. No dobrze, tych ośmiu typków odpadło dlatego, że pracowało na przestarzałych maszynach. Ale przecież twoja „Tmutarakań” jest tej samej klasy, co moja „Małachowka”. Trzydzieści dwie konfiguracje w kalejdoskopie, trzy tysiące konstruktywnych wariantów na godzinę, mechanizm zapamiętujący na elementach kriogenicznych.

– Co chcesz mi zaproponować? – spytał czujnie Pyszkina.

– Trzeba zmniejszyć dokładność jednej z maszyn. Rozumiesz, przypadkowe błędy dają możliwość...

– Wspaniała myśl! – przerwał Pyszkina. – Zmniejszaj.

– A dlaczego ja?

– A kto twoim zdaniem?

– A chociażby ty.

– A dlaczego ja?

– Nie rozumiem, co ty tak w kółko powtarzasz „dlaczego” i „dlaczego”!

– wybuchnął Myszkina. – Zdecydujemy, kto zmniejszy, za pomocą Analizatora.

– To niemożliwe – odpowiedział ze smutkiem Pyszkina. – Znow trafimy w graniczne warunki paradoksu Buridana. Czeka! A może sens ma zmniejszenie dokładności o jeden rząd obu maszyn?

– I co? – złośliwie spytał Myszkina. – Żeby znow trafić na równoważne warianty innego rzędu?

– Towarzyszu Myszkina! Towarzyszu Pyszkina! - Obok konstruktorów pojawiła się złowieszcza postać Lewiny. W wyciągniętej dłoni zaciskała tom „Psychologii konstruowania”.

– Jedną chwileczkę, Ariadno Samojłowna, wrócimy za kilka minut – powiedział Myszkina, próbując osłonić odwrót kolegi – słowo honoru, zaraz będziemy!

Manewr nie powiódł się. Wąskie przejście między maszynami projektowymi było zablokowane przez masywne ciało kapłanki telepatii. W oczach Pyszkina pojawił się wyraz zaszczutego zwierzęcia, gotowego drogo sprzedać swoje życie.

– Chłopaki! – zadzwieczała Lewina. – Słyszałam o waszym niepowodzeniu. Radzę połączyć swoje wysiłki w kolektywnym, telepatycznym akcie twórczym. Stworzyć wspólny wariant, wolny od indywidualnych błędów. Zsumować tylko genialne spostrzeżenia. Telepatyczna jest do waszych usług od dziewiątej rano do piątej po południu. Jeśli zajdzie potrzeba posiedzieć po godzinach...

– Nie będzie trzeba siedzieć po godzinach – powiedział ponuro Myszkina. – Nic z tej koncepcji nie wyjdzie. Automaty zbudowane są według zasadniczo odmiennych schematów. Co tu sumować?

– Wspaniale! Przy całej różnorodności metod telepatycznych kolektywnej twórczości każdy z was może wnieść niemało ulepszeń do konstrukcji drugiego. Nasz trzykanałowy wzmacniacz...

– Widzi pani – powiedział delikatnie Pyszkina. – Mamy konkurs, i wątpliwe, by to, co pani proponuje, mogło przyczynić się do...

– Dobrze! – W głosie Lewiny pojawiły się władcze nutki. – Wiem, czego potrzebujecie. Telepatyczna krytyka pracy konkurenta. W sporach, i tylko w sporach rodzi się prawda. Chodźcie ze mną!

– No dobrze – westchnął Myszkina. – Chodźmy rodić prawdę.

* * *

W telepatece pachniało pleśnią i potem.

Lewina rzuciła gniewne spojrzenie na trzy młode dziewczyny z grupy Ochrony Informacji, i te momentalnie zdmuchnęły z telepatycznych foteli. Sądząc po zaczerwienionych twarzach i błyszczących oczach, ich telepatyczny kontakt w ogóle nie był związany z problemami ochrony informacji. Było raczej na odwrót.

– Postarajcie się wyobrazić sobie projekt konkurenta takim, jakim chcielibyście go widzieć – powiedziała Lewina, podając konstruktorom hełmy z dipolami.

Przyjaciele usadowili się wygodnie w fotelach.

Wkrótce na lewym ekranie pojawił się schemat „Triumfu”, ozdobiony kobiecym profilem z zadartym noskiem. Myszkina nie pozostał dłużny: zaopatrzone w cztery łapy i ogon „Zwycięstwo” bardzo przypominało jamnika.

- Wystarczy czarnej magii i wywoływania duchów – powiedział Pyszkini, zdejmując hełm. – Dziękuję, Ariadno Samojłowna!
- I co teraz? – chciał wiedzieć Myszkin.
- Idziemy na sąd do Wozdwiżeńkiego, do Wydziału Niestandardowego Myślenia. Kto jak kto, ale Illarion Pietrowicz znajdzie rozwiązanie.
- Nie wypada zawracać głowy wielkiemu człowiekowi.
- Bzdura! Po to przecież istnieje ten wydział. Idziemy!

* * *

Illarion Pietrowicz spojrział na zegarek. Już dawno nadszedł czas, żeby coś przekąsić. Ze zniecierpliwieniem nacisnął guzik dzwonka.

Wkrótce w drzwiach pojawiła się starszka ze szklanką herbaty na tacy.

– Dobrze, kochanieńki, że zadzwoniłaś – powiedziała, stawiając szklankę na stole. – Całkiem, stara, rozum straciłam. Nijak nie mogłam zorientować się, do kogo pójść najpierw, do ciebie czy Aleksieja Nikołajewicza. Przecież kuchenka jest akurat pośrodku między waszymi gabinetami. Nawet na dół schodziłam, prosiłam, żeby na maszynie policzyć, komu najpierw herbatę podać.

– I co, policzyli? – spytał z ciekawością Wozdwiżeński.

– No co ty, kobieto, powiedzieli. Tu umysły lepsze od naszych walczyły, a i tak nie dały rady. O jakimś ośle opowiadali, bu... bu... bu...

– O ośle Buridana – powiedział Wozdwiżeński. – Wiem, kanoniczne zadanie. Dobrze, porozmawiam z dyrekcją, żeby kuchenkę przeniesiono w inne miejsce.

– Bądź łaskaw, kochanieńki, bo to, gdy przychodzi herbatę nieść, to aż cała się pocę.

– Dobrze, dobrze, idź już.

Illarion Pietrowicz otworzył torebkę ze śniadaniem i wciągnął aromat świeżo wędzonego mięsa, wydzielany przez trzy kanapki z wędliną. Różowe plasterki, obramowane białą niczym śnieg ramką delikatnego tłuszczu. Wozdwiżeński odchylił się na oparcie fotela i przymknął oczy. Konieczne było podjęcie decyzji, od której kanapki rozpocząć posiłek. Jak na złość, wszystkie były absolutnie jednakowe.

Oprócz tego, istniała jeszcze niepewność, wynikająca z wolnego wyboru w związku z pierwszym łykiem herbaty, który można było zrobić albo przed odgryzieniem pierwszego kęsa, albo po. Słowem, zadanie daleko wykraczało poza granice...

– Czy można, Illarionie Pietrowiczu?

– Proszę, proszę! – Wozdwiżeński zawinął torebkę z kanapkami. – Czym mogę służyć?

– Może wie pan – powiedział Myszkina – że nasze projekty weszły do finału konkursu i metodami analizy maszynowej...

– ...nie można dokonać jednoznacznego rozstrzygnięcia – dodał Pyszkina.

– Rozumiem – powiedział Wozdwiżeński. – To znaczy, że standardowe metody myślenia w tym przypadku...

– ...są nieprzydatne! – podchwycili chórem konstruktorzy.

– No cóż, zostawcie mi te projekty, zastanowię się.

– Dziękuję – powiedział Myszkina, kładąc rysunek na stół.

– Przepraszamy, że niepokoimy – dodał Pyszkina, kładąc swoje dzieło obok.

Illarion Pietrowicz odczekał kilka minut, podszedł na palcach do drzwi, wyjrzał na korytarz i, zamknąwszy drzwi, cicho przekręcił klucz w zamku.

Jakiś czas z ciekawością wpatrywał się w oba rysunki. Potem z masywnego sejfu w kącie gabinetu został wyciągnięty elektroniczny model czarnego kota, generator liczb losowych i przewód łączący.

Teraz biurko kierownika Wydziału Niestandardowych Metod Myślenia zmieniło się w totalizator.

Opisawszy kilka zawiłych figur, przypominających elementy tańca na lodzie, kierowany zasadą przypadkowości kot zdecydowanie ruszył w stronę prawego rysunku.

Los projektu „Triumf” został rozstrzygnięty. Wyrzuciwszy go do kosza, Wozdwiżeński uśmiechnął się i postawił kota między szklanką herbaty a torebką ze śniadaniem...

Kończąc przeżuwanie ostatniej kanapki, myślał o tym, jak łatwo żyć w tym złożonym świecie człowiekowi skażonemu maleńkimi przesadami, szczególnie wtedy, gdy w domu jest prawdziwy, żywy kot.

Jego rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

– Witam pana, Illarionie Pietrowiczu! – zaseplenił głos w słuchawce. – Tu Guniajew. W związku z dostawą nowej partii maszyn projektowych zaznaczają się u nas pewne posunięcia po linii kadr. Bardzo proszę o pomoc.

– Dobrze – powiedział Wozdwiżeński, zmiatając okruszki ze stołu. – Przyślijcie listy.

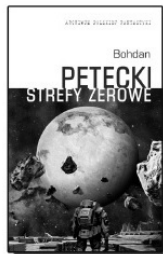
Przełożył Paweł Laudański

ARCHIWUM
POLSKIEJ
FANTASTYKI

ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Wyjątkowa seria z polską klasyką SF

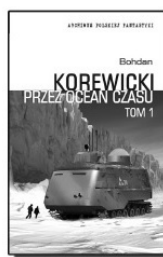
w serii m.in.



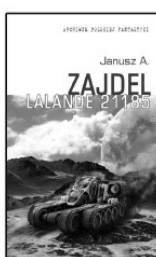
Żuławski
Trylogia księżycowa
Boruń, Trepka
Trylogia kosmiczna
Korewicki
Przez ocean czasu
Petecki
Sfery zerowe
Jabłoński



Elektryczne banany



Białczyński
Zakaz wjazdu
Oramus
Senni zwycięzcy
Żerdziński
Opuścić Los Raques
Żwikiewicz
Kosmodram Machu Picchu
Zajdel
Lalande 21185



KUPISZ WYŁĄCZNIE W:

 **SOLARISNET.PL**
KSIĄŻKI W SIECI